

KAROL MAY

KRÓLOWA CYGANÓW

DAS WALDRÖSCHEN ODER DIE VERFOLGUNG RUND UM DIE ERDE II

KAPITAN PIRATÓW

Pewnie nikt z Was, szanowni Czytelnicy, nie zna Jefrouw Mietje? Zresztą, *mister Wallot*, którą to nazywano zawsze mamcią Dry, także nie.

A to wielka szkoda!

Gdyż Jefrouw Mietje byja najlepszą kobietą w całym Amsterdamie i Holandii, a mamcia Dry najżywszą Amerykanką, jaka kiedykolwiek dotknęła swoimi stopami obcej wyspy.

A stało się to następująco:

Kiedy pani Wallot była jeszcze panną, a więc tęskniła za mężem, gdyż była kobiecinką dłuższą od każdego mężczyzny, a przy tym była taka chuda, że można było sądzić, iż jej ojciec był drzewcem flagi, a matka liną okrętową. Do tego miała oblicze mocno posiane ospą, a ponieważ brakowało jej także oka, to było bardzo mało takich, którzy by dobrowolnie chcieli nazwać ją swoją pięknoscią. Prawdziwa Amerykanka nie zna jednak nigdy kłopotu, nawet wtedy nie, kiedy trzeba było znaleźć sobie męża.

Zaprosiła więc pewnego pięknego wieczora kilkoro przyjaciół, a między nimi majstra Wallota, który wprawdzie dużo miał w kieszeni, ale bardzo mało w głowie. Wypito już kilka filiżanek herbaty, niejeden kieliszek whisky i Wallot zmiarkował, że izba zaczęła dookoła niego tańczyć. Rozpoczęto najbardziej ulubioną zabawę towarzyską, która polegała na tym, że każdy miał się swojej towarzyszce po prawicy ładnie oświadczyć. Kiedy więc głucha *miss* siedziała po prawicy pocziwego Wallota, wszczał z nią bardzo uprzejmą rozmowę:

— *Miss*, kocham cię.

— Naprawdę? Pragniesz pan może, bym też pana kochała?

— Naturalnie.

— Z jakiego powodu?

— No, do stu piorunów, bo mam zamiar ożenić się z panią.

— Czy aby naprawdę? Potwierdzisz pan to przy świadkach?

— No, przecież pani słyszy.

— A da mi pan to na piśmie?

— Pewnie, jeśli tego zażądata, wszystko mi jedno czy zostanie moją żoną pisemnie czy ustnie.

— Więc proszę pisać co panu podyktuję.

Położyła przed nim papier, atrament, pióro i zaczęła dyktować: „*Ja Dawid Jonatan Wallot oświadczam niniejszym, że ożenię się z miss Ellą Wardon, albo też wypłacę jej natychmiast odszkodowanie w sumie pięciu tysięcy dolarów*”.

Pocziwy Wallot napisał, *miss Wardon* schowała papier do kieszeni. Inni uczynili to samo. Kiedy na drugi dzień Wallot leżał jeszcze w łóżku i na próżno usiłował przypomnieć sobie, co wczoraj w stanie upojenia alkoholowego czynił, otwartę się drzwi a w nich zjawiła się *miss Ella*. Miała na sobie jedwabną, czerwoną suknię i dwa nowe pióra przy kapeluszu.

— Dzień dobry, *sir!* — pozdrowiła go w drzwiach.

— Dzień dobry, *miss* — odpowiedział — Ale do diabła, dlaczego przeszkadzasz mi pani, w porannej modlitwie?

Podeszła do niego, wyciągnęła w jego stronę swą dłoń i odparła:

— Bo na dzisiaj zaplanowaliśmy wspólną modlitwę.

— Wspólną? — zapytał.

— Rozumie się. Już zamówiłam świadków.

— Świadków, po co! Chce mnie pani może o coś oskarżyć?

— Ależ skąd. Przecież musimy przygotować wesele.

— Wesele? Jakie wesele? — zapytał zdumiony.

— Moje.

— Bardzo pani nieroztropna. Któż jest tym os... tym szczęśliwcem, chciałem powiedzieć?

— Nie pytaj nawet, kochany. Miłość powinna być wprawdzie czysta i powściągliwa, ale przed weselem można już wyznać, że nie możesz pan żyć bez słodkiego obiektu swoich uczuć.

— Słodkiego obiektu? Niech mnie lichy porwie, jeżeli mam pojęcie, bez jakiego to obiektu żyć nie mogę!

Wtedy popatrzyła nań z góry, jęknęła boleśnie i dała się słyszeć cała litania rozpacz, poczym padła na jego twardą sofę, okryła swe oblicze chustką i jęła wydawać gardłowe tony, które wzbudziły w Wallonie niepokój. Nie wiedział, czy ona płacze, czy też dopadła ją czkawka. Podszedł do niej i zapytał:

— Ja ciebie nie pojmuję?

— Mnie pan nie pojmuje — brzmiała odpowiedź. — Czytaj pan to pismo!

Rozwinął papier i przeczytał jego treść.

— Ależ to był żart! — zawołał przerażony.

— Żart? — zapytała z bolesną godnością. — Pytałam pana przy dwunastu świadkach, czy mówisz pan serio, a pan potwierdził.

— Do diabła! Czy chcesz mnie zmusić do ożenku?

— Tak, albo się ożenisz, albo zapłacisz odszkodowanie.

— Proszę, bądź pani łaskawa się wynieść!

Otworzył drzwi. Rzuciła na niego pełne godności spojrzenie i wyszła.

Po pół godzinie został aresztowany, gdyż w Ameryce takie przyrzeczenia traktuje się bardzo poważnie. Pozostawiono mu do wyboru, zaraz się żenić, albo wypłacić pięć tysięcy dolarów odszkodowania. Kiedy więc przemyślał całą sprawę — ożenił się.

Żyli potem bardzo szczęśliwi i całkiem z siebie zadowoleni, z wyjątkiem jednej sprawy, co do której nie mogli dojść do porozumienia. Mister Wallot utrzymywał bowiem, że cierpi na suchoty, bo go żona złości, a pani Wallot była zdania, że suchoty mąż ma od nadmiernej ilości whisky.

Nie wiadomo, gdzie leżała prawda. Aby podreperować zdrowie pana Wallot przenieśli się na Maderę, było już jednak za późno, chory zmarł. Pani Wallot została samiuteńka i zakupiła w Funchal, stolicy Madery gospodę dla żeglarzy, aby ku czci nieboszczyka podawać whisky tamtejszym marynarzom.

Była gospodynią znaną wszystkim żeglującym, gdyż miała najlepszą whisky i najsilniejszy rum, a na dodatek lubiła porządek. Nie cierpiała zwłoki w zapłacie i umiała tak znakomicie dochodzić swych praw, iż niejeden bosman musiał przyznać zawstydzony, że go mamcia Dry wyrzuciła za drzwi. Mamcia nazywano ją ze względu na opiekuńczy charakter, zaś Dry ze względu na ten chudy wygląd.

Prowadziła swój interes od wczesnego ranka do późnych godzin nocnych. Znała wszystkich marynarzy, sterników i kapitanów, ale z kobietami nigdy nie zawierała bliższej znajomości. Miała tylko jedną przyjaciółkę, przyjaciółkę prawdziwą, dobrą i wierną, a tą była właśnie Jefrouw Mietje.

Któż to Jefrouw Mietje?

Oto właśnie kołysze się na przystani Funchal okręt, który nie ma sobie równych. Galion był jasno pożłocony, pokład pozamiatany czyściutko. Żagle białe jak śnieg — tak wybielone — a tułów tak osmolony, jakby barka właśnie, dopiero co wyszła z fabryki, a na przednim zagięciu i z tyłu na gwieździe można było odczytać napisane wielkimi literami „Jefrouw Mietje”. Ten porządny statek nie był jednak prawdziwą Jefrouw, bo prawdziwa siedziała na górze, na pokładzie i robiła pończochy dla holenderskiej misji, by tam małe, pogańskie dzieci nie potrzebowały biegać boso.

Mietje to prawdziwy obraz holenderskiej czystości i wygody. Poczciwa kobiecinka była dość solidnie zbudowana. Jej dobroduszne oblicze błyszczało z zadowolenia, a wierne, serdeczne spojrzenie oczu zdradzało wyjątkowo pogodne usposobienie. Jak ciężko i twardo

przygniatała swą osobą krzesło, tak ciężki i nieugięty był jej charakter. Siedziała, jak dobra czarodziejka okrętu, któremu dała swoje imię.

Jej mężem był Mynheer Dangerlahn, kapitan i właściciel barki. Oboje lubili się i byli do siebie tak przywiązani, że nie mogli się rozłączyć. Dlatego też Mietje znalazła swój dom na okręcie.

Ten pływał ciągle z Niderlandów do Indii Wschodnich i z powrotem, a za każdym razem kiedy zarzucili kotwicę w przystani Funchal, Mietje odwiedzała swoją serdeczną przyjaciółkę, mamcie Dry.

Gdy kotwica barki padła na dno, kapitan zszedł na ląd i jak zwykle udał się do karczmy mamci Dry, by zabawić się z innymi żeglarzami. Zasiadł w tylnym pokoju, do którego mieli wstęp tylko oficerowie, marynarze zaś musieli przebywać w pierwszej komnacie.

— Tak. — rzekł jeden z obecnych kapitanów — Jest tak jak mówię, Czarny znowu buja.

— Wie pan o tym z całą pewnością? — zapytał inny.

— Z całą pewnością, złowiłem już jednego.

— No to opowiadaj pan!

— Zaraz — rzekł Amerykanin. — To było coś przed pięcioma dniami koło Cap Roca. Mieliśmy silny wiatr północno-wschodni i musieliśmy popracować, by utrzymać się z dala od brzegu. W nocy spostrzegliśmy blask ognia na południowym zachodzie. Wyszliśmy więc z kursu i nad rankiem dotarliśmy do tego miejsca. I jak sądzicie, co zobaczyliśmy?

— Płonący okręt? — zagadnął ktoś z wielką roztropnością.

— Tak. To był Francuz „Avengla”. Wypalił się prawie doszczętnie i nie było już co ratować! Właśnie chcieliśmy się już zabrać, kiedy spostrzegliśmy wielki kosz, a w nim człowieka.

— Żył jeszcze?

— Tak. Zdjęliśmy go i opowiedział nam całą historię. Wieczorem wjechał na nich okręt, smukły, z czarnym ożaglowaniem i wezwał do poddania się. „Avengla” nie chciał tego uczynić. Wtedy, ten czarny statek odkrył swoje armaty i zaczął strzelać. Po dziesięciu minutach wdarł się na pokład. Wszystko co było żywe zostało zabite. Potem wszystko co miało wartość przeładowano na okręt, a napadnięty statek został podpalony.

— A marynarz, którego odcięliście?

— Jemu udało się dobrze ukryć. Kiedy z gorąca nie mógł już wytrzymać, rzucił kosz w morze i skoczył za nim. Tak też go znaleźliśmy.

— Przekleństwo, kto to może być, ten Czarny.

— Czy to aby „Lion”, kapitan Grandepriise?

— Najprawdopodobniej.

— To musimy mieć się na baczności. Ten „Lion” ma podobno niezrównaną szybkość.

— A ten Grandepriise jest drabem, jakiego na całym świecie nie znajdziesz.

Słowa te wypowiedział Mynheer Dangerlahn.

— Czy jesteś pan przekonany o tym? — zapytał jego sąsiad i spojrzał na Holendra złym wzrokiem.

— Tak — odrzekł spokojnie. — Musi pan wiedzieć kapitanie Landola, że zawsze mówię tylko to w co wierzę i co myślę.

— Jednak nie chciałbym panu życzyć, byś spotkał się z Czarnym!

— Albo jemu, by spotkał się ze mną — odparł Holender z uśmiechem.

— Sądzę, że byłbyś pan zgubiony! — rzekł Landola podenerwowany.

— Dlaczego, senior?

— Pański „Jefrouw Mietje” jest ociężały, nie zdołałbyś pan uciec czarnemu.

— Skąd pan wie, że chcę przed nim uciekać?

— To chyba byłoby dla pana najlepsze wyjście.

— Hm!

Na to powątpiewanie Hiszpan rozpałił się jeszcze bardziej i rzekł: — Macie może armaty na pokładzie?

— Armaty? — zapytał Mynheer zdziwiony — Czy mój „Jefrouw” jest może pancernikiem, że musi wojować armatami? Na pokładzie mamy tęgie rusznice, to musi wystarczyć.

— Duma poprzedza upadek, proszę to zapamiętać.

Po tych słowach Holender wstał, wypił kieliszek i wyszedł. Można było poznać, że w tym towarzystwie nie czuje się najlepiej.

Gdy przechodził koło bufetu, matka Dry pochyliła się w jego stronę i rzekła:

— Czy Jefrouw przyjdzie?

— Tak — odpowiedział. — Zaraz.

Poszedł z powagą, jaką daje mu świadomość posiadania statku. Przy brzegu znalazł swój ą łódkę, wsiadł i rozkazał wiosłować w stronę okrętu. Gdy wszedł na pokład udał się wprost do żony. Na jej pytający wzrok, nie udzielił żadnej odpowiedzi, tylko skinął głową. Tych dwoje ludzi rozumiało się bez słów.

W tyle, za schodkami stał podparty młody, trzydziestoletni mężczyzna. Był to pierwszy sternik na „Jefrouw Mietje”, lubiany i poważany nie tylko przez żeglarzy.

— Mat, czy nie chcesz choć raz zejść na ląd? — zapytał Maynheer.

— Ja? Cóż bym tam miał do roboty? Przecież wraz z odpływem wychodzimy w morze.

— No tak, ale mógłbyś udać się na jakiś czas na ląd.

— Po co?

— Widzicie tam, ten hiszpański statek?

— Tak, czy to „Pendola”?

— Tak. Dobrze byłoby, żebyście się mu dobrze przypatrzeli. Jego kapitan, Henryk Landola, jest jednym z tych, którym nie ufam, a taką kategorię ludzi dobrze czasem poznać. Ten dureń pytał mnie, czy ja mam na okręcie armaty.

Sternik począł słuchać uważnie.

— To tak się sprawy — mają? — zauważył. — I co mu kapitanie odpowiedziałeś?

— Oczywiście powiedziałem, że nie mamy żadnych.

— Bardzo dobrze. Niebezpiecznie jest zaspakajać ciekawość takich podejrzanych ludzi. Gdzie mógłbym go zobaczyć?

— U matki Dry, w tylnej izbie. Możecie razem z Jefrouw wylądować na brzegu.

— Dobrze!

Poszedł do swojej koi, by się przebrać i prędko powrócić na pokład, widział bowiem, że żona kapitana bardzo się spieszy.

— A sternik Helmer, pan też wybiera się na ląd? — spytała spotkawszy go przy łodzi.

— Tak — odrzekł. — Proszę wsiadać, będę wiosłował.

Gdy dobili do brzegu oboje pospieszyli do domu matki Dry.

Jefrouw zaraz wstąpiła do izby, Helmer zaś poszedł na podwórzec, chcąc dokładnie obejrzeć cały budynek. Właśnie chciał wejść tylnymi drzwiami, gdy usłyszał dziwny, gardłowy głos.

— Do diabła! To jest Claussen! — zamruczał sternik — Jak on przybył do Funchal? To musi być jakaś nieczysta sprawa.

Zaczął nasłuchiwać. Dwaj rozmawiający pod wpływem wypitego rumu mówili dość głośno.

— Wiesz gdzie on jest schowany? — pytał ten z gardłowym głosem.

— Całkiem na dole, na dnie okrętu przy rozrzuconych linach! — odrzekł drugi.

— Do stu piorunów, to nie może być przyjemny pobyt. Więc dlatego nikt inny oprócz ciebie nie może tam schodzić?

— Tak, dlatego.

— Co to za jeden?

— Nie wiem.

— Nie pytałeś się go?

— O tak. Ale nie powiedział mi. Musi być jednak bardzo bogaty.
— Po czym tak sądzisz.
— Bo obiecał mi pięć tysięcy duros, jeżeli pozwolę mu uciec; rozumiesz, pięć tysięcy!
— Do wszystkich diabłów, dlaczego nie robisz tego interesu?
— Durna głowo, a jak mogę?
— Dlaczego nie?
— No bo jak go wypuszczę, to zedrą ze mnie pasy i na co mi wtedy pieniądze?
— Uciekaj razem z nim.
— To także nie wchodzi w rachubę.
— Dlaczego nie?
— Potrzeba dwóch, by go w nocy spuścić z pokładu, jeden nie da rady.
— No to ja ci pomogę.
— Tak, wtedy by się udało, ale jeszcze chciałbym wiedzieć co to za jeden i czy mogę mu zaufać.

— A kiedy i skąd znalazł się na statku?
— Zabraliśmy go z jednego zamku, który się nazwał Rodriganda, a leży w pobliżu Barcelony.

— Czy kapitan ma z nim jakiś spór?
— Nie, myślę, że to sprawka starego Gasparina Kortejo, ten pewnie to urządził.
— Któż to jest?
— To szczywany lis, adwokat jeden, który z naszym kapitanem prowadzi wspólne interesy.
— No, jeżeli on mieszkał w zamku, to musi mieć pieniądze. Uwolnimy go.
— Nad tym trzeba się jeszcze dobrze zastanowić.
— Ale pięć tysięcy duros...
— Tak, to nie bagatela. A ile ty byś chciał z tego, Claussen?
— Połowę, naturalnie.
— Oho! Na to się nie zgadzam, ja mam przecież przy tym najwięcej roboty i poniosę największe ryzyko.
— Niech ci będzie. Powiedzmy dwa tysiące.
— To też za dużo. Dałbym ci tysiąc.
— A na to, to ja się nie zgadzam. Jeżeli mam dostać tylko tysiąc, to ty bierzesz cztery, to za dużo dla ciebie.

— No to zastanówmy się, jak łódź na brzeg chyłkiem sprowadzić...

W tej chwili otworzyły się drzwi gospody i jeden z gości wyszedł na podwórze. Helmer nie mógł podsłuchiwać dalszej rozmowy, więc wszedł do izby, gdzie zawsze zasiadał, gdy z Jefrouw Mietje do brzegu przybijali. Gdy gospodyni go ujrzała, podniosła się z krzesła i wyciągnęła do niego ręce.

— Ach! *Mister* Helmer! Witaj! Widok takich ludzi może innych wprawić w dobry humor. Proszę, proszę dalej!

Podał jej rękę i odpowiedział:

— A pani jak zawsze wesoła. Ja też się cieszę z naszego spotkania. Proszę mi podać flaszeczkę portera.

Wszedł do tylnej izby. Gospodyni zaraz posłała mu zamówioną flaszkę, poczym znowu usiadła koło swej przyjaciółki.

— Wyśmienity chłopak, ten Helmer — zauważyła. — Wysmukły i gładki jak delfin.
— I dobry do tego — skinęła Holenderka.
— Myślę, że jego żona nie ma z nim kłopotu.
— O! Żadnego! — potwierdziła Jefrouw Mietje. — Trzeźwy jak rzadko który i do tego oszczędny. A rozumny! Pomyślcie, nawet w gimnazjum studiował.
— Naprawdę? A dlaczego nie został księdzem albo adwokatem?

— Nie starczyło na tyle, bo rodziców miał biednych. Miał wprawdzie przyjaciela, nijakiego Sternaua, który razem z nim chodził do gimnazjum i ojciec tamtego płacił za obu, jednak umarł przedwcześnie. Ten Sternau jest teraz sławnym lekarzem i nawet bogatym. Podobno przeprowadził pomyślnie operację jakiegoś hrabiego.

— Czy to możliwe? — rzekła matka Dry, wietrząc jakąś historię.

— Tak, tak. On tego hrabiego, który był ślepy, operował i przeciął mu oko, tak że znowu wzrok odzyskał. Za to dał mu hrabia dla niego i rodziny paręset tysięcy dolarów, a może i więcej, nie wiem dokładnie.

— Na Boga! — zawołała matka Dry klaszcząc w dłonie.

— To wielkie, bardzo wielkie pieniądze, aleja mu z całego serca spryjam, bo ten doktor jest również bardzo dobrym i uprzejmym człowiekiem. Jego rodzina mieszka razem z rodziną naszego sternika niedaleko Moguncji, obok wsi Kreuznach, w środku wielkiego lasu.

— W środku lasu? To straszne, a jakby tam były niedźwiedzie, albo co gorsza napadli Indianie?

— Indian tam nie ma, a niedźwiedzi... myślę, że także nie. Jak te wielkie pieniądze nadeszły to rodzina doktora powiedziała do żony naszego sternika, że i jej bieda już się skończyła. Chcą mu dać pieniądze, by sobie kupił okręt i samodzielnie prowadził interesy.

— O, to ładnie. Widocznie obie rodziny są bardzo zaprzyjaźnione. Sama życzyłabym Helmerowi najlepszego, bo to bardzo porządny chłopak, a w dzisiejszych czasach trudno pomiędzy marynarzami takiego znaleźć.

W czasie toczącej się rozmowy Jefrouw robiła pończochy, a matka Dry zajmowała się bufetem. Tymczasem sternik zajął w milczeniu miejsce, w kącie tylnego pokoju. Nie należał do ludzi, którzy jako pierwsi wszędzie się wpychają i starają się być na pierwszym planie. Mimo tego zwrócił na siebie uwagę paru osób, którzy go znali.

— Holla! Sternik Helmer! — zawołał jeden z obecnych — Ze — szliście na ląd? Waszego starego już widzieliśmy. Jak się wam powodzi?

— Dziękuję kapitanie, nie mogę narzekać, mój szef Dangerlahn dobrze zna swoje rzemiosło i nikomu z nas krzywdy nie robi.

— Dangerlahn? — zabrzmiało ostre pytanie Amerykanina z drugiego końca stołu. — Jesteście u niego majtkiem?

— Nie, sternikiem.

— Jak długo z nim pływacie?

— Cztery lata.

— Skąd płyniecie tym razem?

— Od Molukków.

— Zapewne naładowaliście korzeni?

— Tak.

— Jakiej wartości?

— O to proszę spytać samego kapitana.

— Ale tak w przybliżeniu, przecież jako sternik musicie to wiedzieć.

— Oczywiście, ale nie muszę tych informacji upowszechniać.

— Cóż to ma znaczyć? Myślę, że nie chcieliście być względem mnie, starego i obytego kapitana, niegrzeczni!

— A ja nie spodziewałem się, żebyście mnie jak pierwszego lepszego młokosa chcieli wybadać względem rzeczy, które was nie dotyczą. Jeśli się nie mylę to mam do czynienia z kapitanem Henrykiem Landolą?

— Tak, to ja.

— Więc proszę się troszczyć o swoje towary, które jak mi się zdaje znacznie różnią się od korzeni.

Kapitan aż podskoczył z gniewu i zbliżył się do Helmera.

— Czy może szukasz zaczepki, młodzieniaszku? Mam przy sobie dobry i ostry nóż, więc uważaj byś się z nim nie musiał zapoznać. Jak śmiesz się zajmować moim towarem?

— Takim samy prawem, jak wy moim.

— Ja pytałem całkiem bezinteresownie i nie mówiłem zagadkami jak ty. Czy myślisz może, że mam na okręcie jakiś podejrzaną towar?

— Hm! Może zechcecie nam pokazać, co takiego macie na spodzie okrętu, że nawet żaden z waszych majtków nie śmie tam schodzić.

Kapitan zbladł jak ściana, zebrał jednak wszystkie siły i rzekł:

— Śniesz może? Ja płynę z Hiszpanii, a wy od Molukków, co możesz wiedzieć o ładunku na spodzie mego okrętu?

— Że ukrywacie tam więźnia!

Kapitan i tym razem, pomimo widocznego zmieszania zapanował nad sobą i odpowiedział:

— Czy nie mam prawa majtka, który wypowiedział posłuszeństwo, zamknąć na dnie?

— O zapewne! Ale nie macie prawa zamykać tego, którego dostarczył wam Gasparino Kortejo i którego sami zabraliście z zamku Rodriganda.

Landola nie mógł zapanować nad sobą, przerażenie jego było tak widoczne, że wszyscy spoglądali nań z niedowierzaniem, kiwając głowami. Zauważył to i w jednej chwili zdobył się na spokój, zapanował nad strachem i śmiejąc się wymuszenie rzekł:

— Chyba oszalałeś! Kiedy zarzuciliście tutaj kotwicę?

— Przed dwoma godzinami.

— A ja przed czterema. Zresztą płyniemy z zupełnie odmiennych stron, więc co i skąd możesz wiedzieć? Zresztą nie mam czasu przysłuchiwać się twoim fantazjom. *Adieu*, panowie.

Założył swoją czapkę i wyszedł.

— Co to było? Co takiego wiecie, sterniku? — pytali wszyscy skoro tylko wyszedł.

— Nic. Podśledzałem tylko rozmowę jego dwóch marynarzy.

— A! To tak! Za tym musi się coś kryć. Przeraził się nie na żarty i nie mógł ukryć zdenerwowania.

Kapitan oddalił się natychmiast na swój okręt.

— Skąd on o tym wie — mrucał. — Nie mogę tego pojąć, to jest rzeczywiście zagadka nie do rozwiązania. Muszę go unieszkodliwić. I tak już miałem chętkę na „Jefrouw Mietje”, teraz muszę na nią zapolować. Ten statek musi być mój. W godzinę po nim opuścę port.

Obaj majtkowie, których Helmer podsłuchiwał powieźli go na łódce do jego okrętu. Gdy tylko wszedł na pokład udał się zaraz do swego sternika.

— Holla! Mat, dzisiaj należy uważać! — rzekł do niego.

— Nowy interes, senior? Z kim?

— Z tym Holendrem, który tam stoi. Wraz z odpływem ma opuścić port, a godzinę po nim, my. Ale o tym, cisza.

— Rozumiem, senior! Ta „Jefrouw” ma dobry towar?

— Korzenie z Molukków.

— Dużo ludzi na nim?

— Prawdopodobnie pojedyncza obsada, my jesteśmy co najmniej dwa razy silniejsi.

— Postąpimy jak zwykle?

— Tak. Podpłyniemy jak najbliżej, zwrócimy się bokiem i zahaczmy.

— Kto poprowadzi ludzi dzisiaj, pan czyja?

— Ja poprowadzę. Tam na „Jefrouw” znajduje się jeden taki, z którym koniecznie muszę pogadać.

W innej części okrętu, majtek Claussen ze swoim towarzyszem rozprawiali o więźniu.

— Będiesz z nim dziś mówić? — pytał jeden.

— Tak.

— Myślisz, że się zgodzi na wyższą cenę?

- To oczywiste.
- Ale jak wywlecziemy go na pokład, a potem na brzeg?
- Ty będziesz stał na straży.
- Gdzie?
- Przy tylnym otworze.
- Dobrze.

— W godzinę po zapadnięciu zmroku dostaniemy naszą wachtę. Musimy tak to urządzić, byśmy je dzisiaj dostali pierwsi. Jeżeli się pospieszymy potrafimy go przetransportować na tył pokładu, podczas gdy inni będą jeszcze jeść kolację. Następnie szybko wrzucimy linę do wody, po niej do małego czółna, a potem już na ląd.

— A potem?

— Potem zaraz w góry, tam musimy się ukryć nim „Pendola” opuści port. Wyspa ta jest skalista i dosyć rozpadlin znajduje się w górach, więc możemy tam urządzić bezpieczną kryjówkę.

— Idź zaraz do niego i rozmów się z nim.

Majtek zszedł na samo dno, gdzie w wilgotnym piasku, który służył jako balast oraz mieszkanie szczurów, w najciemniejszym kącie, skrępowany żelaznymi łańcuchami leżał Mariano, ów porucznik huzarów, znany w zamku Rodriganda jako Alfred de Lautreville.

Przeżył koszmarnie dni pełne męczarni, ale największą boleść sprawiała mu tęsknota za ukochaną i za przyjaciółmi. Jak tylko usłyszał kroki majtka, zapytał:

— Kto tam?

— Ja senior, przynoszę wodę.

— Daj, umieram z pragnienia.

Majtek postawił obok niego dzbanek z wodą i udał, że chce się oddalić.

— Czekaj! Stój! — prosił Mariano.

— Czego jeszcze chcesz, senior? — zapytał marynarz.

— Czy zastanowiłeś się nad moją propozycją?

— Tak.

— No i co?

— Za mało dajecie, senior.

— Pięć tysięcy duros, to za mało?

— Tak.

— Toż to dla ciebie majątek.

— Dla mnie może, ale ja muszę się tym podzielić tym, sam nie dam rady wszystkiego zrobić.

— Potrzebujesz jeszcze kogoś?

— Tak.

— A znajdziesz takiego, który nas nie zdradzi?

— Miałbym już jednego, gdybyś tylko zgodził się na inną cenę.

— Dobrze, więc ile chcesz?

— Niewiele, sześć tysięcy duros zamiast pięć.

— Kiedy zamierzacie to przeprowadzić?

— Dzisiaj, jak tylko wieczór zapadnie, jeżeli obiecacie zapłacić mi żadaną sumę.

— Dobrze, dostaniecie.

— Czy to pewne? Nie oszukacie nas?

— Daję ci słowo honoru.

— Wierzę panu. Dziś jeszcze udamy się w góry i tam w bezpiecznym miejscu przeczekamy.

— To zbyt cenne. Ja zostałem porwany wbrew prawu, a wy także znajdujecie się na pirackim statku, czego na początku służby nie wiedzieliście. Jak tylko zejdziemy na ląd, broni nas prawo.

— Wie pan to z całą pewnością?

— Tak, nie potrzebujecie się o nic troszczyć ani obawiać!

* * *

Tymczasem poczciwa Jefrouw nagadawszy się do woli z matką Dry, udała się do czółna, na którym siedział już sternik i oboje po — wiosłowali do statku.

— No, jak wam się podobał ten Landola? — spytał kapitan sternika.

— Zbyttnio nie można mu ufać — odpowiedział Helmer. — Tak natrętnie domagał się informacji na temat naszego towaru, że musiałem ostro go zganić. Myślę, że musimy się go strzec.

— No, zobaczymy. Za godzinę odpływamy, reszta się jakoś potoczy.

Po godzinie rzeczywiście „Jefrouw Mietje” podniósł kotwicę i począł z początku powoli, potem jednak coraz szybciej żeglować na pełne morze.

W niecałą godzinę później odezwał się dzwon okrętu „Pendoli”, na znak, że wieczorne porcje będą rozdzielane. Wszyscy pospieszyli w kierunku kuchni.

Obaj wtajemniczeni spiskowcy dostali jako pierwsi. Natychmiast jeden z nich pospieszył na tył okrętu. Sprawdził, czy wisząca łódka znajduje się na swoim miejscu, poczym niezauważony udał się do tylnego zejścia. Jego towarzysz udał się tymczasem na dno statku.

— Czy to ty? — spytał więzień.

— Tak.

— Co zrobimy z łańcuchem?

— Mam ze sobą szczypcę do metalu. Kluczy nie potrzebujemy.

Po dwóch minutach łańcuch był rozcięty i obaj ukradkiem poszli na górę. Właśnie wysuwali się tylnym okienkiem na pokład, gdy zabrzmiał głos, który ich przeraził.

— Wszyscy na pokład! — wołał kapitana, który stał na przedzie okrętu.

Przeszedł potem do tyłu i właśnie w chwili, gdy obie postacie wychylały się z tylnego otworu, przeszedł tuż obok nich.

— Do stu tysięcy diabłów! Co to ma znaczyć? — krzyknął. — Warta! Do mnie!

Z taką siłą uderzył pięścią osłabionego Mariano, że ten po schodkach potoczył się znowu na dno, podczas, gdy dwaj majtkowie otoczeni przez wartę zostali skrupowani i wrzuceni do magazynów.

Natychmiast powróciła dawna karność i dyscyplina, na pokładzie zapanował ład, jakby nic nie zaszło.

Pozapalano światła, podniesiono kotwicę, rozpostarto żagle i „Pendola” posunął się szybko po morzu. Był o wiele lepszy i szybszy niż „Jefrouw Mietje”.

Kapitan stał przy sterze i badał prędkość statku. Był zadowolony.

— Hura! Zdejmijcie flagę! Czarna na maszt! Maski na twarze! Broń do ręki! Działa gotowe do bitwy!

Te rozkazy sprawiły na parę minut gwar i zamęt, ale po chwili okręt zmienił zupełnie swój wygląd, tak, że nikt by go nie poznał, z handlowego statku stał się pirackim.

— Jak myślisz, sterniku, dogonimy „Jefrouw”? — spytał kapitan.

— Jak najbardziej, kapitanie — odrzekł sternik.

— Nawet przy zmienionych żaglach?

— Tak. Obserwowałem ich w czasie odpływu, jesteśmy szybsi.

— To za dwie godziny rozpocznie się taniec.

„Jefrouw Mietje” dostał się tymczasem na pełne morze i płynął spokojnie, bez pośpiechu w kierunku północnym. Wkrótce ukazał się księżyc i rozsrebrzył kołyszące fale. Jefrouw siedziała na swym stałym miejscu, z nieodstępą pończochą w ręce, kapitan zaś udał się do kajuty, by uzupełnić rachunki. Sternik oparł się o koło i zamiast do przodu patrzył za siebie.

Posiadał bardzo dobry wzrok i dzięki temu wkrótce dojrzał jakiś punkt, a chwilę potem zawołał:

- Heda Nels!
- Słucham mat! — brzmiała odpowiedź.
- Skocz po kapitana, niech natychmiast przyjdzie.
- Już biegnę!

W minucie kapitan znalazł się na mostku i stanął przy sterniku.

- Co nowego mat? — zapytał.
- Proszę wziąć lunetę i spojrzeć prosto w kierunku tylnego zgłębienia.

Kapitan ustawiał ostrość, przykładał lunetę parę razy, a w końcu odezwał się:

- Dałbym się usmażyć jeśli to nie barka.
- Nie, Mynheer, to tylko okręt.

Żeglarz rozróżnia mniejsze i większe statki. Do tych pierwszych zalicza wszelkie rodzaje trójmasztownców, podczas gdy jedno lub dwumasztowce nazywa barkami.

— Masz słuszność! — zawołał kapitan, który cały czas uważnie spoglądał przez lupę — To trójmasztowiec.

- Ale co za jeden, Mynheer?
- To wie tylko sam diabeł, opuść trochę śrubę i steruj na prawo. Może straci nas z oczu.
- Sternik wykonał rozkaz, ale okazało się, że okręt z tyłu również skręcił na prawo.
- Holla! On sobie nas upatrzył — zauważył Dangerlahn.
- Tak. Bardzo dobrze żegluje. Za pół godziny będzie przy nas.
- Rozwinąć żagle, musimy zyskać na czasie. Już my go przyjmiemy jak się należy.

Zwróciwszy się w stronę załogi, wydał komendy:

— Chłopcy, pirat za nami! Siatki obronne przeciw hakom w górę! Broń na pokład i ołów do armatek. Każdy po bitwie otrzyma podwójną porcję i flaszeczkę rumu.

- Hura! — odezwały się liczne głosy.

Gdyby kapitan Landola mógł zobaczyć przygotowania, jakie obecnie na „Jefrouw Mietje” się odbywały, nie nadpływałby z taką pewnością i brawurą.

Marynarze kapitana Dangerlahna zakasali rękawy. Przyniesiono siekiery, olbrzymie topory i najrozmaitszą broń. Dwie armatki naładowano siekanym ołowiem, po czym je zasłonięto, by nieprzyjaciel myślał, iż nie mają żadnych dział do obrony.

Pani Jefrouw wyrwana została ze swej obojętności. Odłożywszy na bok pończochę patrzyła chwilę na przygotowania, a wreszcie podniosła się i zeszła do prochowni. Wkrótce ukazała się z koszykiem, niosąc okrągłe, podobne do gruszek kule zapatrzone w lont.

Były to owe sławne, ogniste kule z Jawy, którymi posługują się na okrętach, by odpędzić od siebie malajskich korsarzy i zapalać małe statki.

- Dostyc ich przyniosłam? — spytała męża.
- Wystarczy — odpowiedział.

Był przyzwyczajony, że Jefrouw brała udział w walce, więc i tym razem zostawił jej wolny wybór.

Obcy okręt zbliżał się coraz bardziej. Płynął ciągle w kierunku tylnego końca okrętu, ale wkrótce skręcił i rozłożywszy jeszcze jeden żagiel podążył do boku ofiary. Dogoniwszy go oddał strzał, a doniosły głos zabrzmiał:

- Steruj w stronę mojej burty!
- Bardzo dobrze! — odpowiedział Mynheer i rzeczywiście kazała zmienić kurs.
- Co to za okręt? — pytano.
- „Jefrouw Mietje” z Amsterdamu.
- Co za kapitan?
- Kapitan Dangerlahn.
- Skąd i dokąd plyniecie?

— Od Molukków do domu!

Dotychczas kapitan odpowiadał bez wahania jakby uważał obcy okręt za wojenny. Teraz jednak sam zaczął zadawać pytania:

— A co to za okręt?

— Czarny! Poddajcie się!

— Pójdźcie tu tylko gapie!

— Hurraa! — krzyknęła załoga po odważnych słowach kapitana. Ostry strzał był odpowiedzią korsarza, ale właśnie wiatr przechylił okręt na bok, więc kula poszła w powietrze.

Głośne śmiechy dały się słyszeć na „Jefrouw”.

— Do boku! Haki w pogotowiu! — zabrzmiała komenda na czarnym okręcie.

— Wyrzucić siatki, do mnie chłopcy! — rozkazał Mynheer Dangerlahn.

W chwili, gdy oba statki były oddalone na długość okrętu, korsarze dali drugą salwę. „Jefrouw” zadrzał, z góry do dołu poleciało parę trzask, ale maszty i żagle nie zostały uszkodzone.

— Hurra! Zarzuć haki! — zaryczał głos na czarnym.

— Hurra! Chłopcy do tyłu! Zostawcie im miejsce! — wołał Dangerlahn.

Oba okręty złączone hakami kołysały się obok siebie, rabusie musieli zaczepić się z przodu, skutkiem czego piraci zbili się w masę na dziobie swego okrętu.

— Teraz jest ich dosyć na dziobie! — zawołał Dangerlahn. — Odsłonić armatki! Ognia!

Oba działa w sekundzie skierowano w masę pracujących naprzód piratów. Dwa strzały padły prawie równocześnie i mocno potargały całą masę.

— Brawo chłopcy! Prędko ładować! — rozkazał Dangerlahn — Ognia!

Po trupach cisnęli się następni i znowu zapełnili cały przód. Następne dwa strzały rozerwały ich podobnie jak poprzednich i zasłały trupami pokład.

— Teraz na nich! Hurra! — krzyczał kapitan.

Dzielni marynarze porwali za topory i rzucili się na korsarzy. Sternik, który dotychczas stał obok steru porwał jedną ze swych strasznych broni i pobiegł naprzód. Wszyscy rabusie mieli na twarzach czarne maski. Jeden z nich, który przewodził i rozkazywał przejawiał największą agresję. Właśnie w jego stronę skierował się sternik i chciał mu toporem zadać cios, ten jednak wyciągnął siekiere zakończoną hakiem. Obie bronie zderzyły się z wielką siłą i wypadły z rąk walczących.

— A to ty, psie! — zakrzyknął korsarz poznawszy sternika. — Muszę cię dostać!

Złapał go lewą ręką za pierś, prawą zaś wyciągnął nóż. Ale Helmer wyrwał go i rzucił na pokład. Wskutek szamotaniny maska z twarzy rabusia spadła. Helmer krzyknął:

— Kapitan Landola! O! Ciebie to muszę wziąć żywcem. Chciał go rzucić o ziemię, ale w tym momencie rozległ się przeraźliwy krzyk:

— Ogień na okręcie! Wracać!

Spojrzał do tyłu i Landola wykorzystując ten moment, uciekł. W tyle na podwyższeniu pokładu stała Jefrouw Mietje i rzucała ogniste kule na pokład nieprzyjaciela. Ogień zmusił rabusi do odwrotu, poodczepiano haki i „Jefrouw” był wolny.

— Hurra chłopcy! — wołała Dangerlahn — Jesteśmy wolni! Żagle do góry i w drogę. Daliśmy im nauczkę. Pokład w porządku!

Pokład był cały zbroczony krwią, ale z załogi tylko jeden marynarz był ranny. Żagle rozpięto na nowo i statek popłynął. Widziano jeszcze, że ogień na statku korsarzy został ugaszony.

Najbardziej zły na zaistniałą sytuację był sternik Helmer. Czarny kapitan wymknął mu się z rąk...

W MOGUNCJI

Jadąc z Moguncji na północ, po kilku godzinach drogi natrafia się na wioskę, która jest siedzibą nadleśniczego. Sama nadleśniczówka to rozległy i wysoki gmach, zbudowany na kształt zamku. Można było po nim poznać, że budowany był z myślą o zupełnie innych mieszkańcach, niż ci, którzy zamieszkiwali go teraz.

Nadleśniczy Rodenstein nie był żonaty, a że ten ogromny dom stał się dla niego zbyt ogromny, sprowadził do siebie daleką krewną i jej córkę. Krewną tą była pani Sternau, matka doktora Karola Sternaua. Od dłuższego czasu była już wdową więc chętnie zgodziła się na propozycję swego krewnego, którego powszechnie nazywano kapitanem, gdyż pełnił niegdyś funkcję kapitana formacji obrony kraju.

W bocznym zabudowaniu, mieszkała rodzina sternika Helmera: jego żona i pięcioletni synek, Robert. Był on wielkim urwisem, ale także ulubieńcem wszystkich mieszkańców nadleśniczówki.

Pewnego wczesnego ranka siedział kapitan w swojej pracowni i zajmował się rachunkami. Nie była to według niego najprzyjemniejsza robota, więc czoło jego było groźnie pomarszczone, a w oczach błyskały gniewne ogniki.

Wtem zapukano do drzwi.

— Wejść! — krzyknął władczo kapitan.

Drzwi się otwały i wszedł pomocnik leśniczego, Kurt. Był on prawą ręką kapitana i jako pierwszy musiał odczuwać dobre i złe strony jego życia. Ponieważ służył kiedyś pod kapitanem, przyzwyczajony był do wojskowej karności. Stał więc noga przy nodze, przy drzwiach, nie złożony ukłonu.

— Cóż takiego? — burknął nadleśniczy.

— Dzień dobry panie kapitanie.

— Dzień dobry, niech to czart porwie!

— Co? Złodziei drzewa?

— Złodziei! Głupcze! Ja myślę o tabelach.

— Prawda, one są gorsze niż złodzieje drzewa. Szczęście moje, że nie jestem nadleśniczym, nie potrzebuję się troszczyć o tabele.

— Ha! Ty i nadleśniczy! — zamruczał kapitan z gniewem. — Robiłbyś pewnie same głupstwa i bez tych tabel.

— Głupstwa! Ja? Niech mnie Bóg skarże, panie kapitanie, jeśli coś podobnego kiedykolwiek przyszło mi do głowy.

— Co? Może nie? Nie popełniłeś wczoraj żadnego głupstwa?

— Wczoraj?

— Tam w jeziorze!

— Ach, że chciałem Roberta nauczyć pływać?

— Tak! Pięcioletni chłopiec ma pływać! A jeśli się utopi?

— Ależ on chciał się koniecznie nauczyć!

— I ty mu to pokazałeś?

— Tak.

— Więc ty umiesz pływać?

— Nie.

— Łotrze, chcesz uczyć pływać, a sam nie umiesz? To jest przecież największe głupstwo, jakie tylko można wymyślić, do stu tysięcy diabłów! Powiadam ci, że jeżeli jeden z was się utopi, a usłyszę, że to malec, to możesz duszę polecić Bogu, jeśli ty się utopisz, nie mam nic przeciwko temu. Po co przyszedłeś?

— Jakiś pan czeka na dole, który chce koniecznie mówić z panem kapitanie.

— Któż to taki?

— Swoje nazwisko chce powierzyć tylko panu.

— Głupstwo! Czy ma chociaż porządny surdut na sobie?

— Ma. I okulary także.

— To nie ma dla mnie znaczenia. Dziś byle łajdak i półgłówek nosi okulary. Czuć od niego wódkę?

— Hm! Nie wahałem jeszcze.

— Co, nie? Na przyszły raz masz go obwąchiwać! Zrozumiałeś? Teraz przyślij go na górę!

— W tej chwili, kapitanie!

Kurt odszedł szczęśliwy, że skończyła się już jego lekcja i wnet nieznajomy wszedł do pokoju.

Był to wysoki, chudy człowiek, z niebieskimi okularami na haczykowanym nosie. Wszedł jak do siebie i zapytał z pewną poufałością w głosie:

— Czy pan jesteś nadleśniczym Rodenstein?

Teraz nareszcie kapitan znalazł kogoś, na kim mógłby wyładować swój gniew. Wstał, otworzył drzwi i wskazał ręką na korytarz.

— Cofnij się pan trochę! — zagrział całą siłą swego głosu.

— Dlaczego? „,

— Dlaczego? To przecież proste, gdyż ja sobie tak życzę!

— Ale, ja nie widzę przecież...

— Za drzwi! — przerwał mu kapitan i to głosem, pod którego wrażeniem przybysz zadrżał.

— Dobrze, jeśli pan sobie tak życzy, mogę to uczynić — to mówiąc cofnął się za drzwi.

— Tak jest dobrze — rzekł nadleśniczy. — Teraz proszę wejść jeszcze raz i ukłonić się, jak robi każdy porządny człowiek, nawet jeśli przyjdzie do najbiedniejszego wyrobnika!

Nieznajomy otworzył szeroko usta z podziwu, zdjął okulary, wyczyścił je i wlepił swe oczy w kapitana.

— Ależ panie nadleśniczy, jakim prawem pouczasz mnie o czymś co...

— Próżna gadanina! — przerwał mu kapitan — Jakim zaś prawem wstępujesz pan do pokoju, nie pozdrowiwszy mnie nawet.

— Bo mam do tego prawo.

— Prawo! Do pioruna! Prawo wchodzenia do mnie, bez pozwolenia, mam tylko ja sam!

Nieznajomemu przybrał ważną postawę i rzekł:

— A ja mogę wejść wszędzie, gdzie mi się tylko spodoba.

— Tak? Kim pan jesteś?

— Jestem królewskim komisarzem policyjnym. Zrozumiał pan, panie nadleśniczy?

— Tak? No i co z tego? Nawet gdybyś był pan królewskim kucharzem pierogów, musiałbyś mnie pozdrowić. Zrozumiałeś?

Wypchnął komisarza za próg i zamknął za nim drzwi. Nie upłynęła nawet minuta, a odezwało się pukanie.

— Wejść! — krzyknął kapitan.

Nieznajomy otworzył drzwi i wszedł. Szyderczo wykrzywione usta wskazywały, że upokorzenie było pozorne i krótkotrwałe.

— Panie leśniczy, — rzekł — mam powody do ustąpienia panu. Dzień dobry!

— Dzień dobry. Cóż dalej?

— Czy mogę prosić o chwilę urzędowej rozmowy?

— Nie mam wiele wolnego czasu, więc proszę wyrażać się krótko. Usiądź pan, czego pan sobie życzysz?

— W tym domu mieszka nijaka pani Sternau?

— Tak.

— Ze swoją córką?

- Tak.
- Na jakiej podstawie?
- Do stu tysięcy piorunów! Mieszkają one u mnie, i basta!
- Muszę zauważyć, że upoważniony jestem do wymagania grzeczniejszych odpowiedzi.
- Otrzymasz pan je także, panie komisarzu królestwa pruskiego.
- Czy oprócz tej córki ma ona jeszcze inne dzieci?
- Dzieci nie, lecz syna.
- Kim on jest?
- Lekarzem.
- Gdzie przebywa?
- Słuchaj no przyjacielu, nie mam ani czasu, ani ochoty na dłuższe przesłuchiwanie, których nawet celu i powodu nie znam. Co pan chcesz od doktora Sternaua?
- Wysłano za nim list gończy.
- List goń... goń... czy! — zawołał kapitan — Co pan pleciesz?
- Powiem panu prawdę. Ściga go policja hiszpańska.
- Z jakiego powodu?
- Jest oskarżony o usiłowanie morderstwa, kradzież, porwania oraz członkostwo w bandzie rozbójników.
- Kapitan zmierzył komisarza jakimś szczególnym spojrzeniem, potem rzekł:
 - Więcej nic? Tylko dla takich drobnostek?
 - Panie nadleśniczy, według pana to są drobnostki?
 - Nie rozumiesz mnie pan, najwidoczniej. Powiem panu moje zdanie. Sternau jest jednym z najpoczciwszych ludzi na świecie. Prędzej uwierzę w to, że to pan jesteś mordercą, złodziejem lub członkiem jakiejś bandy zbójckiej. Takie podejrzenia są po prostu głupie, a ja nie zwykłem zajmować się głupstwami. Czy pan rzeczywiście jesteś królewskim komisarzem państwa pruskiego?
 - Jestem nim.
 - Możesz pan to udowodnić jakąś legitymacją? Nie znam pana.
 - Panie! Jak możesz żądać ode mnie czegoś podobnego! — krzyknął nieznajomy z gniewem.
 - Bo każdy oszust może wpaść na pomysł udawania komisarza policji. Idź pan stąd i nie wracaj wcześniej, aż zdołasz się wylegitymować!
 - Wie pan co czyni?
 - Wiem i to bardzo dokładnie. Zaraz wyrzucę pana za drzwi, jeśli dobrowolnie nie pójdiesz!
 - Wrócę więc z eskortą, pana zaś oskarżę o stawianie oporu władzy. Niepotrzebnie uważa się pan za samego księcia Rzeszy!
- Kapitan pochwycił dzwonek i zaraz wszedł Kurt.
 - Kurt!
 - Tak kapitanie!
 - Wyprowadź tego łotra, a jeśli nie będzie szedł dość prędko, tu zrzuć go ze schodów i poszczuj psami!
 - W jednej chwili, panie kapitanie! — rzekł myśliwy, śmiejąc się całą twarzą, gdyż rozkaz ten wyjątkowo przypadł mu do smaku.
 - A jeśli jeszcze raz pokaże się u nas bez legitymacji, to masz go aresztować, a gdyby usiłował uciec to cały ładunek śrutu możesz mu wypalić w niezdarne nogi.
 - Stanie się wedle rozkazu pana kapitana! — i zwróciwszy się do nieznajomego wskazał rozkazującym gestem drzwi i rzekł ostrym tonem:
 - Naprzód! W drogę, drabie!

Policjant wobec takiego rozwoju sytuacji cofnął się o parę kroków, lecz oczy jego rozbłysły gniewnie.

— Zapłacicie mi za to obaj!

— Wynoś się! — rozkazał nadleśniczy i przy okazji tupnął nogą. Kurt pochwyił przybysza, wyniósł go na korytarz i zrzucił ze schodów. Na dole stało kilku myśliwych, chętnych do roboty, jaka się właśnie nadarzała. Policjant przy ich pomocy opuścił zamek, z szybkością błyskawicy. Gdy był już w bezpiecznej odległości podniósł do góry pięści, przysięgając leśniczemu wieczną zemstę.

Na podwórzu zamkowym stał młody chłopak, ubrany w piękny, zielony, myśliwski strój. Był to Robert Helmer, pięcioletni syn sternika okrętu „Jefrouw Mietje”.

— Kurt, czemu wyrzucają tego człowieka? — zapytał — Co takiego zrobił?

— Obraził pana kapitana — brzmiała odpowiedź.

Twarz chłopczyka przybrała gniewny wyraz i rzekł:

— W takim razie niech szybko rusza w drogę. Przyniosę zaraz moją strzelbę i przedziurawię mu skórę, tak że będzie miał dosyć. Kto obraża pana kapitana, tego zastrzelę bez litości!

Strzelec zaśmiał się z wielkiego zadowolenia; chętnie widział, jak malec, jego ulubieniec okazywał swą odwagę.

— Stój! — rzekł zobaczywszy, że Robert rzeczywiście chciał iść po strzelbę. — Do ludzi nie wolno tak od razu strzelać, ale mam zwierzynę, na którą mógłbyś zapolować.

— Zwierzynę? Jaką?

— Lisa.

— Lisa! — zawołał malec, a oczy jego rozjaśniły się radością. — Gdzie ten łotr się ukrywa?

— Tam, w dąbrowie. Wytropiłem go wczoraj i wyruszę później z jamnikami na polowanie.

— Mogę pójść z tobą?

— Rozumie się, jeśli mama pozwoli.

— Zaraz się zapytam!

Szybko pobiegł do ogrodu, gdzie jego matka karmiła drób. Była to nader sympatyczna brunetka. Malec wskoczył w sam środek ptactwa, aż rozleciało się na wszystkie strony i krzyknął wesołym głosem:

— Mamciu, mamu mam go zastrzelić!

— Kogo, ty mój mały lamparcie? — zapytała ze śmiechem.

— Lisa, który nam dusi kury.

— Gdzie on jest?

— W dąbrowach. Kurt wytropił go i zamierza się tam wybrać. Czy mogę mu towarzyszyć?

— Możesz, bo Kurt będzie na ciebie uważał.

Malec wyprostował się, przybrał nadaśnaną minkę i rzekł dumnym głosem:

— O, ja właściwie Kurta nie potrzebuję. Takiego lisa sam potrafię zastrzelić!

To mówiąc wszedł do domu, powrócił jednak szybko mając strzelbę przewieszoną przez ramię. Była to dwururka, którą dostał w prezencie urodzinowym od kapitana. Kapitan bardzo się cieszył widząc jak chłopiec wprawia się we władaniu bronią i że śmiało może stawać w zawody ze starszymi strzelcami.

— Idę już, mamusiu — rzekł.

— Ale chyba nie do wody, tak jak wczoraj — upomniała chłopca.

— Dlaczego nie?

— Bo teraz jezioro zamarza i nikt się w zimie pod lodem nie kąpie.

— Jednak ty mnie zawsze kąpałaś w zimnej wodzie. Kurt powiedział, że zimna woda hartuje, daje zdrowie i siły. Jeśli się teraz nie nauczę pływać, to nie będę mógł pływać w lecie, gdy nadejdzie stosowana do kąpieli pora.

— Ale możesz zachorować i umrzeć, a twoja matka bardzo by za tobą płakała.

Jego nadašana twarzyczka przybrała przyjazny wygląd, przystąpił do matki, objął ją rączkami i powiedział:

— Nie mamusiu, nie będziesz płakać. Ja nie pójdę do wody, możesz mi zaufać.

Pocałowała go, a on odszedł z taką miną, jak jakiś księżę wybierający się na polowanie z sokołami. Został już Kurta i paru innych myśliwych ze sforą jamników, którzy czekali na małego towarzysza.

Droga prowadziła przez gęsty las. Pytaniom ciekawego chłopca nie było końca, a myśliwi musieli wyczerpać całą wiedzę, by zaspokoić jego ciekawość. Robert był bardzo rozwiniętym dzieckiem i widać było, że czekała go nadzwyczajna przyszłość.

Był jasny, zimowy ranek. W głębi lasu leżał wysoki śnieg i Robert musiał dzielnie kroczyć, by dotrzymać kroku pozostałym. Gdy psy poczuły trop lisa poczęły rwać z całą siłą, musiano jednak powstrzymać ich zapędy. Jak się zdawało lis był pustelnikiem, który swe zimowe leże wolał zatrzymać tylko dla siebie. Zatkano boczne szczeliny, tak że tylko główne wyjście stało otworem i wtedy spuszczone psy. Natychmiast wpadły do nory, a strzelcy zajęli pozycje. Robertowi pozostawiono miejsce honorowe, obok wyjścia, gdzie z dumą przygotowywał się do strzału.

— Nie zastrzel przypadkiem jakiegoś psa — napominał go Kurt. — Byłby to bardzo nędzny strzał.

Robert zrobił pogardliwą minę i odpowiedział:

— Taki psi strzał pozostawiam wam.

Aby zbytnio się nie zmęczyć, wetknął w ziemię gałąź, a w jej widełkach umieścił strzelbę. Usłyszano ujadanie jamników dochodzące spod ziemi, wytropiły więc lisa. Gniewne wycie dowodziło, że zwierzak bronił się zaciekle. Nagle hałas dochodzący z głębi nasilił się... psy zmusiły lisa do opuszczenia szczeliny.

— Robercie, baczność! Lis zaraz się zjawi! — przestrzegał Kurt i wymierzył swą strzelbę w główny otwór.

Robert ciągle leżał na ziemi. Słyszał wyraźnie, z którego kierunku dochodzi szczekanie. Nagle rozległo się żalosne skomlenie, lis ugryzł jednego z jamników i po chwili coś czarnego wyleciało z nory.

— Lis! — zawołała Kurt.

Równocześnie z tym okrzykiem zabrzmiała jego strzelba, a śmiertelnie ranione zwierzę runęło na ziemię. Niemal w tym samym momencie zerwał się Robert i skierował swą strzelbę w zupełnie innym kierunku. Strzał jego huknął równocześnie ze strzałem myśliwego, tak, że można było mieć wrażenie, że to jeden strzał.

— Mam go! — krzyknął Kurt i skoczył ku zwierzęciu, które ustrzelił, lecz już przy drugim kroku stanął przestraszony. — Do pioruna, co to jest? — zaklął.

— To nasz Leśnik! — odpowiedział jeden z gajowych.

— Na Boga, to Leśnik! Zastrzeliłem Leśnika! To już nie jest strzał psi, lecz prawdziwie świński! Coś podobnego jeszcze mi się w życiu nie zdarzyło. Lecz jakim sposobem pies może wybiec przed lisem?

— Bo został ukąszony! — odrzekł Robert.

— Stul gębę, żółtodziobie! — burknął zły sam na siebie.

— Żółtodziobie! — zawołał Robert — No, to najpierw zobacz co tam leży, pod tamtym krzakiem, na prawo!

Wszyscy spojrzeli we wskazanym kierunku.

— To lis! To naprawdę lis! — krzyknął zaskoczony Kurt. Był to rzeczywiście lis, otoczony zgrają jamników.

— No, czy nadal jestem żółtodziobem? — zapytał dumnie chłopiec.

— Ty? Może chcesz powiedzieć, że to ty go zastrzeliłeś?

— A kto inny?

— Nie wierzę w to. To Ignacy lub Franciszek tutaj stali.

Chłopiec odrzucił dumnie głowę i wyciągnął nabój, by naładować pustą lufę.

— Nie, to nie ja — rzekł Franciszek. — Ja wcale nie strzelałem.

— Ja również nie — dodał Ignacy.

— Do pioruna, więc jest to strzał tego małego diablęcia! — krzyknął Kurt — Ale łotrze skąd ci wpadło do głowy strzelać właśnie w tamtym kierunku?

— Bo słyszałem, że lis biegł właśnie tam i do tego wam chciałem zostawić psi strzał.

Twarz strzelca zarumieniła się ze wstydu. Zbliżył się niesamowicie, a oprócz tego zastrzelił wypróbowanego psa.

— Właściwie lis nie powinien był opuścić nory — usprawiedliwiał się jeszcze. — Przecież zatkaliśmy dziury.

— Lecz nie dość szczelnie — zauważył Franciszek. — Spójrz tu! Ta odrobina gałęzi nie wystarczała, lis zobaczył przez nie światło.

— Przekłęte zdarzenie! — rzekł Kurt drapiąc się ze wstydem po głowie. — Jak ja teraz przyznam się panu kapitanowi, że zamordowałem jednego z naszych jamników!

— Sam musisz coś wymyślić! Teraz musimy obejrzeć lisa! Odegnali psy i wtedy okazało się, że był to wyjątkowo dorodny samiec. Niejeden raz musiał już zostać zaatakowany w norze i doskonale zapamiętał, że przed głównym otworem czeka go śmierć. Był tak dalece roztropny, że pyskiem odsunął gałęzie zastawiające jeden z otworów i dopiero potem wybiegł. Kula chłopca przeszła mu na wskroś łeb.

— Tak, to była twoja kula, chłopcze — rzekł Kurt. — Diabelski łotr z ciebie. Mając pięć lat kładzie śmiertelnym strzałem lisa, podczas, gdy ja, stary chłop, zabijam poczciwego psa. Zasłużyłem na policzek. No, niech się Bóg nade mną zlituje, gdy pan kapitan dowie się o tym. Jednak tobie chłopcze należą się splendory. Zbliż się, niech ozdobię twój kapeluszek trofeum myśliwskim!

Według zwyczajów myśliwskich, nagrodę, czyli gałązkę z drzewa liściastego, przyczepiono Robertowi do kapelusza na znak, że upolował zwierza.

Kurt pod śniegiem poszukał gałązki, z której liście nie spadły i chciał zdjąć kapeluszek z głowy Roberta, by go ozdobić, lecz chłopiec cofnął się z twarzą wyrażającą zacięty opór.

— Nie potrzebuję tej nagrody! — rzekł.

— Dlaczego nie?

— Mówiłeś mi zawsze, że jest ona oznaką honorową.

— Jest ona nią w tym wypadku rzeczywiście.

— Lecz odznaka ta należy się tylko temu, którego honor nie jest naruszony.

— Do stu tysięcy diabłów, nie mogę cię chłopcze pojąć! Spodziewam się, że twój honor nie jest tknięty! A może to nieprawda?

— Powiedz, czy może mówić o honorze ten, kto bezkarnie pozwala się obrażać, hę?

Mały, pięcioletni chłopczyzna przybrał tak groźną postawę, jakby chciał wyzwać strzelca na pojedynek.

— Czyli, że ciebie obrażono? — zapytał zdumiony Kurt.

— Tak.

— A któż cię obraził?

— Ty, a ja nie zniosę na sobie takiej plamy.

— A w jaki sposób cię obraziłem?

— Nie nazwałś mnie może żółtodziobem, hę? Ty! Ty! Ty sam strzelasz jak prawdziwy żółtodziób!

Wszystkim chciało się śmiać na widok wybuchu dziecinnej gniewu, pohamowali jednak swą wesołość, gdyż Kurt zachował powagę. Oczy jego zwilgotniały, był głęboko wzruszony tym energicznym, honorowym wystąpieniem swego wychowanka; przekonany był przecież, że i on przyczynił się do tego, by w duszy tego chłopca zasiać pierwsze ziarenka charakteru.

Dlatego przystąpił do niego, podał mu rękę, zdjął kapelusz z głowy i rzekł drżącym ze wzruszenia głosem:

— Jesteś dzielnym chłopcem, Robercie. Patrz, zdejmuję przed tobą czapkę. Czy zechcesz mi wybaczyć takie niefortunne określenie?

Twarde oblicze chłopce rozjaśniło się, ujął wyciągniętą prawicę i odpowiedział:

— Owszem, Kurt. Chodź tu i pocałuj mnie, gdyż bardzo cię lubię. A teraz możesz mi przypiąć nagrodę.

Ozdobiony kapelusz Robert założył na głowę z taką miną, jakby był cesarzem, wsadzającym przy wielkiej uroczystości koronę na swą głowę.

— A teraz żądam jeszcze czegoś! — rzekł.

— Czego?

— Lis jest mój i sam go zaniosę do domu.

— Oho! Jesteś za mały i za słaby na to.

— Ja! Co ty sobie myślisz! Nikomu innemu nie pozwolę go nieść! Zrozumieliście!?

By dowieść prawdy swych słów, podniósł lisa za tylne łapy do góry.

— Dobrze, spróbujemy! — rzekł Kurt — Zasłużyłeś i na ten zaszczyt, jeśli nadto będzie ci ciężki, zmienimy cię!

— Nic z tego! — sprzeciwił się chłopiec. — Sam wrócę do domu.

— To niemożliwe chłopcze. To dla ciebie zbyt daleko!

— Czy nie biegalem może aż dotąd? Sądziś może, że nie znam drogi?

— Znasz ją bardzo dobrze, mój mały. Lecz lis jest ciężki, nie dasz rady zanieść go do domu.

— Więc od czasu do czasu odpocznę.

— Hm! — mruknął Kurt, który bardzo dobrze wiedział, z jakiego powodu Robert pragnął iść sam. W samotności chciał rozmyślać nad odniesionym właśnie zwycięstwem. — Hm! Żądanie twoje nie jest pozbawione podstaw, więc spróbujemy. Nie mam nic przeciwko temu, jeśli pójdziesz sam. Zwiążę lisa i przerzucę ci go przez plecy. Ja zaś, do stu tysięcy piorunów, będę miał zaszczyt zanieśienia martwego jamnika do domu i wysłuchania mowy pogrzebowej, którą z pewnością wygłosi pan kapitan.

Związał cztery łapy lisa i przerzucił chłopcu przez barki w ten sposób, by mu zbyt nie ciężki, potem rzekł z uśmiechem:

— Tak chłopcze, wracaj teraz do domu ze swymi wawrzynami. Jest to pierwszy lis, który padł z twej ręki, ja zaś spodziewam się, że spudłowałem po raz ostatni. Czas najwyższy byłby już po temu.

Podniósł zabitego psa i poszedł z towarzyszami w głąb lasu. Chłopiec stał na miejscu i patrzył za odchodzącymi, potem obrócił się szybko i także ruszył w drogę. Znał ten las dobrze, znał prawie każde drzewo; nie potrzebował się więc obawiać, że zabłądzi. Z radości nie czuł ciężaru lisa, choć już po chwili pot skropił jego czoło i spływał na policzki. Szedł naprzód ale coraz wolniej, a w połowie drogi i musiał odpocząć. Miał jeszcze najwyżej dziesięć minut drogi przed sobą, gdy stanął na skraju lasu, chcąc wyjść na otwartą ścieżkę. Nagle usłyszał szelest kroków i zobaczył przed sobą mężczyznę, który szedł wolno zatopiony w myślach. Był to jakiś nieznamy, silnie zbudowany, wysoki mężczyzna w podróżnym stroju. Robert stanął, spojrzął nań badawczo i rzekł bardzo ostrym głosem:

— Stój! Czego tutaj szukasz?

Często, gdy spacerował z Kurtem po lesie słyszał te słowa ilekroć spotkali kogoś obcego. Wprawdzie Kurta teraz z nim nie było, lecz Robert był przekonany, że tak właśnie musi postąpić.

Nieznamy spojrzął na niego ze zdziwieniem, potem zaś zaśmiał się życzliwie i rzekł:

— Przestraszyłeś mnie! Zabrzmiało to tak, jakbym samego pana nadleśniczego miał przed sobą.

Chłopiec poprawił wiszącego na barkach lisa, przybrał groźną postawę i rzekł:

— Wiele mi do niego nie brakuje!
— Oho!
— Jest tak, jakby sam pan nadleśniczy was pytał. Czego tutaj chcecie?
Uśmiech obcego wyrażał teraz więcej podziwu niż życzliwości, ale odpowiedział:
— Idę do Kreuznach. Czy daleko jeszcze stąd?
— Nie, to za tymi dębami. Zaprowadzę was, jeśli chcecie.
— Bardzo proszę! Czy mogę ci za to pomóc nieść lisa?
— O tym nie ma mowy — rzekł Robert potrząsając przy tym energicznie głową.
— Ale on musi być ciężki.
— Nie dla mnie.
— Tak widzę, że jesteś silny. Ile masz lat? Pewnie osiem.
— Osiem? Nawet mi to głowy nie przyszło. Mam dopiero pięć lat.
— Pięć? — zapytał nieznajomy patrząc ze zdziwieniem na rozwiniętą postać chłopca —
Ależ to prawie niemożliwe.
— Myślisz może, że skłamałem? — zapytał Robert gniewnie.
— Nie, ale czy ty masz przy sobie strzelbę?
— Oczywiście, — odparł chłopiec dumnie i z pogardliwą miną dodał — Chcesz ją może oglądnąć? Masz, ale uważaj, bo jest nabita.
Nieznajomy wziął strzelbę do ręki i zdziwiony rzekł:
— Toż to prawdziwa strzelba, sporządzona chyba specjalnie dla ciebie!
— Masz rację! Sądził pan może, że to tylko niewinna zabaweczka dla małych dzieci?
— Tak.
— Ależ z pana głupiec! Taką strzelbą nie mógłbym przecież zabić lisa.
— Czy chcesz przez to powiedzieć, że to ty zastrzeliłeś tego lisa?
— Właśnie to chcę powiedzieć!
— Ty... Ty? — zapytał ponownie obcy niezmiernie zdziwiony.
— Pewnie! Nie będę się przecież wlec z lisem, którego sam nie ubiłem!
— Ależ z ciebie jest prawdziwy, mały bohater.
Chłopiec skinął głową przyjaźnie, obcy tymi słowami zjednał sobie jego serce, zapytał więc z miną protektora.
— Czy długo zamierza pan zostać w Zalesiu?
— Może.
— Dobrze. Wezmę więc kiedyś pana ze sobą na polowanie i pokażę, jak się poluje na lisa.
— Dziękuję ci, mały człowieku! — rzekł obcy. — Proszę, abyś o tym nie zapomniał. Ja ci za to opowiem jak się poluje na niedźwiedzie, lwy, tygrysy i słonie.
Tu chłopiec stanął zdziwiony i zapytał:
— Czy polowałeś już na taką zwierzynę?
— Tak.
— Hm, masz postawę potrzebną do tego! — rzekł z miną znawcy. — Znam kogoś, kto również polował na te zwierzęta.
— Któż to taki?
— Pan doktor Sternau.
— Znasz go?
— Tak. Nie wiedziałem go wprowadzić nigdy, lecz widziałem skóry lwów i niedźwiedzi, które padały od jego strzałów. Znajdują się one w pokoju kochanej pani Sternau. Jest to jego matka i to ona właśnie opowiadała mi o jego polowaniach. Chcę kiedyś zostać tak samo sławnym myśliwym.
— Sądzisz, że mu dorównasz? Tak, zdaje mi się, że posiadasz potrzebne do tego przymioty.

— Poczekaj, aż będę taki wielki, jak ty! Umiem już jeździć na koniu i strzelać. Kurt uczy mnie szermierki i gimnastyki, nauczę się także pływać, gdy tylko będzie ciepłej. Lecz jeśli chcesz zobaczyć panią Sternau, to zaraz ci ją pokażę.

— Gdzie? — zapytał nieznajomy, obróciwszy się szybko we wskazanym przez chłopca kierunku.

— Czy widzisz ten zamek?

— Widzę.

— A te szyby ponad ogrodem?

— Widzę.

— To jest zimowy ogród. Czy widzisz te dwie panie, które tam spacerują?

— Tak.

— To jest pani Sternau i jej córka Helenka. Robią bukiety, jeden z nich codziennie dostaje kapitan.

Twarz nieznajomego pokryła się radością, patrzył na dwie kobiety zauroczony.

— Jest tu w ogrodzie jakaś mała furtka?

— Jest, ale ty jako obcy, powinieneś wejść przez główną bramę.

— Ale ja chcę iść do pani Sternau!

— Musisz powiedzieć służącemu, by oznajmił twe przybycie.

— Ona mnie zna.

— Dobrze?

— O, bardzo dobrze!

— Jeżeli tak, to pokażę ci boczną bramkę, bo mi się podobaś.

— Naprawdę, podobam ci się?

— Tak — odparł chłopiec szczerze.

— Ty mnie także, a jak się nazywasz?

— Robert.

— Robert Helmer?

— Tak, skąd znasz moje nazwisko?

— Znam je doskonale. Ojciec twój jest sternikiem na okręcie „Jefrouw Mietje”.

— Tak, rzeczywiście. Skąd o tym wiesz?

— Pisała mi o tym pani Sternau. Ale chodź prędko! Gdzie ta bramka?

— Tu na prawo, dziesięć kroków dalej.

Nieznajomy pospieszył we wskazanym kierunku, otworzył furtkę i wszedł do ogrodu szybko zmierzając do oszklonej części, którą chłopiec nazwał ogrodem zimowym. Drzwi wiodące do szklarni nie były zamknięte. Otworzył je i wszedł do środka.

Wśród wysokich palm i wiecznie zielonych równikowych krzewów, z których tu i ówdzie wyglądały dojrzałe winogrona i cytrusy, siedziały dwie kobiety. Zajęte były właśnie wiązaniem kwiatów. Usłyszawszy skrzypienie drzwi spojrzały w ich kierunku. Na widok wysokiej postaci, pani Sternau wstała i spytała:

— Mój panie, kogo pan tu szuka?

— Matko!

Po tym słowie podbiegł do niej, porwał w ramiona i ucałował. Pani Sternau zbladła pod wpływem tak niespodziewanej radości, wkrótce się jednak opamiętała i zawołała:

— Karolu! Czy to prawda! Synu, mój synu! Helenko, zobacz co za niespodzianka.

— Karol! — krzyknęła z radością. — Właśnie mówiłyśmy o tobie. Jaka to radość, jakie szczęście! Sądziłyśmy, że jesteś daleko, gdzieś w Hiszpanii.

— Tak, nie pisałem, bo chciałem wam sprawić niespodziankę, miał to być spóźniony prezent na Boże Narodzenie.

— I udał ci się to w zupełności, mój kochany — rzekła matka.

Obie przytuliły się do niego, wyglądały na wyjątkowo szczęśliwe. Tymczasem Robert ze swym lisem ruszył w dalszą drogę i wszedł przez bramę na podwórzec. Tam stał parobek, któremu nadleśniczy powierzył nadzór nad majątkiem.

— Macie go? — zapytał chłopca zobaczywszy na jego barkach lisa.

— Nie, ja go mam — brzmiała dumna odpowiedź.

— Ty? Tak to widzę, kto go ustrzelił?

— Kucharka! — odpowiedział Robert, krocząc z miną obrażonego księcia w stronę zamku.

Szedł po schodach, przekonany, że słusznie odpowiedział niedomyślnemu służącemu, na końcu korytarza zapukał do drzwi pokoju nadleśniczego.

— Wejść! — odezwał się gniewny głos.

Kapitan wciąż był jeszcze zdenerwowany po wizycie królewskiego komisarza. Robert wszedł, pokłonił się po wojskowemu i rzekł:

— Tu jest ten łotr, panie kapitanie!

Twarz leśniczego natychmiast się rozjaśniła. Wstał, podszedł do chłopca i powiedział:

— To stary łotr! To szczywany, bardzo stary łotr. Myśliwi z pewnością nie łatwo dali mu radę.

— Myśliwi tak — potakiwał z uśmiechem Robert.

— Mówisz to jakoś dziwnie. Co to ma znaczyć?

— Myśliwi mieli z nim robotę, lecz ja nie.

— Ty nie, do wszystkich diabłów! Sądzę, że dla ciebie jest za ciężki.

— O, panie kapitanie, wprost przeciwnie i nawet łatwo dał się ustrzelić.

— Więc niosłeś go przez cały las?

— Tak.

— Niech diabli porwą tych leniuchów! Wpakowali chłopcu taki ciężar na plecy, a sami łązą Bóg wie gdzie! — złościł się Rodenstein. — Wezmę ich do galopu, że nie będą wiedzieć, gdzie stoją!

Robert zrobił krok do przodu i rzekł:

— Nie, panie kapitanie, nie weźmiesz ich do galopu.

— Nie? A kto mi zabroni, mój paniczyku?

— Ja.

— Ty. Tak, ty byłbyś rzeczywiście do tego zdolny. W jaki sposób chcesz mi tego zabronić?

— Ja ich zmusiłem, by mi pozwolili go nieść.

— Zmusiłeś? Byłby to dla nich zaszczyt nie lada, poddać się woli takiego malca.

— Kapitanie! Ja nie jestem żaden malec. Zresztą Kurt powiedział, że mam wszelkie prawa do tego, by samemu nieść lisa do domu.

— Prawo? Prawo to przystoi tylko temu, który ustrzelił zwierzynę.

— To właśnie ja go ustrzeliłem.

— Ty...? — zapytał ogromnie zaskoczony nadleśniczy.

— Tak, tu, w sam środek głowy!

— Do stu tysięcy diabłów! Po takim łotrzyku można się wszystkiego spodziewać. Pokaż no, malcze!

Zdjął mu lisa z pleców, by dokładnie obejrzeć ślady po strzale.

— To naprawdę ty zrobiłeś? — zawołał — Dziura jest mała, rzeczywiście po kuli z twojej strzelby. I to w sam środek głowy! Ależ z ciebie łotr! Chodź tu złapię cię za uszy i dam ci buziaka, który zagrzmi jak wystrzał z moździerza.

Z radości porwał chłopca w objęcia, który przy pierwszej sposobności zadowolony spytał:

— Jesteś ze mnie zadowolony, kapitanie?

— Tak mój chłopcze, całkowicie.

— Dobrze, więc możesz mi darować ów mały rewolwer, który mi przyrzekłeś. Strzelbą umiem się już posługiwać, chcę także nauczyć się obchodzić z rewolwerem.

— Tak, dostaniesz go mój zuch i to natychmiast! Otworzył szufladę biurka i wyciągnął futerał.

— Masz, weź go sobie! Jest to bardzo dobry rewolwer, wykładany srebrem. Masz tu także zapas nabożów. Kurt niech ci pokaże, jak się go używa.

Chłopiec chwycił nadleśniczego za uszy, przyciągnął jego głowę ku sobie i kilka razy pocałował w wąsy.

— Masz ode mnie buziaka, kapitanie! Bardzo dziękuję.

— Chłopcze — zawołał kapitan wzruszony. — Wcielony diabeł z ciebie. Może chcesz coś jeszcze?

Chłopiec nie namyślając się ani minuty natychmiast odparł:

— Tak i wiem już nawet co.

— Co takiego?

— Ale zrobisz to dla mnie?

— Zrobię, jeżeli ma to przynieść tobie korzyść, a nikomu innemu nie zrobić krzywdy.

— Daj mi słowo honoru.

— Do pioruna, to brzmi bardzo poważnie. Ty łotrzyku chcesz mnie do czegoś zmusić. Czy to nie jest przypadkiem coś złego lub jakieś głupstwo?

— Nie, masz tylko komuś przebaczyć.

— Twoje dobre serce w całej okazałości... Któż to taki?

— Powiem dopiero wtedy, gdy mi dasz słowo honoru.

— Ty przebiegły łotrze, a czy nie zaszkodzę tym komuś?

— Nie.

— Dobrze, więc masz moje słowo honoru. Teraz zaś powiedz mi, co ci leży na sercu.

— Słuchaj kapitanie, nie łaj Kurta za to, że dziś przypadkiem spudłował.

Nadleśniczy zmarszczył czoło.

— On spudłował? Nie wierzę. Był zawsze jednym z najlepszych strzelców.

— A jednak to prawda. Sam, powiedział, że to świński strzał.

— Co więc zastrzelił?

— Psa.

— Psa! — krzyknął nadleśniczy. — Uwierzę we wszystko, ale to jest niemożliwe.

— Tak psa, — powtórzył chłopiec — jamnika.

— Psa! Pewnie zamiast lisa?

— Tak.

— Do stu piorunów! Czy to możliwe! Łotrze, nie pozwalaj sobie na podobne żarty.

— Ja nie żartuję panie kapitanie! A więc nie będziesz go łajał?

Nadleśniczy bardzo zagniewany przechadzał się po pokoju, używał wszystkich możliwych przekleństw, uspokoił się jednak po chwili i rzekł:

— Zwyciężyłeś chłopcze, wzięłeś mnie pod włos. Powinienem właściwie zbesztać tego nicponia Kurta, lecz ty podstępnie związałeś mi ręce. Napadłeś na mnie zdradziecko i teraz muszę dotrzymać słowa. Dobrze nie będę go łajał, lecz ty natychmiast zabieraj swego lisa. Nigdy już cię nie chcę widzieć. Nie potrzebuję dzieciaka, który mi najpierw zabiera rewolwer, a potem chytrze uniemożliwia działania. Wynoś się. Naprzód marsz!

Stał z najgroźniejszym wyrazem twarzy i wyciągniętą ręką wskazał na drzwi. Robert wsunął obojętnie rewolwer do kieszeni, ponownie przewiesił lisa, wziął strzelbę do ręki i podnosząc swe jasne oczy bez żadnego lęku na leśniczego rzekł:

— Sądzisz może, że się ciebie boję, kapitanie? Znam cię dobrze!

— Co to znaczy, że mnie znasz? — zagrzemiał Rodenstein. — Więc musisz także wiedzieć, że z nami koniec. Jesteś z gruntu podstępny.

— Nie, wcale taki nie jestem! Umiesz wprawdzie krzyczeć i łajać, lecz to są próżne słowa. Nic sobie z tego nie robię, bo coś wiem!

— Tak, a co na przykład?

— Że ty mnie lubisz!

Rzekł to z miną tak szczerą, tak otwartą, a z oczu patrzyła mu wielka miłość i przywiązanie, że nadleśniczy schylił się i ponownie chwycił go w ramiona.

— Masz słuszość drabie. Teraz wynoś się, bo wyłudzisz jeszcze ode mnie rzeczy, za które nie będę mógł odpowiadać.

Otworzył drzwi, za którymi stała właśnie Helena.

— A, Helenka — rzekł. — Proszę wejść. Jaką to wieść mi pani przynosi?

— Przede wszystkim bukiet, a także małą prośbę, kapitanie.

— Słucham wiesz przecież, że niczego ci nie mogę odmówić. Lecz cóż to? Czyżby jakieś szczęście cię spotkało?

— O tak, kochany kapitanie i stąd moja prośba.

— Proszę więc, mów wreszcie o co chodzi?

— Czy pozwolisz pan mej matce, by mu przedstawiła mego brata?

— Doktora Sternaua? — zapytał zdumiony.

— Tak.

— Opuścił już zatem Hiszpanię?

— Tak, właśnie dzisiaj przybył do zamku.

— Do diabła, czyli, że to była prawda — wycedził powoli z namysłem.

— Jak to? — zapytała Helena — Pan już wie?

— Nic zgoła nie wiem — rzekł prędko, by naprawić błąd — Ale proszę go do mnie przyprowadzić. Chętnie go poznam.

— Pewnie już z matką tu nadchodzą, ja przybiegłam wcześniej, by uprzedzić pana o ich wizycie. A oto oni.

Otworzyła drzwi i wszedł Sternau z matką. Na jego widok twarz nadleśniczego przybrała wyraz najwyższego zdumienia.

— Jak to? — zapytał — To pan jest synem pani Sternau? Delikatna twarz damy pokryła się lekkim rumieńcem, a lekarz odparł:

— Tak, to rzeczywiście ja, panie kapitanie — rzekł. — Przybyłem tu ledwie przed dziesięciu minutami i pospieszyłem podziękować panu z całego serca za liczne dowody dobroci i życzliwości, jakich doznały moja matka z siostrą.

Nadleśniczy jeszcze ciągle patrzył ze zdumieniem na mówiącego, jednak po chwili przemówił:

— Próżne gadanie! To ja powinienem dziękować pańskiej matce. Stara się ona ze wszystkich sił, by mnie, starego pustelnika przerobić na człowieka cywilizowanego i towarzyskiego, a za to w każdym razie dziękować mi pan nie musisz. Zresztą jesteśmy spokrewnieni, więc wszelkie podziękowania nie są tu na miejscu. Usiądź pan i wybacź, że patrzę na pana z takim zdumieniem. Wyobrażałem sobie pana całkiem inaczej.

— Czy wolno mi się spytać, jak wypadło porównanie? — spytał Sternau, siadając między matką a siostrą.

— Wyobrażałem sobie pana jako niskiego, chuderlawego człowieka, o delikatnych rysach i z okularami na nosie, a tymczasem...

Nie dokończył zdania, gdyż nie mógł znaleźć stosownego porównania, ale Sternau rzekł z uśmiechem:

— Teraz zaś, zobaczył pan Goliata bez okularów i bez wyrazistych...

— Stój, stój! Nie to miałem na myśli — odparł Rodenstein żywo — To chodzi tylko o wzrost. Nie mogłem wprost pojąć, że taki olbrzym może być synem pani Sternau. Ale to dobrze, że człowiek pańskiej postawy należy do naszej rodziny. Nie wyglądasz pan na człowieka strachliwego, więc szczerze panu wyznam, że o jego przyjeździe już mnie uprzedzono.

— Jak to?

— Uhm, dziś rano!

— Kto to uczynił?

— Nasza znakomita policja.

— Policja? — spytała pani Sternau z trwogą. — Co ich to może obchodzić?

— O był tu sam królewski komisarz policji pruskiej i pytał, czy mieszka tutaj niejaki doktor Sternau.

Sternau skinął głową i rzekł:

— Spodziewałem się tego.

— Naprawdę? — zapytał Rodenstein. — Czy policja ma jakieś powody, by pana szukać?

Sternau uśmiechnął się znacząco i odpowiedział:

— Czy ten komisarz przytoczył jakiś powód swej ciekawości?

— Tak i to kilka.

— Na przykład?

— Powiedział, że wysłano za panem listy gończe z powodu usiłowania morderstwa, kradzieży, współudziału w zbrodniach bandy zbójckiej i parę innych.

— O Boże! To straszne! — zawołała Helena.

— Ależ to niemożliwe! — rzekła matka — Możesz nam to wyjaśnić, Karolu?

— Oczywiście, że tak — odpowiedział lekarz — Najpierw jednak pozwolę sobie zapytać pana kapitana, jaką dał odpowiedź przedstawicielowi publicznego bezpieczeństwa?

— Najodpowiedniejszą, na jaką tylko mógł liczyć, kazałem go mianowicie wyrzucić za drzwi.

— Naprawdę?

— Tak, w całym znaczeniu tego słowa. Nie mogłem uwierzyć, żeby pan, o którego przymiotach tyle słyszałem, mógł być członkiem jakiejś zbójckiej bandy, teraz także, gdy widzę pana przed sobą jestem całkowicie przekonany, że postąpiłem słusznie, iż kazałem Kurtowi — do pioruna on jednak dziś spudłował — wyrzucić go za drzwi i strącić go ze schodów. Zresztą człowiek ten zachował się względem mnie po prostu niegrzecznie i raczył zapomnieć nawet przy wejściu, powiedzieć „dzień dobry”.

Sternau wyciągnął do niego rękę i odpowiedział:

— Dziękuję, kapitanie! Postąpiłeś bardzo słusznie. Nie miałem jeszcze czasu aby opowiedzieć o tym matce i siostrze, pan zresztą też musi dowiedzieć się całej prawdy. Czy ma pan chwilę wolnego czasu?

— Dla pana, zawsze.

— Jest to historia romantyczna, która rzadko zdarza się w życiu. Prawdopodobnie ożenię się z córką bogatego, hiszpańskiego hrabiego.

— Do pioruna! — krzyknął kapitan.

— Karolu! — zawołała matka.

— Żartujesz, prawda? — dodała siostra.

— Słuchajcie! — kontynuował lekarz. — W Paryżu poznałem pannę tak piękną, że wszyscy mężczyźni leżeli u jej stóp...

— Właśnie tę hrabiankę? — zapytał Rodenstein.

— Tak. Dowiedziałem się, że jest hrabianką i spadkobierczynią wielu milionów; podziwiałem więc jej prawdziwie królewską urodę, wszechstronne wykształcenie i dobroć. Jednak nie odważyłem się, ja biedny lekarz na okazywanie jej zainteresowania. Widywaliśmy się jednak dość często i pewnego dnia doszliśmy do wniosku, że miłość nasza choć wielka, jest beznadziejna, gdyż ona musiała się kierować względami swego stanu.

— Głupstwo! — przerwał mu kapitan. — Wychodzi się za mąż za tego, kogo się kocha.

Sternau kontynuował, nie odpowiedziawszy na tę siarczystą uwagę.

— Wyjechała. Po pewnym czasie otrzymałem od niej list z prośbą, abym przyjechał do Hiszpanii i zajął się leczeniem jej ciężko chorego, niewidomego ojca. Kamienie żółciowe zagrażały jego życiu. Przybyłem na miejsce do Rodrigandy i zastałem chorego pod opieką lekarzy, którym, o czym teraz jestem przekonany, zapłacono, by naukowymi metodami uśmiercić pacjenta.

— Niech ich diabli porwą! — zawołał kapitan.

— Rzeczywiście kazałem im iść do diabła — rzekł Sternau.

— I przywróciłeś pan zdrowie hrabiemu?

— Podjąłem się operacji kamienia, a także oczu, obie były pomyślne, hrabia odzyskał wzrok.

— A więc sprawa przybrała pomyślny koniec. Hrabia chyba, po tak cudowny powrocie do zdrowia, oddał panu swą córkę za żonę.

— Byłby to z pewnością uczynił, lecz nie mógł. Słuchajcie dalej.

Opowiedział szczegółowo swe przygody, przytaczał myśli i objaśniał od czasu do czasu śmiało wnioski, które wysnuwał często z drobnostek. Opowiadanie tak wszystkich wciągnęło, że nawet kapitan przestał używać swych zwykłych, wojskowych zwrotów. Jednak pod koniec jego oburzenie wzrosło do tego stopnia, że nie mógł się pohamować. Podniósł się z krzesła i zaczął nerwowo chodzić po pokoju, aż w końcu zawołał:

— Do stu tysięcy diabłów! To czyste zgromadzenie łotrów i łajdaków! Chciałbym ich mieć przed sobą, o tak, rzeczywiście chciałbym. Poderżnąłbym im gardła, ściąłbym im głowy, powiesiłbym łajdaków nogami do góry! Więc zdołałeś pan szczęśliwie zbiec za granicę?

— Tak. Stamtąd udałem się przede wszystkim jak najszybciej do Paryża, by przedstawić się ambasadorowi i prosić o opiekę.

— A co on uczynił?

— Wszystko o co prosiłem. Był też obecny przy tym jak zwołałem konsylium najlepszych specjalistów psychiatrii, przedstawiając im przypadek hrabianki. Udzielił mi także wskazówek, jak mam postępować w Niemczech, by uniknąć prześladowania, a majątek hrabianki zachować.

— A ona? Gdzie jest teraz? Czy jest jeszcze chora doktorze?

— Po przekroczeniu granicy niemieckiej, uczyniłem to co mi radził ambasador. Zawiadomiłem władze hiszpańskie o popełnionych zbrodniach, w Kolonii przeprowadziłem rozmowy z jednym z najznakomitszych prawników niemieckich, który mnie zapewnił, że spadek hrabianki z całą pewnością zostanie jej wypłacony, jeśli tylko wróci do zdrowia. Potem pojechaliśmy do Moguncji, gdzie zostawiłem ich w hotelu, a sam udałem się w dalszą drogę, by jak najszybciej spotkać najbliższych.

— Aha! Więc oni są w Moguncji? — zapytał kapitan głęboko wzruszony opowiadaniem. — Dlaczego właśnie w Moguncji? Czy ja może nie mam serca, co? Czy tu nie ma dość pomieszczeń i chleba dla dobrych ludzi, he? Jeśli pan nie pojedziesz zaraz do Moguncji i nie przywieziesz ich do tutaj, to ja sam natychmiast tam pojedę i sprzątnę panu sprzed nosa tę bogatą hrabiankę. Możesz mi pan wierzyć! Masz pan ze sobą jakieś bagaże?

— Mam.

— Ile? Czy zmieści się to wszystko na jednym wozie?

— Zdaje się, że tak.

Kapitan otworzył okno i krzyknął na cały głos:

— Henryku, natychmiast zaprzęgać dwie bryczki i jeden wóz drabiniasty! Za kwadrans trzeba wyruszyć do Moguncji!

— Ależ panie kapitanie — rzekł Sternau — Muszę serdecznie...

— Gadanina! — przerwał mu. — Ja jestem panem tego domu. Krótko i węzłowato. Czy zdecydowałeś się pan, dokąd masz zawieść hrabiankę?

— Nie.

— Czy dom nadleśniczego jest dość dobry do tego, czy nie!

— W to nawet wątpić nie wypada, sądzę tylko...

— Tak! Cóż takiego pan sądzisz, hę?

— Że to będzie dla pana zbyt uciążliwe.

— Uciążliwe? Schowaj pan sobie to słowo „uciążliwe”. Przeniesiecie się do Kreuznach i to dziś jeszcze! Pan, hrabianka, Alimpo i jego Elwira, te cztery osoby... jedna bryczka. Ja, pani i panna Sternau — druga bryczka; zmieścimy się wszyscy i pojedziemy z panem! Pokoje dla gości są już przygotowane. Co jeszcze trzeba będzie załatwić? Tylko szybko, póki Henryk zaprzęga. Teraz jednak, moja droga pani Sternau proszę zająć się przede wszystkim tym, by kuzyn mój nie cierpiał głodu. Idźcie, dam, już sobie radę. Muszę się przebrać, by wyglądać porządnie. Widzisz kuzynie, że jestem otwarty i że nie robię zbędnych ceremonii. Spodziewam się, że pan tak samo będziesz względem mnie postępował. Będziemy wtedy się ze sobą znakomicie zgadzać.

Po pewnym czasie wyjechały dwie, wytownie zaprzężone bryczki za bramę, a w tyle, w ślad za nimi jechał wóz drabiniasty. Jechano galopem aż do Moguncji, gdzie zatrzymano się przed główną, bramą jednego z lepszych hoteli. Liczba służących, którzy nadbiegli w chwili ich przybycia, najlepiej dowodziła, jakie wrażenie zostawił po sobie doktor Sternau. Podróżni wysiedli z powozów i udali się do pokoiów, które zajmował Sternau. W pierwszym spotkali kasztelana i jego żonę.

— A to zapewne pan Alimpo i jego pocziwa Elwira? — zapytał kapitan zobaczywszy tę parę grubych ludzi.

Kasztelan usłyszawszy te imiona wnioskował, że o nich mowa; złożył więc głęboki ukłon i rzekł:

— *Mira! Yo soi Juan Alimpo e esta ma buena Elwira.* — Oto ja jestem Juan Alimpo, a to jest ma pocziwa Elwira!

— Do diabła, nie rozumiem ani słowa hiszpańskiej mowy — rzekł kapitan. — O tym jeszcze nawet nie myślałem.

— Może pan umie po francusku? — zapytał Sternau.

— Tylko trochę.

— Więc możecie, jeżeli zajdzie taka potrzeba porozumiewać się w tym języku. Lecz proszę, wejdźmy do pokoju!

Otworzył drzwi bocznego pokoju, a widok, który przedstawił się ich oczom przejął wszystkich głębokim wzruszeniem.

Obok tapczanu, przed którym z troskliwością pościelono miękkie poduszki klęczała Róża. Delikatne i białe jej ręce złożone były do modlitwy, a wzrok zwrócony w górę. Blade wargi poruszały się niedosłyszalnym szeptem. Zapadnięta i wychudła twarz dziewczyny jaśniała pięknnością. Można było domyślić, jak uroczą i zachwycającą musiała być, nim zawładnęła nią choroba.

— Jaka ona piękna! — szepnął kapitan w zachwycie. — O, należałoby powywieszać tych łotrów i wetknąć wszystkich na rożen. Będzie mieszkać u mnie, jak w niebie!

— Mój Boże! — rzekła pani Sternau a łzy zakreściły się jej w oczach. — Biedne, biedne dziecko! Módlmy się, by Bóg zesłał jej pomoc!

Helena nie rzekła ani słowa. Pospieszyła do sofy uklękła obok Róży i objęła ją pieścizotliwie ramieniem. Obie kobiety podniosły chorą do góry i posadziły na sofie. Natychmiast jednak wyrwała się i wróciła do poprzedniej pozycji.

— I nie próbowałaś pan jeszcze tego środka? — zagadnął kapitan.

— Nie — odrzekł Sternau.

— Dlaczego?

— Bo brakowało mi w Paryżu i podczas drogi odpowiedniego otoczenia i nie było nikogo, kto by ją pielęgnował.

— A spodziewasz się pan, że środek ten zadziała?
— Spodziewam się, choć trucizna rozeszła się już po całym ciele. Jutro natychmiast rozpocznę leczenie.

— Czy wiesz doktorze, co mi sprawia niepospolitą radość?

— Co takiego?

— To, że antidotum wzięłeś właśnie od tego Kortejo. Musiał choć przez parę minut strasznie cierpieć.

— Nie ma większej i straszniejszej tortury niż boleść jaka występuje u człowieka łaskotanego na śmierć. Chwili tej torturowany, nigdy nie zapomni. Ale sądzę, panie kapitanie, że najwyższy czas w drogę.

— Tak, wsiądziesz pan z hrabianką, matką i siostrą do jednego powozu, ja zaś, jeśli to będzie możliwe, w drugim postaram się w towarzystwie pana Alimpo przypomnieć sobie te trzy słowa po hiszpańsku, które jeszcze kołatają mi się po głowie. Idziemy!

Bagażę załadowano na wóz drabiniasty, Sternau zapłacił rachunek i wszyscy opuścili hotel. Jechali jedną z głównych ulic miasta, gdy kapitan dał znak swemu woźnicy, by jechał obok powozu doktora Sternaua. Znaleźli się na tyle blisko, że swobodnie mogli ze sobą rozmawiać.

— Kuzynie — rzekł leśniczy. — rzuć no okiem na chodnik, tam na prawo. Czy widzisz tego człowieka w szarym surducie?

— Tego, który trzyma parasol pod pachą?

— Tak.

— Kto to taki?

— To właśnie ten komisarz policji.

— Muszę sobie, tego ptaszka oglądnać dokładnie!

— Z całą pewnością nas zauważył, więc szybko wróci do Kreuznach, gdyż domyśli się pewnie, kim pan jesteś.

Rzeczywiście, gdy przejeżdżali obok niego komisarz przystanął, poprawił okulary, a gdy go już minęli obrócił się z serdecznym uśmiechem na twarzy i pospieszył w stronę budynków sądowych. Oni zaś jechali dalej nie troszcząc się wcale o niego i bardzo szybko przybyli na miejsce, gdzie czekały na nich pokoje przygotowane przez panią Helmer.

Wieczorem wszyscy siedli do kolacji, by dokładnie posłuchać o hiszpańskich przygodach doktora. Tylko Alimpo i pani Elwira nie byli przy tym obecni, gdyż zostali z hrabianką, a przy nich uwijał się Robert, który bardzo upodobał sobie tych dwoje grubych ludzi. Uczył się języka angielskiego oraz francuskiego i bardzo go to cieszyło, że mógł się z małżonkami porozumieć. Po takich przeżyciach wszyscy poszli spać bardzo późno, spali więc długo. Pierwszy wstał kapitan i gdy wyszedł na podwórze trafił na Kurta, zajętego karmieniem psów.

— Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem, osiem psów — liczył. — Jednego brakuje!

Kurt stanął w postawie zasadniczej.

— Panie kapitanie, stało się... ja... ja...!

Bał się tak bardzo, że słowa uwięzły mu w gardle i nie mógł dokończyć zdania.

— No, cóż tam takiego? — zapytał Rodenstein surowo.

— Ja... bra... brakuje jednego!

— Już to zauważyłem, którego?

— Leśnika!

— Gdzie on jest?

— Zma... zm... zmarł!

— Zmarł, czy ty oszalałeś?

— Tak, zmarł, panie kapitanie.

Grube krople potu zrosiły jego czoło. Miał wrażenie, że lepiej byłoby, gdyby go ziemia pochłonęła.

— Zdechł? Do stu tysięcy piorunów! Z czego zdechł? Był przecież zupełnie zdrow!

- Był on... miał on...
- Cóż takiego miał? Zjadł może za dużo?
- Tak, przejadł się panie kapitanie.
- Do diabła. Co on właściwie jadł?

Czoło jego pokryło się groźnymi zmarszczkami, gdyż sądził, że Kurt zechce skłamać.

— Zjadł ku... ku... kulę, panie kapitanie — zabrzmiała odpowiedź. Zmarszczki znikły powoli, a kapitan rzekł:

- Głupstwa pleciesz, przecież psy kul nie jedzą.
- Lecz zdychają wskutek ostatniego tchnienia, które wydają. Kapitanie, osioł ze mnie.
- Właśnie to widzę.
- Tak, wielki wół i osioł, a nawet może i bawół! Kulę tę ja mu dałem.
- Chyba tylko diabeł cię zrozumie. Mów wyraźniej!
- Nie może przejść mi przez gardło, lecz będę musiał. To ja zastrzeliłem wczoraj Leśnika.
- Do tysiąca kartaczów! Dlaczego? Wściekł się może przypadkiem?
- Nie, lecz ja dostałem napadu wścieklizny i dlatego zastrzeliłem psa zamiast lisa. Niech mnie diabli porwą, jeśli to zdołam pojąć!
- Tak, stary strzelec ustrzelił psa, a mały chłopiec położył tymczasem lisa!
- A więc pan kapitan już o tym wie? Tak, to był prawdziwie świński strzał. Nie zasługuję naprawdę na nic innego, jak na to, abyś mnie pan wypędził ze służby.
- Tak by się stało z całą pewnością, gdybym nie był związany słowem honoru i nawet łajac cię nie mogę.

— A komu dałeś to słowo, kapitanie?

— Robertowi.

— Robertowi! Przebóg, poczciwy chłopak z niego. Nie zapomnę mu tego nigdy.

— Spodziewam się tego. Mógł wyprosić u mnie coś dla siebie, ale myślał tylko o tobie, gdyż wiedział, że zasłużyłeś na solidną burę. Gdzie jest mój pies?

— Pogrzebałem go w ogrodzie, panie kapitanie, z wszystkimi honorami, wart był tego.

Rodenstein chętnie by jeszcze dłużej poznęcał się nad Kurtem, lecz przerwano mu, gdyż na podwórzec wjechał wóz z komisarzem policji królewskiej, a obok niego aż trzech żandarmów, trzymających przed sobą karabiny. Przygotowani więc byli do transportowania jakiegoś więźnia. Obrócił się i udał do swego pokoju, nie zwracając na nich uwagi. Od wczoraj był pewny, że ci ludzie się tu zjawią. Rzeczywiście po chwili nadszedł Kurt, by oznajmić odwiedzinę komisarza.

— Niech wejdzie! — rzekł nadleśniczy — Gdzie stoją żandarmi?

— Obsadzili wejście, panie kapitanie.

— A! Pięknie! Czekaj pod drzwiami!

Strzelec wyszedł i wpuścił komisarza.

— Dzień dobry, panie nadleśniczy! — powiedział wchodzący z szyderczym uśmiechem.

— Dzień dobry — odpowiedział kapitan grzecznie. — Widzę, że nauka nie poszła w las. Nauczyłeś się pan, jak należy odzywać się wchodząc do kogoś. Rób tak dalej, człowieku.

— Może dziś ja dam panu nauczki.

— Będę bardzo rad, lecz czy z tego skorzystam, to się jeszcze okaże.

— Mam głębokie przekonanie, że jej pan posłuchasz. Pozwól pan przede wszystkim, że zapytam, czy dziś także każesz mnie poszczuć psami?

— Tak, jeżeli tylko nie zdołasz się wylegitymować.

— Postarałem się już o potrzebny dokument. Proszę czytać! Wyciągnął zwinięty papier z kieszeni i podał go kapitanowi.

— Nie jestem twym lokajem, człowieku. Racz najpierw ten szpargał rozwinąć.

Policjant rozwinął papier i dopiero wtedy nadleśniczy przeczytał jego treść.

— Pięknie — rzekł. — To jest ważne, to jest pismo prokuratora generalnego. Prosi mnie, bym udzielił panu daleko idącej pomocy.

— A więc zrobisz to pan?

— Tak, nie będę panu przeszkadzał, lecz o pomocy nie ma mowy. Czego pan właściwie chce?

— Czy jest tu doktor Sternau?

— Jest.

— Kiedy przyjechał

— Wczoraj. Widziałeś go pan przecież.

— Czy przywiózł ze sobą jakieś osoby?

— Tak.

— Kogo?

— Hm, nijakiego Alimpo.

— Kogo jeszcze?

— Nijką Elwirę.

— Kogo jeszcze?

— Jakąs Różę, Rozannę, czy Rozettę, nazwiska nie zapamiętałem.

— Czy jest tu może i hrabianka?

— Hrabianka? Do stu piorunów! Czyżby Elwira była hrabianką, chyba raczej hrabiną, ale ona za tłusta na hrabiankę.

— Pan to musi wiedzieć.

— Właściwie tak. A może ten Alimpo to hrabianka? Mówił pan wprawdzie o bandzie rabusiów, czy to nie prawdopodobne, a nawet całkiem możliwe, że ten Alimpo to przebrana hrabianka, która sobie mnie upatrzyła, by usidlić i wyjść za mnie za mąż, a potem mnie obrabować. To byłoby straszne.

— Panie nadleśniczy nie spodziewałem się po panu, że będziesz sobie stroił ze mnie żarty — rzekł komisarz ostrym tonem. — Kategorycznie sobie to wypraszam.

— Proszę się o to nie obawiać, panie człowieczku. Jak się dowiedziałem kim pan jest, to prześladowuje mnie nieustannie myśl o tych rabusiach.

— Czy mieli ze sobą kosztowności?

— O tak.

— Jakie?

— Mociumpanie, nie jestem ich garderobiana, by się takimi fatalaszkami zajmował. Zresztą jest tu wprawdzie napisane, bym panu służył pomocą, ale nie mogę nigdzie wyczytać, że mogę być przesłuchiwany, więc się na to nie zgadzam. Zresztą poradzę sobie zaraz inaczej — Kurt!

Strzelec zjawił się natychmiast rzucając komisarzowi niezbyt przychylnie spojrzenie.

— Poproś pana doktor Sternaua do mnie. Powiedz mu, że jest tutaj jakiś policjant, który chce z nim mówić. Ale prędko.

— Wedle rozkazu, panie kapitanie.

Gdy Kurt wyszedł komisarz powiedział surowo:

— Panie nadleśniczy, muszę panu przypomnieć o formie w jakiej się powinien pan do mnie zwracać.

— Czyżbym popełnił jakąś gafę?

— Mówił pan właśnie o jakimś policjancie, podczas gdy ja jestem komisarzem policji.

— O Boże, przecież to jedno i to samo, począwszy od waszego ministra a skończywszy na nocnym stróžu wszyscy jesteście policjantami.

A do jakiej kategorii pan się zalicza to jest mi zupełnie obojętne i nic mnie to nie obchodzi.

— Do tego nazywasz mnie pan człowieczkiem.

— A to tylko zdrobnienie, użyte w całkiem pozytywnym sensie, a mam może pana tytułować kobietką, he? Dlatego tak pana nazwałem, gdyż nie wyglądasz mi na olbrzyma.

Prawdziwemu mężczyźnie, w całym tego słowa znaczeniu inna postawa jest przynależna. Zaraz pan zresztą zobaczysz jaka, mociumpanie. Oto jest już!

Drzwi się otworzyły i stanął w nich Sternau. Uścisnął serdecznie dłoń kapitana, policjanta zaś zmierzył zimnym wzrokiem.

— Prosił mnie pan kapitanie?

— Tak, ten człowiek chce z panem mówić!

— Kim on jest?

Kapitan chciał powiedzieć, lecz komisarz sam się przedstawił.

— Jestem komisarzem pruskiej policji królewskiej.

— Czy może pan to udowodnić?

— Właśnie to uczyniłem i oddałem potwierdzenie mych słów panu nadleśniczemu.

— Czy to prawda, kuzynie?

— Zdaje się, że tak — odparł kapitan.

— A czego ten pan chce ode mnie?

— Czy pan jest doktorem Sternauem? — spytał komisarz.

— Może będzie pan łaskaw, komisarzu troszeczkę inaczej sformułować swe pytanie.

Mówiąc to wyprostował się dumnie i ostro spojrzął na policjanta, który natychmiast poprawił się mówiąc:

— Czy mam przyjemność rozmawiać z doktorem Sternau?

— Tak.

— Pan przyjechał z Hiszpanii?

— Tak.

— Mieszkał pan u hrabiego Rodriganda?

— Tak.

— Pan związał nijakiego Gasparina Korteję?

— Tak.

— Pan przywiózł ze sobą córkę hrabiego?

— Tak.

— Czy to pana broniła banda zbójców, gdy w górach miano pana schwytać?

— Tak.

— Pan uciekłeś z więzienia z Barcelony?

— Tak.

— To mi w zupełności wystarczy. Jest pan aresztowany.

— Bardzo się cieszę.

— Co? — zawołał kapitan. — Kuzynie, pozwalasz się związać?

— Tak — uśmiechnął się zapytany.

— Jednak wcześniej muszę przeszukać pańskie rzeczy — zauważył komisarz.

— Na to już musi wyrazić zgodę kapitan, jako właściciel tego domu i mój gospodarz.

— Niech mnie diabli porwą, jeśli wyrażę na to zgodę — krzyknął kapitan.

— Wypraszam sobie jakikolwiek sprzeciw wobec władzy — zastrzegł komisarz.

— A ja muszę wyprosić sobie jakiegokolwiek kroki, o których w tym oto piśmie nie ma mowy. Jeżeli coś takiego nastąpi, będę uważał, że przekroczył pan swoje kompetencje. Zdaje mi się, że ma pan fałszywe mniemanie co do mojej osoby, jednak ja potrafię się bronić, nawet na drodze służbowej będę dochodził swych praw.

Słowa i ton w jakim zostały one wypowiedziane ostudziły nieco komisarza, skłonił się więc grzecznie i powiedział:

— Wypełniam tylko mój obowiązek.

— Najpierw przyjrzymy się dokładnie tym obowiązkom — rzekł Sternau. — Przecież wczoraj w tym samym pokoju powiedział pan kapitanowi, że poszukują mnie w Hiszpanii listem gończym. Proszę mi łaskawie pokazać ten list.

— Nie mam przy sobie żadnego — odpowiedział komisarz.

— Czytał pan przynajmniej choć jeden z nich?

— Ja... ja nie potrzebuję się tutaj z niczego tłumaczyć.

— Dobrze. Widzę już jak sprawa stoi. Powiedziałeś pan kapitanowi nieprawdę. O wysłaniu za mną listów gończych w ogóle nie ma mowy. Tylko w Rodrigandzie wiedzą, gdzie przebywam, więc przekazali, aby mnie obserwować i oka ze mnie nie spuszczać. Nie mogę więc zrozumieć, skąd u pana chęć natychmiastowego aresztowania mnie i przeszukiwania moich rzeczy. Zresztą, co się tyczy mojej osoby, to absolutnie jestem do pańskiej dyspozycji, ale pod warunkiem, że całą odpowiedzialność za ten czyn bierze pan na siebie. Co się jednak tyczy rewizji, to muszę się temu sprzeciwić. W tym domu znajduje się bardzo ciężko chora kobieta, hrabianka Rodriganda, która musi mieć całkowity spokój. Jestem lekarzem i moim zadaniem jest czuwanie nad jej spokojem. Tylko prokurator może zarządzić rewizję, jeżeli uzna to za konieczne i do niego też, jeżeli pan sobie życzy mogę panu towarzyszyć, ale to wszystko.

— A ja, — dodał kapitan — każdego, kto bez mojego pozwolenia odważy się wtargnąć do zamku, zastrzelę jak psa i będzie mi wszystko jedno, czy to komisarz, czy żandarm!

Komisarz postanowił zmienić swoje postępowanie względem tych dwóch energicznych mężczyzn, zapytał więc tylko:

— Więc będzie mi pan towarzysz w drodze do prokuratora?

— Tak.

— Więc proszę pójść ze mną do mojego powozu.

— A tego to z pewnością nie uczynię — odparł Sternau. — Nie jestem mordercą by jechać pod eskortą żandarmów. Pan kapitan będzie tak dobry i pożyczy mi swój powóz, a pan możesz jechać za mną, tak by cały czas mieć mnie na oku.

— Naturalnie kuzynie, zaraz każę zaprzęgać — rzekł. — Pojadę razem z tobą. Prokurator jest moim dobrym znajomym, zobaczymy czy nas żywcem zeżre, mociumpanie.

Wszystko odbyło się wedle życzenia doktora i po jakimś czasie cała trójka wkroczyła do gabinetu prokuratora. Prokurator wstał, aby przywitać przybyłych.

— Tutaj jest ten Sternau — rzekł komisarz tonem służbowym.

— Dobrze! — prokurator. — Ach, pan kapitan, co pana do mnie sprowadza?

— Przyjechałem, aby przedstawić mego kuzyna mniej oficjalnie, niż zrobił to pański pracownik.

Prokurator nie mógł ukryć uśmiechu, skłonił się i rzekł do doktora ujmującym głosem:

— Przyznam, że wolałbym tę znajomość zawrzeć w innych okolicznościach, spodziewam się jednak, że zaszła tu jakaś pomyłka, którą szybko da nam się wyjaśnić.

— Jestem o tym przekonany, panie prokuratorze — odparł Sternau. — Proszę tylko łaskawie przejrzeć te papiery i dokumenty.

Wyjął portfel i wręczył urzędnikowi cały szereg papierów, poczym razem z kapitanem usiedli na wskazanym miejscu, a prokurator zaczął spokojnie przeglądać podane materiały. W końcu wstał i w podnieceniu aż zawołał w kierunku doktora:

— Ależ to nadzwyczajne, tak znamienite osoby są doktorze pańskimi protektorami, że trudno się nie zastosować do ich woli. Oto moja ręka. Proszę mi pozwolić na zaszczyt nazywania się pańskim przyjacielem oraz możliwość niesienia pomocy, oczywiście w ramach moich możliwości.

Sternau uściśnął podaną rękę i rzekł:

— Wiedziałem, że mam do czynienia z człowiekiem honoru. Będę szczęśliwy jeśli zostaniemy przyjaciółmi i z wielką chęcią skorzystam z pańskiej oferty.

Komisarz stał z miną co najmniej głupkowatą, prokurator zwrócił się więc do niego i rzekł ostro:

— Znowu strzeliłeś pan strasznego byka. Pańskie przedstawienie było zaczerpnięte z powietrza. Urzędnik policyjny, który buduje swoje zeznania na jakiś fantazjach, nie spełnia

swego zadania należycie. Podważył pan moje zaufanie. Proszę iść, ale najpierw proszę tych panów przeprosić.

Komisarz, skarcony jak małe dziecko podszedł do doktora i kapitana, ze słowami:

— Proszę mi wybaczyć, panowie.

Sternau zamiast odpowiedzieć skinął nieznacznie głową, lecz poczciwy nadleśniczy nie mógł odmówić sobie tej satysfakcji, by nie wtrącić jeszcze parę słów na pożegnanie:

— Widzisz panie, panie człowieczku, co za kozy pan strzelasz! Co się zaś tyczy przeszukiwania domu, to proszę raczej spróbować szczęścia na księżycu, mociumpanie!

Zawstydzony komisarz wyszedł prędko, prokurator zaś rzekł:

— Byłbym bardzo rad, gdybym mógł i to jeszcze dzisiaj dowiedzieć się od pana prawdy o wydarzeniach w Hiszpanii. Mają panowie może wolny kwadransik?

— Jesteśmy na pańskie usługi, panie prokuratorze.

— To wspaniale, może przejdziemy do moich prywatnych pomieszczeń. Panuje tam miłsza atmosfera, znajdzie się także jakieś cygaro i dobre wino, lepiej się przenieśmy.

* * *

Tymczasem w Kreuznach mały Robert, zaraz po śniadaniu popędził w stronę pomieszczeń kapitan, chcąc mu zrobić poranną niespodziankę. Na podwórzu spotkał Kurta.

— Dzień dobry Kurt, czy pan kapitan jest u siebie? — zapytał.

— Nie — odrzekł strzelec krótko i z gniewem.

— A gdzie jest?

— Aresztowano go.

— Aresztowano, kto to zrobił?

— Jeden komisarz policji, zabrał jego i doktora Sternaua.

— Pana doktora też?! Cóż oni takiego zrobili?

— Nic, oni są zupełnie niewinni.

— To dlaczego pozwoliłeś ich aresztować?

— A co miałem robić?

— Co? Uwolnić ich, ale ty masz zajęte serce.

— Do pioruna chłopcze, ty się na tym nie znasz!

— Kiedy wrócą?

— Czy ja wiem, byli ludzie, którzy całymi latami siedzieli w więzieniu, nawet niewinnie.

— Słuchaj Kurt, gdzie ich zamknięto?

— U prokuratora, jak słyszałem.

— A gdzie jest ten prokurator?

— W budynku sądowym?

— Tam gdzie tyle krat na oknach?

— Tak.

— Słuchaj Kurt, nie mów nikomu, ale ja już ich wydobędę z tego więzienia.

— Głupota, prokurator cię wyśmieje.

— Niech tylko spróbuje, ja ze sobą biorę swoją strzelbę.

— Ale cię do niego nie wpuszczą. Twoja matka także na to nie pozwoli.

— Tak? A ja nie zniosę tego, żeby mojego kapitana i pana doktora zamykali. Myślisz może, że nikt ich nie potrafi uwolnić z tego więzienia, he?

— Nikt. Musimy cierpliwie czekać, jak się sprawa wyjaśni.

— Tak? To czekaj.

Chciał odejść, lecz Kurt go zatrzymał.

— Słuchaj, nie rób głupstw, byłoby mi przykro, gdyż jestem ci niezmiernie wdzięczny.

- Za co?
- Że się za mną wstawiłeś u kapitana.
- Zrobiłem to z wielką przyjemnością.
- Dobrze, pozwól więc, że tak jak ty od kapitana, tak ja od ciebie wezmę słowo honoru...
- Jakie?
- Że nie zrobisz żadnego głupstwa względem uwięzionych.
- Oczywiście, masz tu moją rękę, z pewnością nie popełnię żadnego głupstwa.
- To dobrze, mogę być spokojnym.

Robert oddalił się w stronę domu, po drodze rozmawiał sam ze sobą.

— Śmiało mogłem dać słowo honoru, bo żadnych głupstw nie będę robił. Każę sobie osiodłać mego konika i natychmiast pojedę do więzienia. Chociaż nie będę mógł zabrać ze sobą strzelby, to przecież mam jeszcze rewolwer, który łatwo można schować. Jak to dobrze, że go wczoraj dostałem i że Kurt nauczył mnie z niego strzelać. Zastrzelę tego prokuratora, jeżeli ich natychmiast nie wypuści.

Poszedł do matki, bo chciał się przekonać, że nie przeszkodzi mu w planach. Była zajęta, więc złapał tylko swój zielony kapelusik i pobiegł do stajni, gdzie stał jego konik.

- Słuchaj Paulino, czy ty mnie lubisz? — spytał służącej, którą tam zastał.
- Naturalnie — odparła dziewczyna.
- To proszę cię, osiodłaj mi mego Jaśka.
- Gdzie chcesz jechać?
- Muszę jechać z Kurtem.
- A mama wie o tym?
- Wie, ale nie ma teraz czasu.
- No cóż, dobrze.

Ten z gruntu serca poczciwy chłopak, dla tak ważnej sprawy nie zawahał się skłamać. Gdy tylko Paulina wyprowadziła mu osiodlanego konika, wskoczył nań i pocwałował do miasta.

Wzbudzał powszechne zainteresowanie, gdy zajechał pod sam gmach sądu, zeskoczył z konia, przywiązał go do bocznej bramy, sam zaś wszedł śmiałym krokiem do środka.

Na korytarzu spotkał jakiegoś mężczyznę w uniformie, portiera.

- Gdzie jest prokurator? — zapytał odważnie.
- A czego ty, mój mały od niego chcesz?
- Muszę mu coś ważnego powiedzieć — odrzekł roztropnie.
- To idź na górę, a w pierwszym pokoju powiedz to samo raz jeszcze, to cię zameldują.

We wskazanym pokoju siedziało pełno ludzi oraz woźny sądowy, który spostrzegł wchodzącego chłopca.

- Czego tu chcesz? — zapytał.
- Chcę się widzieć z prokuratorem.
- Ty? — pytał z narastającym zdumieniem. — A czego ty od niego chcesz?
- Mam do niego ważną sprawę.
- Pilną?
- Nawet bardzo.

Woźny pomyślał, że to z pewnością jakaś rodzinna sprawa, więc poszedł chłopca zameldować.

Robertowi w tym ponurym pomieszczeniu zrobiło się jakoś nieprzyjemnie, odwaga poczęła znikać, ale gdy przypomniał sobie kapitana i doktora, znowu podniósł głowę i wyprostował się.

— Możesz mały wejść, tutaj! — rzekł woźny wskazując drzwi. Robert wszedł do gabinetu, a siedzący tam człowiek spytał go badawczo:

- Co ważnego masz mi do przekazania, chłopcze?

Wobec ostrego wzroku chłopiec nie stracił na pewności i rzekł:

— A czy ty jesteś prokuratorem?
 — Tak.
 — Wobec tego, jesteś złym, bardzo złym człowiekiem.
 — A to dlaczego? — zapytał zdumiony prokurator.
 — Bo zamykasz ludzi do więzienia.
 — A co to ciebie może interesować?
 Te srogie słowa wzbudziły w chłopcu gniew, więc zawołał ze złością:
 — Mnie to bardzo, bardzo interesuje, bo zamknąłeś dwóch ludzi, których ja lubię!
 — Kim oni są?
 — Pan kapitan i mój wujaszek Sternau.
 — Aha! — rzekł urzędnik. — A ty kim jesteś?
 — Ja jestem Robert Helmer.
 — Skąd?
 — Z Kreuznach.
 — A czego tu szukasz?
 — Ja nie zniosę, by oni siedzieli w więzieniu.
 — Hm, może chcesz się ze mną kłócić?
 — Tak, ale najpierw będę grzeczny i poproszę byś ich uwolnił. Oni nic złego nie zrobili.
 — A jeżeli pomimo tego, nie uwolnię ich.
 — To cię zmuszę.
 — A w jaki sposób?
 — Jak ich zaraz nie wypuścisz to, to zastrzelę cię. Tak, naprawdę zastrzelę.
 — Chłopcze, czy cię diabeł opętał?
 — Nie, ja tylko jestem odważny.
 — Jeżeli mnie zastrzelisz, to ciebie także zamkną do więzienia.
 — To nic nie szkodzi, bo pan odbierze swoją należność, a ja będę razem z nimi.
 — A czym chcesz mnie zastrzelić?
 — Tym rewolwerem — sięgnął do kieszeni i wydobył go.
 — Ten chłopak rzeczywiście myśli poważnie — zawołał prokurator.
 — A ty może myślałeś, że ja żartuję? O to mnie jeszcze nie znasz, ja cię rzeczywiście zastrzelę!

— A czy rewolwer masz nabity?
 — Naturalnie. Pytam się po raz ostatni. Chcesz ich wypuścić z więzienia czy nie?
 Siedzący w kącie sekretarz, chciał zażegnać niebezpieczeństwo, lecz prokurator dał mu do zrozumienia, by nie mieszał się do sprawy.
 — No cóż, takiego przeciwnika jak ty nie można lekceważyć, a jeżeli ich wypuszczę, nic mi nie zrobisz?
 — Oczywiście że nie, jeszcze ci podziękuję.
 — To będzie bardzo ładnie z twojej strony. Ponieważ jesteś dzielnym chłopcem, spełnię twoje życzenie i wypuszczę ich.
 — Ale zaraz, natychmiast!
 — Naturalnie.

Wówczas Robert schował swój rewolwer i zauważył:
 — Wiedziałem, że się mnie przestraszysz. Niech Kurt jeszcze raz powie, że wyprawa do miast i chęć zabicia prokuratora to głupstwa!
 — To on tak powiedział?
 — Tak.
 — A to osioł!
 — Naturalnie, przecież mam na to dowód.

— Ale tym uwięzionym nie powodzi się tak źle, jakbyś myślał — odezwał się prokurator z uśmiechem. — Bardzo sobie chwalą moje więzienie i są nawet zadowoleni.

— Ja w to nie wierzę.

— Bardzo im się u mnie podoba, mówię prawdę. Czy chcesz może zobaczyć, co oni tam porabiają?

— Tak.

— No to chodź.

Poprowadził go do bocznego gabinetu. Przebywający tam goście zrobili wielkie oczy na widok chłopca, a Robertowi zrobiło się nieswojo, gdy ujrzał roześmianych mężczyzn, siedzących przy winie i cygarach.

— Do stu piorunów, czego ty tu chcesz chłopcze?

— Przyjechałem was uwolnić — odrzekł Robert.

— Uwolnić? Czyś ty zwariował?

— Tak, zmusiłem pana prokuratora do tego, by was natychmiast wypuścił z więzienia.

— Łajdaku! Albo mi się wydaje, albo za naszymi plecami popełniłeś straszne głupstwo!

— Czy chęć zastrzelenia prokuratora, gdyby nie był powolny mej woli, to głupstwo?

Kapitan aż podskoczył w fotelu, prosząc prokuratora, by mu wszystko wyjaśnił:

— Mocny Boże! Zwariowałeś, ty diabliku, nic innego! — zawołał potem. — Wszak nas wcale nie uwięziono! Ile nieszczęścia mógłbyś narobić przez tę swoją głupotę! Muszę cię krócej, o wiele krócej trzymać i wziąć silniej w karby!

— Proszę się na niego nie gniewać — poprosił prokurator. — Nie myśli pan chyba, że memu życiu rzeczywiście zagrażało niebezpieczeństwo. Mamy do czynienia z pączkiem, który zdradza wielką duszę i tylko dobre prowadzenie da z tego pożądany owoc. Doczeka się pan kiedyś z niego, wielkiej pociechy.

Kapitan potakiwał.

— Wypowiada pan te same myśli, jakie i mnie często kołatają się po głowie. Sam nie mam dzieci, więc z chęcią zadam sobie trud, aby to drzewo wyhodować stosownie do jego zadziwiającego wzrostu. Ale pozwoli pan, że się pożegnamy, gdyż doktor zaczął się niecierpliwić, pewnie chce jak najszybciej wrócić do swojej pacjentki, by zająć się jej kuracją.

— Czy już dzisiaj zamierza pan doktorze podać hrabiance ten tajemniczy środek? — spytał prokurator.

— Tak, nie mogę dłużej zwlekać.

— Ach, czy mógłbym być przy tym obecny?

— Skutki tego środka, nie będą widoczne od razu.

— W każdym razie będę widział stan chorej teraz i potem będę mógł ocenić, jak ten zadziała.

— Jeżeli ma pan na tyle czasu, aby z nami pojechać, to będzie nawet znakomicie mieć takiego świadka. — powiedział Sternau.

— O, proszę bardzo, panie prokuratorze z nami — poprosił także kapitan. — Wie pan doskonale, że zawsze jest pan u mnie mile widzianym gościem.

— No to jadę z panami! — odrzekł. — Może się to panu przydać na przyszłość, gdyż spiszę urzędowy protokół z całego zdarzenia.

Wydał swoim podwładnym parę wskazówek i wyjechali. Robert jechał za nimi na swoim koniku, cały pogrążony w myślach. Nie mógł zrozumieć czy postąpił dobrze, czy też rzeczywiście strzelił wielkie głupstwo. Po dłuższym namyśle doszedł do wniosku, że to ostanie jest bliższe prawdy i zrobiło mu się jakoś nijako.

Jak tylko przyjechał do domu naprzeciw wyszła mu matka.

— Robert, chodź tu! — powiedziała ostro. Zawstydzony posłuchał.

— Robert, ty jesteś kłamczuchem! — ciągnęła dalej.

— Tak mam — odrzekł cicho lecz szczerze. Czuł się tak upokorzony, że łzy stanęły mu w oczach.

To pokorne przyznanie się do winy ułagodziło matkę, więc nieco łagodniejszym tonem dodała:

— Czy myślisz, że ja będę kochała takiego kłamcę? Wystarczająco jak na jeden dzień wylałam łez.

Objął ją rączkami i zawołał wybuchając głośnym płaczem:

— Mamusiu, ja już dosyć najadałem się wstydu, ja tego więcej nie zrobię, przyrzekam ci to.

— Dlaczego okłamałeś służącą?

— Bo nie chciałem, byście wiedzieli, gdzie jadę.

— A gdzie byłeś?

— W więzieniu, u prokuratora.

— Boże, czy to możliwe? Co tam robiłeś?

— Wziąłem ze sobą rewolwer i chciałem go zastrzelić, jeżeli nie wypuściłby kapitana i doktora Sternaua.

— To przecież czyste szaleństwo! — zawołała przerażona. — Rozmawiałeś z prokuratorem?

— Tak.

— I groziłeś mu rewolwerem?

— Tak.

Przerażona załamała ręce.

— O Boże i co się teraz stanie! Ty nas wszystkich chłopcze doprowadzisz do szaleństwa! Co na to powiedział prokurator? To prawdziwy cud, że cię nie wsadził do więzienia.

— O! On nie był zły. Śmiał się tylko trochę i powiedział, że z obawy abym go nie zastrzelił, wypuści obu z więzienia.

— A co potem?

— Potem zaprowadził mnie do pokoju, w którym siedział pan kapitan i doktor Sternau, pijąc wino i paląc cygara.

— Więc nie byli zamknięci w więzieniu?

— Nie. O, mamusiu, jest mi bardzo wstyd, że popełniłem takie głupstwo.

Powiedział to z taką prostotą i szczerością, że nie mogła się dalej gniewać.

— No, uspokój się kochanie. Sama pójde do tych panów i poproszę ich w twoim imieniu o wybaczenie, oni już przyjechali, widziałam.

— Nie, ja także pójde — rzekł z mocnym postanowieniem.

— Dlaczego?

— To ja muszę poprosić ich o przebaczenie, gdyż jeszcze tego nie zrobiłem.

Ucałowała go serdecznie. Czuła, że jej syn to wielki skarb, a błąd który popełnił będzie przestrogą na przyszłość.

— Dobrze, możesz ze mną pójść — rzekła. — Ale więcej nie zrobisz takiego błędu?

— O nigdy mamusiu, możesz mi wierzyć.

— Ja cię trochę pocieszę, dostałam dzisiaj list, piękny, długi list. Zgadnij od kogo?

Chłopak aż podskoczył z radości, klasnął w ręce i zawołał:

— Od tatusia!

— Tak. Co prawda nie wiedziałam o tym, że wyjechałeś, ale gdy dostałem list chciałam ci go pokazać, bo... zgadnij co ojciec pisze?

— Może przyjedzie? Powiedz mamusiu, czy zgadłem?

— Tak, Robercie, przyjedzie! — zawołała z rozrzewnieniem.

— Hurra! Tatko przyjedzie! Wiwat!

Krzyczał i skakał jak szalony, nie mogąc się uspokoić, dopiero matka musiała mu przypomnieć, o czekających go obowiązkach.

Niestety musieli wracać do siebie nie załatwiwszy niczego. Wszyscy znajdowali się właśnie w pokoju chorej i nakazali służbie, by nikt im nie przeszkadzał.

U hrabianki przebywali doktor i kapitan, pani Sternau z córką, Alimpo ze swą nieodłączną Elwirą a także prokurator. W tym dużym pokoju zrobiło się wręcz ciasno.

Prokurator, przywykły z racji swego zawodu do różnych, strasznych widoków, gdy zobaczył hrabiankę stanął wstrząśnięty. Klęczała przy sofie i modliła się. Nie zwracała uwagi na obecność w pokoju innych osób. Prokurator siadł przy stole, aby spisać protokół, przejął go ten niezwykle przypadek i poczuł, że w ramach swoich możliwości musi pomóc tym nieszczęśnikom. Gdy skończył dał protokół do podpisania doktorowi. Ten podpisał, a potem wyjął z podręcznej apteczki jakiś słoik.

— Czy to ta trucizna? — spytał prokurator.

— Tak, zobaczy pan zaraz jak ją rozpuszczę.

— Jestem zdania, że tak tajemniczy środek powinien być użyty przy asyście kilku specjalistów.

— Czy wątpi pan w to co robię? Jestem przekonany, że lekarze byłiby przeciwni użyciu tego środka. Raczej zgodziliby się na to, aby chora pozostała w szaleństwie do końca życia.

— Tak, o tym nie pomyślałem. Chciałem tylko, i to było mym zamiarem, byś tym sławnym psychiatrom dowiódł swej wyższości. Podziwiam pański spokój i bez wahania powierzyłbym panu i swoje życie.

— Proszę mi wierzyć, — odrzekł Sternau drżącym nieco głosem — że ten spokój nie przychodzi mi łatwo. Widzę swą miłość pogrążoną w szaleństwie, używam jedyne go znanego środka na pomoc w takim przypadku, ale nigdy go wcześniej nie próbowałem. Nie chodzi tu o pojedyncze wyleczenie, chodzi o wygranie wielkiego procesu, o ukaranie wielkich zbrodniarzy. Od pomyślnego przebiegu tej operacji zależy całe moje życie. Muszę zachować spokój, bo to obowiązek lekarza.

Wzruszony prokurator powiedział:

— Panie doktorze, z całego serca życzę powodzenia.

— Ja także! — dodał nadleśniczy. — Nie patrzcie tylko na mnie, starego durnia, bo ciekną mi z oczu, jak jakiemuś smarkaczowi, łzy. Jeżeli operacja się nie uda i hrabianka nie zostanie wyleczona, to jak mi Bóg miły pojedę do Hiszpanii i wysadzę w powietrze cały zamek Rodriganda!

— No, w imię Boże, zaczynamy! — powiedział doktor. Słowa te wszystkich zelektryzowały, tylko Sternau stał opanowany.

Musiał posiadać wielką umiejętność panowania nad sobą, gdy nabierał wodę na porcelanową łyżeczkę, ręka jego nawet nie drgnęła. Kiedy dołał dwie krople woda nawet się nie zmąciła, nie straciła też zapachu.

— Trzymajcie ją! — poprosił.

Jego matka i siostra ukłękły przy chorej i podniosły jej głowę do góry. Sternau zbliżył łyżeczkę do jej ust, natychmiast jednak ją cofnął i zakrył wolną ręką oblicze. Boleść tego silnego mężczyzny, przyduszona wcześniej, zjawiała teraz z całą mocą.

— Panie! — zawołał — To prawie ponad moje siły! Dodaj mi siły!

Zebrał jednak siły i wziął się na nowo do dzieła. Zaledwie dotknął łyżką ust chorej, mechanicznie otworzyła usta, przyjęła fatalny płyn aż do ostatniej kropli i połknęła. Sternau odstąpił od niej. Głębokie, potężne westchnienie wyrwało się z jego piersi. Położył łyżkę na stół i złożył ręce.

— Boże, albo spraw, by dzieło moje się powiodło, albo daj mi umrzeć!

— Syn, mój kochany synu! — szlochała pani Sternau, objąwszy go swymi ramionami. — Wszemchnocny zlituje się. Ufajmy w jego miłosierdzie.

— Kto mógłby tu stać spokojnie, byłby największym szubrawcem na świecie — rzekł nadleśniczy. — Nawet nie myślałem, że mam tak miękkie serce.

— W jaki sposób działać będzie teraz medycyna? — zapytał prokurator.

— Wkrótce okaże się, czy w ogóle będzie działała — odrzekł Sternau — W dziesięć minut musi zasnąć. Sen ten będzie trwał bardzo długo, może nawet czterdzieści osiem godzin i podczas tego snu ma się stać rzecz najważniejsza. Snu tego przerwać nie można. Jeżeli obudzi się wcześniej to znaczy, że dawka była za słaba i muszę wszystko powtórzyć. Jeżeli nastąpi rozdrażnienie, niepokój a nawet febra, to dawka była za silna i chora umrze, jeżeli natychmiast nie dostanie antidotum. Musi się bardzo dokładnie patrzeć na reakcję i dlatego nie mogę ani na minutę jej opuścić. Muszę prosić pana kapitana, aby dzień i noc trzymać w pogotowiu osiodłanego konia, bym w każdej chwili mógł śłać kogoś do miasta, po konieczne lekarstwa.

— Tylko rozkaż kuzynie, a każe osiodłać wszystkie konie i zajeżdże je na śmierć — odrzekł nadleśniczy.

Wszyscy obecni czekali w napięciu, chora wciąż jeszcze klęczała. Nagle, po dziesięciu minutach schyliła pomału głowę, wargi przestały poruszać się nieustannie, wreszcie oczy zamknęły się i Róża osunęła się na podłogę.

— Bogu dzięki! — odezwali się wszyscy.

— To pół wygranej! — cieszył się Sternau. — Matko, przebierz ją i połóż do łóżka. Za chwilę powrócę, by otoczyć ją opieką.

Panowie opuścili pokój. Alimpo udał się na podwórze, by po takim wzruszeniu zaczerpnąć świeżego powietrza. Zastał tam Kurta, który zagadnął:

— Jakże tam panie Alimpo, dobrze czy źle?

— *Rien comprends!* — brzmiała odpowiedź.

— Mam na myśli hrabiankę?

— *Rien comprends!*

Wtedy myśliwy chwycił Hiszpana za rękę i pociągnął za sobą w stronę Roberta.

— Czy to prawda, że umiesz pędraku dogadać się z tym Alimpo? — zapytał.

— Umiem.

— Chcesz być tłumaczem?

— Tak.

— To powiedz mu, niech opowie, jak obecnie wygląda sytuacja.

Wszyscy troje usiedli na ławce, przyszły także służące i pani Helmer, a Alimpo szlochając opowiedział całe zdarzenie, wszystkich bardzo to wzruszyło, chociaż tłumaczenie chłopca miało ogromne luki.

Przez całą dobę w Kreuznach panowała grobowa cisza. Chodzono na palcach, rozmawiano tylko szeptem. Co godzinę przechodziły z ust do ust wieści o stanie chorej.

Na drugi dzień przyjechał pan Helmer. W zamku zapanowała radość, którą przytłumiła jednak obawa o chorą. Gdy po obiedzie usiadł z rodziną zaciekawiony słuchał opowieści o najnowszych wydarzeniach.

— Jak się zowie hrabianka? — zapytał.

— Róża — odpowiedziała żona.

— A nazwisko?

— Rodri... Rodri... nie mogę sobie zapamiętać tego nazwiska.

— Roderwanda — dorzucił Robert.

— Roderwanda? — zapytał ojciec z namysłem — Hm! I jest Hiszpanką?

— Tak.

— A może nazywa się Rodriganda, a nie Rodewanda?

— Tak, tak, tak się nazywa! — krzyknął Robert.

— Naprawdę?

— Tak, ja też sobie przypominam, — dodała pani Helmer. — Znasz tę miejscowość?

— Nie, ale słyszałem o niej. Hm, to dziwne.

— Co takiego?

- I doktora Sternau też uwięziono niewinnie?
- Tak mi mówiła pani Sternau.
- Gdzie?
- W... w... w mieście, którego imię przypomina coś jakby porcelanę.
- Masz może na myśli Barcelonę?
- Tak, to właśnie to.
- To doprawdy nieprawdopodobne.
- Co takiego, o co chodzi?
- Nie wiesz za co go uwięziono?
- Tego mi nie powiedziano.
- Czy może z przyczyn człowieka, który zniknął z zamku Rodriganda?
- Nie. Ale co... mój Boże, co ty o tym wiesz. Rzeczywiście w Rodnganda zniknął jeden człowiek, opowiadała o tym pani Sternau.
- A kto to był?
- Porucznik huzarów.
- Hm! I nie wiedzą, gdzie on teraz przebywa?
- Nie. Ale czekaj, przypominam sobie, że doktor Sternau miał jakieś podejrzenia co do tego, że uprowadzono go na jakimś statku.
- Do stu piorunów! Zgadza się! Jak się ten statek nazywał?
- Tego pani Sternau mi nie powiedziała.
- Na pewno nie? Nie była to przypadkiem „Pendola”, przypomnij sobie, proszę!
- Jestem pewna, że nie wymieniała nazwy.
- I nie powiedział nic więcej.
- Żona sternika namyślała się przez chwilę, a potem odrzekła:
- Czekaj już mi się przypomniało, w tę sprawę zamieszany był jakiś adwokat.
- Jak on się nazywa?
- Tego nie zapamiętałam, nazwisko było obce i trudne.
- Czy nie nazwał się może Gasparino Kortejo?
- Najprawdopodobniej tak. Ale kochanie, jak się o tym wszystkim dowiedziałeś?
- O tym jeszcze ci opowiem. Teraz mi przede wszystkim powiedz, czy można mówić z doktorem Sternauem?
- Absolutnie nie.
- Więc muszę cierpliwie czekać?
- Czy to aż takie ważne?
- Ogromnie, jeżeli nie myli mnie przeczucie.
- Czy mogę coś o tym wiedzieć?
- Teraz jeszcze nie. Nie wiem, czy doktor pozwoliłby na to.
- W tym samym czasie Sternau siedział przy łóżku chorej, oprócz niego w pokoju obecna była tylko jego matka. Hrabianka od momentu podania lekarstwa nieustannie spała. W łóżku wyglądała jak marmurowy posąg, nie poruszała powiekami, nie było słychać jej oddechu.
- Mamo! — dał się słyszeć cichy szept.
- Słucham Karolu.
- Chodź na moment.
- Podeszła z pytaniem w oczach, a w jego wzroku spostrzegła blask nadziei.
- Dotknij tej ręki!
- Ujęła marmurowo białą rękę śpiącej i przytaknęła radośnie.
- Czuję puls, naprawdę!
- Popatrz na usta, jak zaczynają się czerwienić, pójdz po kapitana i powiedz, że hrabianka za godzinę powinna się obudzić.
- Karolu, czy to prawda?

— Tak.

Przycisnęła syna do siebie, pogłaskała pieszczotliwie jego głowę i zapytała:

— Czy tylko przyniesie ci to szczęście?

— To już w ręku Boga. Modłę się o to gorąco.

— Oby pan raczył wysłuchać twych modłów. Zasłużyłeś na szczęście, mój synu!

Cichutko wyszła i równie cicho powróciła na swoje poprzednie miejsce, jednak nie była w stanie już pracować, rozmyślała nad losem, który ma nadejść dla jej dziecka.

Po prawie godzinie usłyszano lekki oddech chorej, potem zaczerwieniły się jej policzki. Poruszyła ręką, powieki zadrgały, a po chwili chora lekko poruszyła głowę. Pierś lekarza ledwie nie pękła. Trzymał jej rękę w swojej i na oko pozostawał spokojny, chociaż wszystko mu w duszy drgało. Hrabianka otwarła oczy i patrzyła wprost na doktora.

— Boże dopomóż! Teraz się rozstrzygnie! — błagał w skrytości serca Sternau.

Oczy Róży nabrały marzycielskiego wyrazu, jaki najczęściej maluje się po przebudzeniu i spoczęty z wyrazem pełnej świadomości na otaczających ją przedmiotach.

— Udało się! — radował się w duszy Sternau.

Oko Róży biegało z przedmiotu na przedmiot, a na twarzy malował się wyraz zaskoczenia. Wszystko w pokoju było obce i wtedy, ktoś chwycił ją za rękę, odwróciła się i...

— Karlosie, mój Karlosie! — zawołała. — Ty tutaj?

— Tak, kochana, jestem przy tobie — odrzekł drżącym głosem.

— Gdzie jestem, jak długo spałam?

— Uspokój się, jesteś u mnie — powiedział obejmując dziewczynę czule.

— Dobrze, jestem spokojna, bo ty jesteś przy mnie — mówiła. — Czy długo spałam?

— Bardzo długo, byłaś chora.

— Chora? — zapytała namyślając się. — Jak to? Wczoraj przecież odprowadziłam Amy do Pons, a potem... aha, potem ty zniknąłeś. Pojechałam do korregidora do Manresy, pokłóciłam się z Alfonso i Kortejem, bo chciałam się dowiedzieć, gdzie jesteś. Wieczorem w pokoju Korteja strzelano, a potem zrobiło mi się niedobrze i chciałam iść spać, jednak w czasie modlitwy zasnąłam. Gdzie byłeś Karlosie?

— W Barcelonie.

— Nie uprzedziwszy mnie o tym, jesteś bez serca.

Wtem, przy oknie dało się słyszeć ciche łkanie, Róża zwróciła tam głowę.

— Kto to płacze? Kto jest tutaj? — zapytała. — Czy to może moja Elwira?

— Nie, moje serce.

— No to kto?

— Jest to pewna wspianała kobieta, która chciała cię poznać.

— Obca? — zawołała przestraszona Róża — Kto to taki?

— Moja matka.

Róża spojrzała na niego i nic nie mogła zrozumieć z tego co on mówił, potem zaś zawołała z wielką radością.

— Twoja matka? Co za szczęście, co za niespodzianka. Zawołaj ją szybko, prędko!

— Ale musisz z nią rozmawiać po francusku Rózo, gdyż ona nie zna hiszpańskiego.

— Oczywiście, niech tylko podejdzie.

— Matko, — poprosił Karol — zbliż się do nas. Róża pragnie cię widzieć.

— Synu, nic nie rozumiałam z tego co mówiliście, ale jestem bardzo szczęśliwa, że w ogóle odzyskała przytomność.

— Tak, Bóg wysłuchał naszych modłów, podejdź do nas. Róża usiadła, wyciągnęła w stronę zbliżającej się dłoń i rzekła z radością:

— Pani jest matką Karlosa? Witam panią serdecznie. Czy mogę zostać twą córką?

Pani Sternau położyła ręce na jej głowi i odparła:

— Moje dziecko, prosiłam Boga, by zesłał na ciebie swe błogosławieństwo. Oddałabym życie, by tylko was widzieć szczęśliwymi.

Doktor pozostawił panie same i pobiegł do kapitana.

— Zwycięstwo! Zdrowa, zdrowa! — zagrzemiał w drzwiach jego głos.

— Do stu tysięcy bomb i granatów! — zawołał kapitan przestraszony, potem jednak, jakby właśnie do niego dotarła ta szczęśliwa wiadomość, aż podskoczył — Czy to prawda?

— Taak!

Wtedy kapitan krzyknął z całych sił:

— Hurra! Hurra! Mociumpanie! Zdrowa! Alleluja! Zdrowa! Viktoria! A można tam do niej zaglądnąć? Można na nią popatrzeć?

— Nie.

— To mi się bardzo nie podoba! To po prostu nie po ludzku. Ale co ma robić, muszę coś zrobić z radości? Czekaj, mam już! — i jak strzała pobiegł na podwórzec.

Sternau natychmiast udał się do pokoju chorej, gdyż musiał uważać, aby Róża nie dowiedziała wszystkiego się zbyt wcześnie. Gdy go tylko zobaczyła wyciągnęła ramiona i powiedział:

— O Karlosie, jak ja ci dziękuję za matkę, ona jest taka kochana. Ale czy to prawda, że byłam chora?

— Tak, kochanie.

— Długo?

— Bardzo długo.

— A więc to, o czym mówiłam nie stało się wczoraj?

— Nie, przed trzema miesiącami.

— Przed trzema miesiącami? — szepnęła zdziwiona. — Więc musiałam nie mieć świadomości.

— Zupełnie.

— I ty mnie wyleczyłeś?

— Bóg pozwolił mi znaleźć odpowiedni środek.

— A gdzie Alfonso, Kortejo, Alimpo i moja dobra Elwira?

— Alimpo i Elwira są tutaj. Reszty dowiesz się później. Nie wolno ci się jeszcze przemęczać. Musisz na siebie uważać.

— Będę posłuszna, ale powiedz mi tylko jedno, gdzie ja się znajduję?

— U dobrego przyjaciela.

— Nie w Rodrigandzie?

— Nie, powiem ci o tym dzisiaj.

— A gdzie? — zapytała zatrwożona — Gdzie jest mój ojciec? Czy to prawda, że roztrzaskał się na skałach?

— Nie, on żyje. Ale teraz już przestań mówić, bo inaczej znowu się rozchorujesz.

W tej chwili na podwórzu zadźwięczały pojedyncze trąbki myśliwskie, a potem czteroosobowy chór zaśpiewał:

*O jak mi błogo, druhu mojej duszy,
Gdym owiany twą miłością...
Śród życia burz, gorzkich katuszy
Ku tobie lgnę z ufnością.*

*Ustąpić musi noc żalości
Gdy śród rozkosznej tej radości
Twa miłość się promieni.
Niebiani mi zazdrościć mogą,*

*Bom znalazł serca ciszę błogą
I bólów ukojenie.*

- Co to? Co to było? — pytała Róża z rozjaśnionym obliczem.
- To piosenka, którą na twoją część kazał zagrać nasz przyjaciel. Byłem właśnie u niego i powiedziałem, że wracasz do zdrowia.
- To musi być bardzo dobry człowiek.
- Masz rację. Nie miałaś nigdy lepszego przyjaciela, niż on.
- Podziękuj mu w moim imieniu, dopóki ja sama tego nie będę mogła uczynić. Ale Karlosie, mam jedną prośbę.
- Mów śmiało, kochanie.
- Nie ukochanemu, lecz lekarzowi ją przedkładam — rzekła rumieniąc się z zakłopotania.
- Kiedy byłam taka chora, to z pewnością niewiele jadłam?
- No, to mogłaś śmiało powiedzieć nawet każdemu. Kiedy jesteś głodna, to jestem przekonany, że szybko wrócisz do pełni sił. Matka zaraz przyniesie ci to, co jej każe. A może Elwira ma ci przynieść?
- O tak, bardzo bym ją chciała zobaczyć.
- Karol napisał parę słów na karteczce, którą pani Sternau, zaniósła do kuchni. Po drodze spotkała nadleśniczego, który zapytał:
- Czy to prawda, że ona już zdrowa?
- Bogu dzięki, tak.
- Hurra! Mociumpanie, a słyszała mój chór?
- Słyszała.
- Cieszyła się. To moja ulubiona pieśń. Moi chłopcy zagrali ją na trąbkach myśliwskich.
- Była bardzo wzruszona i kazała panu podziękować z całego serca.
- Tak? No to każe zagrać jej jeszcze coś innego. Jak pani sądzi, czy „kujawiak będzie dobry?
- Panie kapitanie, nie wiem co mam panu radzić, w ogóle nie mam czasu, bo spieszę się do kuchni.
- Po co?
- Karol napisał mi co należy podać chorej.
- Co takiego? — wziął kartkę z jej ręki i czytał: — Co? Czysty rosół z grysikiem? Trochę suszonych owoców. Czy on mociumpanie nie oszalał? I to ma pomagać chorej? Przynieście jej kapusty, pierogów albo gołąbków, łazanek, świeżej szynki, parę kwaszonych ogórków i marynowanego śledzia. To dobre na apetyt, wzmacnia mózg i uspokaja nerwy.
- Szybkością błyskawicy pobiegł na podwórze, gdzie jego chłopcy ponownie musieli wziąć w ręce trąbki i przystąpić do realizacji programu. Stał przed nimi dyrygując, gdy nagle ujrzał sternika.
- Helmer! Czy pan wie dlaczego gramy?
- Wiem. Podobno doktorowi udało się wyleczyć hrabiankę Różę.
- Tak. Doktor to wielki znawca medycyny, ale jeśli chodzi o należyte żywienie chorych, to jest analfabeta. Czy pan go już widział?
- Nie, ale chciałbym i to w możliwie szybko z nim pomówić.
- Stało się coś może? Czy ktoś z rodziny chory?
- Nie. To hiszpańska historia, która może mieć dla niego pewną wartość.
- Hiszpańska historia? Do stu bomb i kartaczy! To się ciekawie zapowiada.
- To dotyczy Rodrigandy.
- Do diabła! Co pan wiesz o Rodrigandzie? Czy ja też mogę wiedzieć?
- Nie wiem, czy doktor nie miałby do mnie pretensji, gdybym komuś o tym opowiedział, bez jego zgody. Tu może chodzić nawet o wielką tajemnicę.

— Tak...Będzie pan dzisiaj w domu?

— Oczywiście.

— Dobrze, więc pošę go do pana, skoro tylko będzie można. *Adieu!*

Nie trwało długo i lekka zupa dla Róży już była gotowa. Elwira przyniosła ją do pokoju hrabianki.

— Witaj, kochana Elwiro! — zawołała Róża — Długi czas nie mogliśmy rozmawiać.

Pocziwa kasztelanowa uroniła łzy.

— O moja kochana, najdroższa hrabianko! O... — wołała płacząc — Dzięki Bogu, że mnie znowu poznajesz. Podczas twoje długiej choroby wszyscy niewymownie cierpieliśmy.

— Ale teraz jestem zdrowa i znowu możesz się cieszyć.

Z wielkim apetytem spożyła posiłek, policzki nabrały rumieńców, a doktor nabrał przekonania, że jeszcze dzisiaj będzie mógł pomówić z nią o smutnych wydarzeniach ostatnich trzech miesięcy.

Po jedzeniu zapadła w lekką drzemkę, więc Karol powierzył ją opiece matki i Elwiry, a sam udał się na spacer, by po ciężkich przeżyciach zaczerpnąć świeżego powietrza.

Przechodząc przez podwórze zobaczył sternika, który na jego widok uchylił kapelusza. Sternau odkłonił się i zatrzymał, gdyż wyczuł, że Helmer chce z nim mówić.

— Czy mam zaszczyt mówić z doktorem Sternauem? — zapytał Helmer.

— Tak.

— Czy ma pan chwilę czasu?

— Tak, pan jest pewnie ojcem Roberta?

— Tak, wróciłem niedawno z morza.

— Jaka pan ma do mnie sprawę?

— Odnosi się ona do pańskiego pobytu w Hiszpanii i do tego co tam przeżyłeś.

— Czyżby pan był w Hiszpanii — spytał zdziwiony Karol.

— Nie, ale podczas mojej długiej, morskiej podróży dowiedziałem się przypadkowo o czymś, co jak mi się wydaje, bardzo pana zainteresuje.

— Budzisz pan we mnie ciekawość! Usiądźmy więc i słucham pana.

Helmer opowiadał o tym co przeżył w Funchalu; w pewnym momencie Sternau aż podskoczył z wrażenia.

— Panie, nie jesteś w stanie pojąć, jak ważne są dla mnie te wiadomości. To, że udało wam się podsłuchać tę rozmowę w karczmie mamci Dry, to prawdziwe zrządzenie losu. Powiadasz pan, że na okręcie znajduje się pojmany? — spytał.

— Tak przynajmniej słyshałem.

— Urowadzono go z Rodrigandy?

— Tak.

— I niejaki Gasparino Kortejo maczał w tej sprawie swoje brudne palce?

— Tak.

— Jak pan nazwałś kapitana tego okrętu?

— Henryk Landola. Jego okręt to „Pendola”, co po prostu znaczy piórko.

— I sądzisz pan, że Landola i czarny kapitan, to jedna i ta sama osoba.

— Jestem o tym całkowicie przekonany. Okręt ów maskuje się. Daję głowę, że „Pendola” nie jest niczym jak pirackim okrętem „Lion”, który grasuje na morzach Afryki i Ameryki Południowej.

— Mój Boże, w takim razie kapitan Henryk Landola to nikt inny, tylko kapitan Grandepriese.

— Z pewnością, panie doktorze! Cieszy mnie, że moje informacje na coś się panu przydadzą.

— Mają one dla mnie wprost ogromną wagę! — zawołał Sternau, a potem namyślając się dodał: — To się całkowicie zgadza z tym co w więzieniu opowiadał mi Garbilot.

— Garbilot? Może Jakub Garbilot?

— Tak, znacie go?

— Bardzo dobrze. To był tęgi chłop. Kiedy byłem pomocnikiem na okręcie „Entrebras”, on nim kierował. Później spotkaliśmy się jeszcze na „Cauntry”. Potem odszedł i słyszałem, że dostał się między piratów. Wydaje mi się jednak, że to nie może być prawda.

— To była prawda, wyznał mi ją w godzinie śmierci. Słyszałem jego spowiedź, bo siedzieliśmy razem w jednej celi. Bardzo jestem panu wdzięczny za te wszystkie, cenne informacje. Czy nie wie pan przypadkiem dokąd udała się „Pendola” z Medeiry?

— Słyszałem, że wybierali się do Kapsztadu, ale czy piratom można wierzyć? Na pewno pan wie, że tego typu okręty nie mają wyznaczonego kursu. Rozbójnik morski udaje się tylko tam, gdzie spodziewa się zdobyć.

— Czy jest jakaś możliwość, aby dowiedzieć się, gdzie on stoi na kotwicy, albo gdzie ich widziano?

— Można, ale to połączone jest ze znacznymi kosztami. Należy zwrócić się do Ministerstwa Spraw Zagranicznych w Berlinie i im należy zlecić to zadanie. Będą na to potrzebowali masę czasu.

— A gdybym poprosił, by informacje rozesłano drogą telegraficzną?

— To pójdzie szybciej, jednak będzie jeszcze droższe. Ale nawet, gdy się pan dowie o miejscu postoju „Pendoli” to, co to panu da?

— Poszukam tego okrętu.

— Po co?

— By uwolnić tego, którego tam uwięzili.

— Czy to dla pana takie ważne?

— Nadzwyczaj. Może później opowiem panu o tym. Czy ma pan teraz jakąś pracę?

— Nie.

— A czy umiałbyś kierować statkiem?

— Oczywiście.

— A małym jachtem parowym?

— Tak, jeżeli będzie dobry maszynista, na którym można całkowicie polegać.

— Czy taki jacht byłby w stanie na otwartym morzu zaatakować „Pendolę”?

— To trudne pytanie. Musiałby mieć odpowiednie działa, być odpowiednio umocniony, a przede wszystkim mieć dzielną i znakomicie uzbrojoną załogę.

— Czyli uważasz pan, że jest to możliwe?

— Po spełnieniu powyższych warunków.

— Ile mógłby taki jacht kosztować, oczywiście w przybliżeniu?

— Czterdzieści tysięcy talarów, bez uzbrojenia.

— A można kupić używany?

— Trochę ciężko. Takie statki budowane są tylko na prywatne zamówienie. Są to okręty dla milionerów, a tacy nie sprzedają swoich zabawek. Zresztą, może taki zużyty statek nie nadawać się do pańskich celów. Musi pana zamówić takiego małego, morskiego potworka według własnego projektu. Uzbrojenie także musiałyby być wykonane na pańskie zamówienie.

— Gdzie budują najlepsze statki?

— Ja optuję za słynną stocznia w Greenock w Clyde.

— W Szkocji?

— Tak. Musiałby udać się pan tam osobiście.

— Ale ja się na tym nie znam. Czy miałbyś pan ochotę towarzyszyć mi, skoro zechcę zrealizować ten pomysł?

— Z wielką ochotą.

— Dobrze. Pomyślę o tym. Moja siostra, która bardzo lubi pańską żonę, pytała mnie, czy mógłbym panu pomóc, gdyż chce pan samodzielnie wypłynąć na morze. Kiedy zamówię ten jacht, to nie będziesz pan wprowadzić jego właścicielem, ale kapitanem, a jeżeli osiągniemy cel,

nie zapomnę o nagrodzie. Teraz pójdę się trochę przejść. To co usłyszałem jest tak skomplikowane, że potrzebuję chwilę samotności, aby należycie to sobie przemyśleć. Dobrej nocy, panu życzę.

— Dobrej nocy, doktorze!

Podali sobie ręce i każdy poszedł w swoją stronę.

Doktor powrócił dopiero po godzinie. Wszedł do komnaty Róży i zastał ją całą zalaną łzami. Kasztelanowa siedziała obok i również płakała. Pani Sternau szybko podeszła do syna.

— Jak to dobrze, że przychodzisz, Karolu! — rzekła. — Nie rozumiem po hiszpańsku, ale domyślam się, że pani Elwira coś wypaplała. Bardzo dużo rozmawiały i nawet prośbą nie mogłam ich nakłonić do milczenia!

— Nie gniewaj się, kochany — poprosiła drżącym głosem Róża. — Pocziwa Elwira opowiedziała mi trochę, więc nie mogłam już dłużej wytrzymać i zaczęłam wypytywać o szczegóły.

— Ale to ci może zaszkodzić! — zawołał.

— Nie, — odrzekła. — Prawda nie szkodzi mi tak bardzo, jak niepewność, która mnie otaczała do tej pory.

— Więc nie czujesz się gorzej.

— Nie. Teraz, gdy dowiedziałam się ile ty musiałeś wycierpieć, muszę być mocna. Mój Boże, więc ja naprawdę byłam obłąkana?

— Tak i to na skutek trucizny.

— Którą mi podał Kortejo?

— Przypuszczam.

— Była to ta sama trucizna, którą podano memu ojcu?

— Tak.

— Gdzie jest mój ojciec, powiedziałaś, że żyje.

— Uspokój się, kochanie. Wszystko ci opowiem. Sądzę, że Elwira nie przedstawiła ci tego w odpowiedni sposób. Zaraz ci wszystko wytłumaczę.

Usiadł przy niej i cały wieczór opowiadał.

Na drugi dzień rano, Róża obudziła się na tyle silna, że wstała, przy pomocy Elwiry ubrała się i zezwoliła na odwiedziny Alimpo.

Gdy wszedł, zastał hrabiankę tak rześką i hożą, jaką widywał niegdyś w Rodrigandzie. Z radością ucałował jej ręce i powiedział:

— O moja droga, kochana, łaskawa hrabianko! — zawołał wśród strumienia łez — Jakże dziękuję Bogu, że cię ocalił.

— Ja też mu dziękuję, że mogę znowu z wami rozmawiać — odpowiedziała.

— A wszystko to sprawił senior Sternau. To on panią wyleczył i zadbał o pani zdrowie.

— Wiem, opowiadał mi także ile dla niego zrobiłeś ty i Elwira. Bardzo wam za to dziękuję.

— O to nic, to doprawdy drobiazg — zapewnił Alimpo. — My za wami poszlibyśmy na koniec świata. Moja Elwira mówi tak samo.

— Pomyślę o tym, jak wam wynagrodzić wasze przywiązanie i ogromne poświęcenie. Ale, czy mógłbyś pójść do senior Sternaua i zapytać, czy może się ze mną przejść parę minut po świeżym powietrzu?

— Natychmiast! W tej chwili! O nasza kochana hrabianka czuje się na tyle dobrze, że chce iść na spacer!

Z tym okrzykiem wybiegł, a za dwie minuty przyprowadził lekarza, który widząc swoją pacjentkę w tak znakomitej formie był w siódmym niebie i z wielką ochotą przystał na ten pomysł.

Godzinę wcześniej do lasu wybrał się Robert. W lesie, samotnie w chacie mieszkał jego stary znajomy Tombi; bardzo lubił chłopca, którego nauczył wielu rzeczy.

Skoro Robert dotarł do małej polanki, na której stała chatka, ujrzał jak z jej komina ulatywały błękitne obłoczki dymu.

— A jeszcze nie wyszedł, to dobrze, będę miał wspaniałe towarzystwo.

Mówiąc te słowa zbliżył się do chatki i zapukał:

— Kto tam? — ze środka odezwał się mocny głos.

— Robert! — radośnie powiedział chłopiec.

— Zaraz!

Nie mógł otworzyć, gdyż był zajęty wielce tajemniczą sprawą. Siedział mianowicie przy stole, przy zasuniętych okiennicach i w świetle płonącego kominka czytał list, pisanym dziwnymi literami. Były to arabskie znaki a list, nadany z Manresy w Hiszpanii, zaadresowany do leśniczego Tombi w Kreuznach koło Moguncji, w Niemczech, o następującej treści:

„Drogi Tombi, mój synu!

Ciesz się, że naszym podopiecznym dobrze się powodzi. Z doktorem Sternauem rzecz ma się inaczej. Wyjechał teraz z obłąkaną. Przekroczył granicę i zapewne uda się do Paryża. Możliwe też, iż ją zawiezie do swojej matki i siostry. Jeśli by się to stało, to bacz na ich szczęście. Przyjdzie kiedyś czas, kiedy ci za to podziękują, a my będziemy się mogli zemścić na tym, który nas odepchnął.

Pisz mi o wszystkim, co się dzieje, a ja cię również powiadomię o wszystkich, ważnych wydarzeniach. Jesteś przyszłym królem Gita nów. Nie zapominaj, że twoja opieka powinna się potężnie rozpościerać nad wszystkimi, których ci powierzyłam!

*Twoja matka
Zarba, królowa”.*

Leśniczy otrzymał list wczoraj, a teraz czytał go powtórnie, gdy właśnie zapukał chłopiec. Złożył list, wsadził do koperty i schował go portfela, a ten do skrzyni.

Portfel był wykonany z delikatnej safianowej skórki, mieścił w sobie notes, w którym arabskim pismem zanotowano wiele cennych uwag dotyczących ludzi i wydarzeń. Między różnymi pismami i listami można było zauważyć gruby plik banknotów o tak dużej wartości, że nikt, kto spojrzał na leśniczego, nie podejrzewałby go o taki majątek. Gdy schował list otworzył drzwi.

— Dzień dobry Tombi! — pozdrowił go chłopiec.

— Jak się masz, smyku! — odpowiedział Tombi.

Ktoś, kto znał hrabiego Alfonso de Rodriganda i zobaczył Tombiego, od razu musiał zauważyć wyjątkowe podobieństwo między tymi dwoma mężczyznami.

— Dopiero teraz wstajesz? — zapytał Robert.

— Nie, wcale nie spałem.

— A co robiłeś?

— Czatowałem na kozła.

— I upolowałeś go?

— Muszę go widzieć! Pokaż mi go prędko! — zawołał zachwycony chłopiec.

— Chodź ze mną — powiedział jak zwykle łamanym niemieckim i zaprowadził chłopca do leżącego kozła.

— Kapitalny kozioł! — powiedział ze znanstwem w głosie malec.

— A pewnie! Chodziłem za nim już od dłuższego czasu.

— Trafiony w łopatkę! Z ciebie to tęgi chłop, Tombi!

— Z ciebie także, Robercie! — zaśmiał się Tombi.

— Jak to?

— Słyszałem, że wczoraj zastrześliłeś lisa.

— Tak, to też był tęgi zwierz — rzekł Robert z dumą w głosie.

- Kto był z tobą?
- Kurt i dwaj inni.
- Czy oni nie strzelali?
- Strzelał tylko Kurt.
- Przecież Kurt to znakomity strzelec, nigdy nie spudłuje. Dziwne, mierzył do lisa?
- Właściwie to nie — odpowiedział zakłopotany chłopiec.
- Więc on wcale nie wystrzelił?
- O, wystrzelił.
- I trafił?
- Hm, lepiej zapytaj go samego.
- O Boże! Czy to taka wielka tajemnica?
- Pewnie.
- Nawet przede mną?
- Tak — powiedział Robert.
- Słuchaj chłopcze, wydawało mi się, że jesteśmy dobrymi przyjaciółmi!
- Mnie się też tak wydaje.
- A więc, dobremu przyjacielowi się ufa.
- Ja ci przecież ufam. Ale Kurt także jest moim przyjacielem i to dobrym, a bywają rzeczy o których nie można opowiadać drugim przyjaciółom.
- O Boże! Mówisz jak z książki, mój mały — śmiał się Tombi, potem zapytał z miną łotra, a którą było mu wyjątkowo do twarzy — Słyszałem, że mieliście w zamku żałobę?
- Żałobę? Dlaczego?
- Bo zmarł jakiś mężczyzna.
- Nic o tym nie wiem!
- A tak, a właściwie nie zmarł, tylko został zamordowany.
- Robert aż podskoczył ze zdziwienia i zawołał:
 - Zamordowany? Nic o tym nie wiem!
 - A tak pozbawiony życia, po prostu zastrzelony!
 - Kto miałby być mordercą?
 - Kurt!
 - To bzdura! — zawołał chłopiec szybko — Kurt nie jest mordercą!
 - Ja także tak myślałem, ale teraz widać jak można się zawieść nawet na swoim najlepszym przyjacielu. Zamordował jakiegoś mężczyznę, a potem po kryjomu zakopał w ogrodzie.
- Wtedy chłopak wybuchnął śmiechem:
 - A teraz wiem, jakiego mężczyznę masz na myśli?
 - Tak?
 - No pewnie, myślisz o Leśniku.
 - Tak — przytaknął Tombi z zadowoleniem. — Chłopcze, chciałem cię wziąć na próbę, spisałeś się wspaniale. Przyjaciół nigdy nie należy zdradzać. Chciałeś przemilczeć nawet o haniebnym zgonie Leśnika, by na czci Kurta nie zrobić rysy. Bardzo to ładnie z twojej strony!
 - To go bolało — rzekł chłopiec. — Sądzę nawet, że miał łzy w oczach, bo, jak sam powiedział to był świński strzał.
 - Oczywiście. Prawdziwie świński strzał. Spodziewam się, że ty nigdy takiego strzału nie wykonasz.
 - Ani mi się śni.
 - Dlaczego nie byłeś przez te dni u mnie?
 - Nie miałem czasu. Kiedy zastrzeliłem lisa rozpoczęły się odwiedziny.
 - Czyje?
 - Doktora Sternaua.
 - Przybył sam?

— Nie, z hrabianką Rodriganda, z kuzynem Alimpo i kuzynką Elwirą.
— Słyszałem. Jak ci się podobają goście?
— A jak mi się mają podobać! Są wspaniali. Wujaszka Karola bardzo lubię, a kuzynka Elwira jest taka gruba i dobra, że skoro tylko się ją zobaczy, natychmiast musi polubić.

Tombi się zaśmiał.

— A więc trzeba być grubym, aby zdobyć twoją sympatię?

A hrabianka jest zdrowa?

— Wprost przeciwnie. Jest bardzo chora. Ale wujaszek ją wkrótce wyleczy. O, to bardzo mądry człowiek, daleko mądrzejszy od kapitana. Tak mówią wszyscy.

— Mądrzejszy nawet od ciebie? — zapytał Tombi żartem.

— Pewnie, ale kiedy będę taki duży, jak on, to pójdę z nim w zawody. Możesz być tego pewien.

— Wtedy już nie będziesz popełniać głupstw?

— Nie. A czy ja popełniam głupstwa?

— O broń Boże! — śmiał się Tombi. — Ocalasz tylko więźniów i strzelasz do prokuratorów.

Rumieniec wstydu, a zarazem i gniewu wystąpił na twarzy chłopca i zawołał:

— O! Jesteś wstrętny Tombi, ty jesteś zły!

— Dlaczego?

— Czy nie powiedziałeś, że jesteś moim przyjacielem?

— Tak.

— I że dobrzy przyjaciele nie powinni siebie nawzajem poniżać.

Twarz mieszkańca leśniczówki przybrała poważny wygląd.

— Masz rację Robercie! Ale dobrze znajomi, mogą od czasu do czasu ze sobą pożartować.

— Tego rodzaju żartów nie znoszę. Chodź, będziemy strzelać!

Powiedział to z wielce obrażoną miną. Tombi przytaknął, wziął strzelbę do ręki i wyszedł za chłopcem na polankę, na której najczęściej obaj doskonalili się w sztuce myśliwskiej. Dzisiaj także rozpoczęli ćwiczenia.

W czasie tych zajęć obaj porozumiewali się dziwną mową, z której nikt, w całej okolicy nie mógł zrozumieć ani słowa, natomiast Robert nauczył się jej bez większego trudu.

Gdy ćwiczenia zakończono, razem w milczeniu powrócili do zamku. Gdzieś w połowie drogi, usłyszeli przed sobą jakieś głosy.

— Chodź no tutaj! — Tombi pociągnął Roberta za sobą w zarośla.

Stanęli i zaczęli nasłuchiwać, licząc na to, że przy okazji złapią jakiegoś leśnego rabusia. Przeliczyli się wielce, gdyż parą, która toczyła rozmowę był doktor Sternau i hrabianka Róża de Rodriganda.

— *Donnarita!* — zamruczał Tombi zdziwiony — Całkiem księżę Olsunna. Zupełnie jak z obrazu!

— Co? — zapytał szeptem Robert.

— Nic — szepnął zapytany przychodząc do siebie — Kim jest ten olbrzym?

— Wujaszek Sternau.

— A ta piękna dama?

— Hrabianka.

— Niech nas miną.

Ale spacerowiczom nigdzie się nie spieszyło. Nagle po drugiej stronie ścieżki usłyszeli gniewne „*hu, hu, hu*”.

— Co to? — spytała Róża stanąwszy.

— Coś jakby dzik podczas ucieczki — odpowiedział Sternau wyraźnie przestraszony.

Zaledwie wymówił te słowa, gdy zarośla się rozchyliły i wyrzwał dzik. Wybałuszzył na chwilę gniewne, małe oczka, pochylił łeb uzbrojony w dwie szable i rzucił się na Różę.

— O święta panienko! — krzyknął Sternau, gdyż nie miał nawet przy sobie broni.
Ujął ukochaną w ramiona i właśnie w chwili, gdy dzik już miał zadać cios, porwał ją i skoczył w bok. Równocześnie rozległ się strzał.
— Holla, wujaszku nie bój się! — zawołał dziecięcy głosik.
Dopiero po chwili Sternau odzyskał siły.
— To ty, Robercie? — zapytał wychodzącego z gęstwiny chłopca,
— Oczywiście! — zaśmiał się malec, trzymając podniesioną strzelbę. — Czy dzik naprawdę padł?
— Spodziewam się, że tak. Robercie, ocaliłeś nam życie.
— O nie, — odparł chłopiec. — Ty jesteś silny i z pewnością powaliłbyś tego dzika na ziemię. Ale dobrze, że zdążyłem cię uprzedzić.
— Skąd się tutaj wzięłeś?
— Miałem właśnie wracać do zamku, byłem u Tombiego i chcieliśmy zanieść kapitanowi kozła.
— Tombi? Kto to jest?
— O, ten człowiek, który tam stoi. Wtedy Tombi podszedł i powiedział:
— Panie, należę do zamkowej służby, a mieszkam w samotnej leśniczówce.
Na jego widok Sternau i hrabianka aż cofnęły się do tyłu, a Róża zdziwiona zawołała:
— Alfonso! Ach nie! Ale co za podobieństwo?
— Nazywasz się Tombi? — spytał Sternau — To jakieś obce imię.
— Jestem Gitano.
— Ach, Cyganem.
— Hiszpańskim Cyganem — dodała Róża. — Bowiem tylko ci noszą nazwę Gitano.
— Tak, pani — odrzekł Tombi po hiszpańsku.
— Z jakiej jesteś okolicy?
— Z żadnej — odparł z żalonym uśmiechem. — Gitano nie ma ojczyzny. Nie zna odległości, okolicy ani kierunku. Wędruje, gdzie go oczy poniosą, wszędzie jest obcy i wszędzie odpychany.
— Ale tylko przez złych ludzi. O jak się cieszę, że słyszę swą ojczystą mowę. Jak dostaliście się tutaj na służbę?
— Często wędrowałem, a gdy pewnego razu dotarłem w te okolice było wielkie polowanie. Potrzebowali ludzi do nagonki, więc się zgłosiłem. Pan kapitan zauważył, że umie dobrze strzelać i powierzył mi swoją strzelbę. Był ze mnie bardzo zadowolony i gdy zaproponował mi pracę, pozostałem.
— Od jak dawna tu jesteś? — spytał Sternau.
— Trzy lata.
— Tak samo jak i moja matka. Lubię Cyganów, zawsze okazywali mi przyjaźń, ja znałem ich bardzo wielu.
Nie przeczuwał, że nie był to czysty przypadek, ale że znajdował się pod specjalną opieką królowej Cyganów.
— Macie krewnych? — pytał dalej lekarz.
— Oczywiście i to bardzo wielu. Wszyscy Cyganie są moimi braćmi. Ojca nie mam, ale matką mą jest Zarba.
— Zarba? — zapytała Róża. — Czy to możliwe?
— Tak Zarba — powiedział Tombi.
— Ona u nas, w Rodrigandzie była wiele razy. Często, gdy byłam jeszcze małą dziewczynką wróżyła mi.
— A potem nie? — zapytał żartem Sternau.
Róża zarumieniła się zakłopotana, ale szczerowość kazała jej dodać:

— Potem też. Wtedy radziła mi... o, o tym nawet już nie myślałam. To nadzwyczajna sprawa.

— Co?

— Ona cię znała.

— Mnie? — zapytał Sternau zdziwiony.

— Tak, właśnie ciebie.

— To doprawdy niespotykane! Co mówiła?

— Kiedy ojciec kazał wezwać do siebie tych, znanych ci trzech lekarz, ona była w zamku. Gdy spojrzała na mą dłoń powiedziała, że ojcu memu pomoc może tylko jeden lekarz, który żyje w Paryżu. Wtedy pomyślałam o tobie i wymieniłam twoje nazwisko. Przytaknęła i kazała cię sprowadzić, rzekła także, że pracujesz u profesora Letourbier.

— Dziwna sprawa!

— Matka Zarba wie o wszystkim i ona na wszystkim się zna — rzekł dumnie Tombi. — Jest królową plemienia Brinijarów i Lambadarów. Jest bardzo potężna, jej moc jest większa niż niejednej panującej głowy.

— I ty mimo to żyjesz tutaj?

— Zarba mnie przywoła, gdy będę potrzebny.

— Życzę jej wszystkiego dobrego, zawdzięczam przecież jej synowi życie, gdyż jeśli by was tutaj z Robertem nie było, już byłoby po nas. Będę wdzięczny i nie zapomnę o tym.

Podał ramię hrabiance i powrócił z nią do zamku. Po drodze Róża rzekła:

— Jacy z was dziwni ludzie! Ten mały chłopiec to prawdziwy bohater.

Na podwórzu spotkali Kurta.

— Kurt, — rzekł Sternau — zaprzęgnij. Tam na leśnej drodze leży dzik.

— Żywy?

— Nie.

— Nie? A kto go zastrzelił?

— Robert.

— Do diabła! Kiedy?

— Przed chwilą. Rozjuszony zwierz wypadł na nas z lasu i gdyby nie Robert, byłoby z nami źle. Byłem bez broni.

— A więc uratował wam życie! Tęgi chłopiec, prawda, panie doktorze?

— O tak! Nigdy mu tego nie zapomnę.

— Ja go wychowałem — zauważył Kurt dumnie. — Zresztą, pytano o pana, jakiś pan przyjechał.

— Kto taki?

— Zdaje się, że to... prokurator.

— Dziękuję.

Udali się z Różą do jej pokoju, a Kurt spoglądał za nimi błyszczącymi oczami, mrużąc:

— Co za para! Drugiej takiej nigdy nie spotkałem. On jak dąb, silny i dumny, a ona jak lipa, taka miła i piękna. O, gdyby który z naszych dostał taką żonę! Ale tak ten świat jest urządzony, że człowiekowi, żadna hrabianka na plecy nie wskoczy.

Sternau przekazał opiekę nad Różą Elwirze, a sam udał się do pokoju kapitana, gdzie zastał prokuratora. Nadleśniczy spytał swym dobrodusznym głosem:

— Gdzie ty tak rano biegasz, kuzynie? I jeszcze do tego chorą wyciągasz ze sobą. Jeżeli jej naprawdę nic już nie zagraża to muszę przyznać, że dokonałeś arcytrudnego dzieła.

— Hrabianka jest już zupełnie zdrowa — odpowiedział Sternau.

— Zupełnie? — spytał niedowierzając kapitan.

— Tak, gdybym w to wątpił, to teraz wyzbyłbym się tego. Wytrzymała duże napięcie bez żadnych ubocznych skutków. Inna panna na jej miejscu umarłaby ze strachu.

— Czyżby groziło jej jakieś niebezpieczeństwo, chyba żaden z moich chłopców nie uczynił jakiegoś głupstwa!

— Nie, chciał nas tylko zaatakować dzik.

— A do czorta! — zawołała nadleśniczy. — Nie miałeś pan broni?

— Nie miałem ze sobą nawet kijka.

— A jednak nic ci się nie stało, nic z tego nie rozumiem!

— To bardzo łatwe do wyjaśnienia. Dzik został zastrzelony w tej samej chwili, gdy chciał się na nas rzucić.

— Kto go zastrzelił?

— Robert.

Nadleśniczy stanął z otwartymi ustami i po chwili rzekł:

— Ten chłopak? Ten pięcioletni, szalony dzieciak strzela do dzika!

— Ocalił nam życie.

— Czy to ten chłopiec, który mnie chciał zastrzelić? — zapytał prokurator.

— Tan sam.

— To prawie niemożliwe! Kto by tego nie widział, musiałby wątpić.

— O tak, — zauważył nadleśniczy. — Ten chłopiec to wcielony diabeł. Jest nadzwyczaj utalentowanym smarkaczem. Do tego matka bardzo nad nim pracuje, a i Tombi niemało przyczynia się do jego rozwoju. Chłopaczysko jeździ na koniu, strzela, czyta i pisze. Zna francuski i angielski, a Tombi nauczył go jeszcze jakiejś gwary i jak obaj rozmawiają, to nikt ich nie rozumie.

— Byli właśnie razem — zauważył Sternau.

— Spodziewam się. Całymi rankami chodzą razem po lesie, paplają i strzelają. No, muszę mu przygotować jakąś niespodziankę. A hrabiance nic nie grozi?

— Nie.

— To znaczy, że rzeczywiście jest już zdrowa, czy można ją zobaczyć?

— Tak, przedstawię panów hrabiance, tylko najpierw chciałem z panami porozmawiać. Chcę u pana prokuratora zasięgnąć informacji, co do pewnych spraw, o których poinformował mnie wczoraj sternik Helmer.

— Bardzo jestem ciekaw! Proszę opowiadać — rzekł urzędnik.

Gdy Sternau umilkł prokurator powiedział:

— To bardzo dziwny przypadek. Czy zechce pan powierzyć mi tę sprawę, panie doktorze?

— Chętnie, jeżeli nie leży to tylko poza obrębem pańskiej działalności. Jako laik nie pojmuję tych niuansów.

— Proszę się nie martwić. Jesteś pan obywatelem niemieckim i przeciw panu spiskowano. Rozporządzam takimi środkami, których pan nie mógłby użyć. Rychło poczynię odpowiednie kroki, by dowiedzieć się czegoś bliższego o „Pendoli”. Co do innych spraw dowiedziałem się już trochę.

— Czy wolno mi zapytać...?

— Proszę bardzo. Hrabianka pozostaje w swoich prawach. Dostaniemy świadectwo zgonu jej ojca i zwrócimy się do hiszpańskiego ambasadora. Nie straci ze swego majątku ani grosza. Myślałem również nad...

— O czym, panie prokuratorze?

— Mam na myśli związek małżeński pana z hrabianką Różą do Rodriganda.

Sternau zarumienił się trochę i rzekł:

— Nie mówiłem jeszcze o Róży, ale jestem pewien, że nie będzie mi przeciwna.

— Ja też tak myślę — rzekł prokurator.

— Do stu kartaczy, mociumpanie! — zawołał kapitan — Najpierw zaręczyny, a potem wesele! A jedno i drugie ma się odbyć tutaj w Kreuznach. Zrozumiano?

— Do tego czasu, upłynie jeszcze wiele wody — zauważył Sternau uśmiechając się uszczęśliwiony.

— O czym waśc gadasz! Co za głupstwa pleciesz! Wyrwałeś ją z rąk tych hiszpańskich drabów, ocaliłeś od śmierci i obłędu, to co ma się jeszcze takiego wydarzyć? Ona należy do ciebie i chciałbym widzieć tego, który się temu przeciwstawi.

— Władze będą musiały wyrzec w tej sprawie słówko, kochany panie kapitanie.

Prokurator zaś dodał:

— Władze już mnie pozostaw, panie doktorze. Tę rzecz będziemy omawiać później. Teraz jednak, czy moglibyśmy iść do hrabianki. Widziałem ją nieprzytomną i bardzo chciałbym zobaczyć zdrową. Chciałbym nawet sporządzić dalszą część protokołu.

— Zaraz ją przyprowadzę — wstał i wyszedł.

Po chwili powrócił prowadząc ze sobą Różę, na widok urody której obaj mężczyźni aż oniemieli. A kapitan krzyknął w podnieceniu:

— A do stu piorunów, bomb, kartaczy! Sternau, doktorze, kuzynie, jeśli w przeciągu dwóch najbliższych tygodni nie sprawisz zaręczyn, to sprzątnę ci ją sprzed nosa i sam się z nią ożenię, jakem Rodenstein. Możesz mi wierzyć, dotrzymam słowa!

CYGANKA

Było to więcej jak dwadzieścia lat przed wypadkami, które dotąd opowiedziano. W Saragossie rozpoczynał się karnawał. W tym czasie każdy Hiszpan zwyczajnie poważny i sztywny, staje się całkiem innym człowiekiem. Rzuca się z dziką ochotą w wir uciech i rozrywek.

Jeden z najwspanialszych pałaców miasta, zbudowany prawie całkiem z kararyjskiego marmuru i z dawna sławny ze swej wewnętrznej okazałości, był własnością księcia Olsunny. Ten możny pan, człowiek najwyższej klasy i jeden z najbogatszych właścicieli ziemskich w kraju, miał dopiero dwadzieścia cztery lata i był już wdowcem oraz ojcem małej, trzyletniej, czarującej dziewczynki. Ze względów rodzinnych ożenił się bez miłości z córką jednego z najznakomitszych domów. Nie smucił się więc zbyt, kiedy żona, rodząc córeczkę, zmarła.

Uchodził za surowego katolika, gorliwego patriotę i dumnego, posepnego arystokratę. Wielu jednak podejrzewało, że w skrytości oddaje się rozmaitym rozrywkom i rozkoszom. Przyjaciele jego garnęli się doń dla jego stanowiska i wpływu. Nieprzyjaciele nienawidzili go, a otoczenie jego — cała służba obawiała się go i drżała przed nim.

Jeden tylko urzędnik jego domu był osobą, która się go nie obawiała. Był to Gasparino Kortejo, prawie równolatek księcia. Każdy musi mieć człowieka, któremu można się czasem zwierzyć, tak więc i książę zmiarkował, że jego ochmistrz jest człowiekiem milczącym, godnym zaufania.

W obecności innych obchodził się z nim stosownie do jego stanowiska. W cztery oczy jednak zapominali o wszelkich względach i przestawali tak ze sobą, jak zwykł przestawać młody rozpustnik ze swym mistrzem i z towarzyszem.

Dziś książę w pokoju wytwornie urządzonej, palił drogocenne cygaro i oczekiwał Korteja, po którego posłał już służącego.

Wtem wszedł młody człowiek ubrany starannie, według kanonów najnowszej mody, sprawiający całkiem korzystne wrażenie.

Pozdrowił księcia głębokim ukłonem, uśmiechnął się jednak zarazem, tak, że pod maską udanej pokory poznać było można, że dosyć ukrytą poufałość. Książę odpowiedział na ten ukłon łaskawym skinieniem głowy i zapytał:

— Cóż tam słyhać z naszymi ubiorami maskowymi?

— Leżą już w pogotowiu, don Euzebio.

— Można się w nich pokazać ludziom?

— Jeszcze jak! — temu wykrzyknikowi towarzyszyło znaczące klaśnięcie palcami.

— Tak? Jaki ubiór wybrałeś dla mnie?

— Ubiór perskiego księcia.

— Wspaniale. Nadaje on piękną postawę i można w nim wystąpić z błyszczącą bronią i przyozdobić się drogimi klejnotami. A ty?

— Ja wybrałem sobie strój meksykański.

— Do wszystkich diabłów, właśnie wybrałeś dla siebie to, co najlepsze. Lecz mniejsza o to. Czy będziesz gotów za godzinę?

— Z pewnością.

— Więc przyślij mi pokojowca. Oczywiście, idziemy razem. Gdzie się spotkamy?

— Hm! Chciałbym przebrać się gdzieś poza domem.

— Bardzo słusznie. W ten sposób ludzie nie będą wiedzieli, że ty też się przebrałeś. Lecz gdzie?

— O — zaśmiał się Kortejo cynicznie. — Mam ja tu małą, prześliczną przyjaciółkę... kuzyneczkę.

— Do diabła! Słodziutką i śliczną, zapewne! O stopień pokrewieństwa nie wolno oczywiście się dopytywać?

— To by niczego nie dało, wasza wielmożność.

— Czy kuzynka ta bardzo jest już sędziwa?

— Ma dwadzieścia lat.

— Mała?

— Wysoka.

— Blondynka może?

— Brunetka.

— Szczupła?

— Korpulentna, lecz w miarę.

— Łotrze! Chcesz zaostrzyć mój apetyt. Gdzie ona mieszka.

— Przy ulicy Strada el Amenio.

— Wysoko?

— Na pierwszym piętrze.

— Czym się zajmuje?

— Najchętniej szyje ubrania, w których i ona i inne, nader zalotnie wyglądają...

— A jak się nazywa?

— Klarysa Maryony.

— To francuskie nazwisko i ty twierdzisz, że jesteś z nią spokrewniony, kłamco?

— Święta Biblia poucza nas przecież, że wszyscy ludzie są braćmi. Nie posuwam się jednak tak daleko, nazywam ją po prostu kuzynką.

— Dobrze! Teraz się wynoś! Za godzinę zjawię się na ulicy Strada el Amenio. Który numer?

— Piętnasty. Ale ekscelencjo, kobieta ta do mnie należy, proszę to łaskawie uwzględnić.

— Łotrze, zdaje się, że jesteś o nią zazdrosny — zaśmiał się książę. — Nie mogę ci jednak przyrzec nic pewnego pod tym względem. Muszę ją dopiero zobaczyć, a wtedy będę wiedział, co mam uczynić. Zresztą, dziś jest dzień wolnego wyboru; ma się wolny wstęp do wszystkich domów i pokoi i spodziewam się, że nie zabraknie nam przyjemnej a zarazem rozkosznej zabawy. Może przeżyjemy coś, co jeszcze później trwać będzie. Teraz się wynoś.

Kortejo wysłuchał tego niezbyt grzecznego rozkazu i wnet zjawił się pokojowy, trzymając strój maskowy pod pachą, by pomagać panu przy toalecie.

Książę był wysoki i nadzwyczaj silnie zbudowany, wskutek tego wyglądał w swym bogatym, diamentami obsadzonym ubiorze wspaniale i musiał sprawić wrażenie na tłumie, lubiącym się w błyskotkach i świecidełkach.

Tymczasem Kortejo wziął swój ubiór i opuścił pałac. W drodze spotkał młodego człowieka ubranego na francuską modę. Ulica była tam wąska, a ponieważ właśnie nadszedł *arriero*, czyli poganiacz mułów, ze swą czworonożną zgrają, nie było więc gdzie się usunąć.

— Złaż na bok! — rozkazał Kortejo do obcego.

Ten na to nic nie odpowiedział, tylko stanął by przepuścić obok siebie stado mułów.

— Czy słyszałeś, że masz ustąpić?

To mówiąc Kortejo pchnął obcego w bok, a nieznajomy odpowiedział ciosem w żołądek, że ten upadł na ziemię. Podniósł się jednak szybko ze swej nie bardzo zaszczytnej pozycji.

— Psie! — wrzasnął. — Zapłacisz mi za to!

Chciał pochwycić przeciwnika, lecz nie miał na to czasu. Ubrany według francuskich kanonów młodzian, nie był wprawdzie wysoki, ani silnie zbudowany, lecz posiadał wyjątkową siłę, gdyż Kortejo znowu leżał na bruku wąskiej uliczki i tym razem, nie mógł tak łatwo powstać, jak za pierwszym razem. Gdy wreszcie stanął, stado mułów już było daleko, a przez zakratowane okna pobliskich domów patrzyły na niego szydercze oczy świadków jego upadku.

Zwycięzca zaś poszedł przez wspaniały most, na drugi brzeg rzeki Ebro i wszedł do jednego z okazalszych domów, którymi Saragossa może się poszczycić.

Dom ten był własnością bankiera Salmonna, milionera pyszniącego się swym ogromnym majątkiem. Pochodził on z żydowskiej rodziny nazwiskiem Salomon, zmienił je jednak na Salmonno, by brzmiało bardziej po hiszpańsku. Skąpstwo jego, powszechnie znane było równie dumnie, którą okazywał przy każdej sposobności.

Gdy młody człowiek wchodził portier na niego skinął:

— Senior Sternau — rzekł. — Dobrze, że pan nadchodzi.

— Dlaczego?

— Don Salmonno pytał już dwa razy o pana.

— Czego chce ode mnie?

— Nie wiem, lecz gniewał się, że pana nie było.

Młodzieniec skinął głową obojętnie i otworzył ciężkie drzwi żelazne, prowadzące do długiego, niskiego pomieszczenia, gdzie przy biurkach pracowało wielu pisarzy.

— Spiesz się, panie Sternau! — szepnął siedzący na przedzie. — Don jest dzisiaj w bardzo złym humorze.

— Dlaczego?

— Nie wiem.

— Wielka rzecz! Przecież pan także czasem jesteś w złym humorze.

— Hm! Nam tego nie wolno okazywać.

— Żal mi pana, że z początkiem karnawału musisz ślęczeć przy biurku. Coś podobnego może dziać się tylko w tym domu. No, zobaczę, czy zły humor don Salmonna i dla mnie będzie miał zgubne skutki.

Poszedł przez wąską salę i zapukał do żelaznych drzwi. Nie otrzymawszy odpowiedzi, zapukał po raz drugi, potem trzeci. Odpowiedziano mu dopiero, gdy z podwójną siłą zapukał po raz czwarty.

— Wejść! — krzyknął gniewny głos.

Wszedł do małego pokoiku, gdzie wzdłuż ścian stały wielkie, żelazne kasy. Don Salmonno nie miał bowiem kasjera, nie wierzył nikomu oprócz siebie. Podniósł się teraz ze swego starego, spróchniałego krzesła, przechylił się nad blatem biurka i zapytał z gniewem:

— Cóż to za powód do takiego łomotania?

— Chciałem wejść.

— Lecz po cóż aż tyle razy?

— Bo nikt nie odpowiadał.

— A tak głośno?

— Bo nikt nie słyszał.

— Czego pan chcesz?

— Posyłał pan po mnie.

— Tak, chciałem z nim mówić, lecz zawsze, gdy chcę mówić z nauczycielem mego syna, to jego nie ma w domu. Czy wszyscy pańscy rodacy są tak opieszali?

— Nie bardziej niż Hiszpanie, senior...

— Do mnie mówi się don, nie senior! — przerwał mu bankier. Sternau uśmiechnął się tylko i spokojnie rzekł:

— Słowo *don* odnosi się tylko do wysoko urodzonych, lecz gdy sprawia ono przyjemność... usłyszysz je ode mnie bardzo często, don Salmonno. Chciałem jednak dodać, iż dotąd zawsze byłem na miejscu, gdy mnie wołano, muszę więc zauważyć, że fałszem i nieprawdą jest co rzekłeś przed chwilą. Doskonale pan wie, że wypełniam swoje obowiązki sumiennie i w zamian żądam, aby obchodzono się ze mną grzecznie i z należytytym szacunkiem.

— Nie zapominaj pan, że jesteś mym podwładnym, a ja pańskim chlebodawcą! — zawołał bankier.

— Nauczyciel nigdy nie jest podwładnym rodziców, lecz ich przyjacielem i doradcą, pracuje bowiem nad tym samym zadaniem, które i im przypadło w udziale. Takie jest moje głębokie przekonanie, don Salmonno.

Nauczyciel stał bez trwogi przed swych przełożonym, tak że ten ostatni rzeczywiście mógł się czuć upokorzonym. Nie odpowiedział wcale i powtórzył tylko:

— Gdzie pan byłeś?

— Właściwie to nie jestem zobowiązany do zdawania przed panem sprawozdania z mych prywatnych czynności, lecz grzeczność nakazuje mi powiedzieć, że byłem u księgarza.

— Co pan tam robiłeś?

— Kazałem mu dostarczyć kilka książek.

— Dla kogo?

— Dla pańskiego syna.

Tu bankier zmarszczył czoło i zawołał:

— Znowu książki? Czy wy, Niemcy nie umiecie uczyć bez książek? Wydałem na nie w poprzednim miesiącu cały tysiąc duros. Tego już za wiele!

— Jeśli pan potrafi jeść obiad bez potraw i napojów, to ja też postaram się uczyć bez książek. Teraz zaś proszę mi powiedzieć, w jakim celu prosiłeś mnie do siebie?

Bankier wysłuchał małej nauczki z gorzką miną i rzekł wreszcie:

— Wie pan, że moja córeczka zmarła przed tygodniem?

— Naturalnie.

— I że ją potem pogrzebano?

— Nie sądzę, żeby zwłoki jeszcze leżały w mieszkaniu — rzekł Sternau z niezachwianą ironią.

— Wie pan także, że ta mała seniora Walser, była boną dziewczynki?

— Nie była boną lecz guwernantką. Jest to pewna różnica, don Salmonno.

— Wszystko mi jedno! Pojmujesz chyba, że jednak obecnie, gdy dziecko nie żyje, nie jest mi już potrzebna.

— Pojmuję.

— I że ma opuścić mój dom.

— Opuści go.

— Dobrze, powiedz jej pań to, panie Sternau. Życzę sobie, by poszła dziś lub najpóźniej, jutro.

— Tego jej nie powiem i tego ona sama też nie uczyni.

— A to dlaczego? — zapytał bogacz z dobrze udanym zdumieniem.

— To bardzo jasne. Ja jej tego nie powiem, bo to należy do pana, a ona nie uczyni tego, bo jeszcze nie wymówiono jej posady.

— Nie spełnisz więc mojego polecenia? Pytam?

— Nie.

— Więc możesz pan sobie iść, dziś albo jutro! — rzekł gniewnym głosem.

— O tego też nie zrobię. Nie zapominaj don Salmonno, że my nie tylko mamy wypełniać swe obowiązki, lecz mamy przy tym pewne prawa. Jestem nauczycielem pańskiego syna, a nie służącym, którego posyłać możesz z rozkazami do guwernantki.

Trudno było nie przyznać mu racji, więc bankier po chwili odezwał się:

— Wiem o tym senior, lecz sądziłem, że ona chętniej spełni me polecenie, gdy pan jej to przekażesz.

— Domyślałem się tego, lecz mimo to, wcale nie myślę być przekaźnikiem pańskiej woli. Seniora Walser przyjęta jest na podstawie kontraktu, który trzeba wypowiedzieć przed upływem kwartału.

— Panie, czy myślisz, że zobowiązany jestem do wypłacenia jej pensji jeszcze przez dwadzieścia jeden tygodni? — zapytał przestraszony bankier.

— Oczywiście.

— Czy pan oszalał?

— Hm, don Salmonno, czybyś był rzeczywiście tak nierozumnym, że powierzasz wychowanie swego syna szalonemu?

Salmonno nie odpowiedział na tę ironię i kontynuował:

— Śmierć unieważnia ten kontrakt, nie zapłacę nic!

— Mnie to nic ni obchodzi, to sprawa senior Walser. Sądzę jednak, że będzie dochodzić swych praw, nawet na drodze sądowej.

Tu bankier zląkł się nie na żarty, niczego tak się nie bał jak sądów, rzekł zatem łagodniejszym tonem:

— Dobrze, muszę się jeszcze zastanowić nad tą sprawą. To wszystko, senior.

Skinął głową na znak pożegnania, nauczyciel stał jednak nadal, aż w końcu powiedział:

— Miałem pewne wydatki, don Salmonno. Czy mogę prosić o moją kwartalną pensję?

Bogacz spojrzał na młodego człowieka z takim przerażeniem, jakby przed sobą zobaczył trupa.

— Co też pan sobie wyobraża! — zawołał oburzony. — Całą kwartalną pensję? To niemożliwe!

— Dlaczego niemożliwe? Czy nie ma pan może pieniędzy?

— Pieniądzy! O, dzięki Bogu, tych mam dosyć!

— Dlaczego więc nie chcesz mi pan ich wypłacić?

— Bo to za dużo na raz.

Teraz Sternau uśmiechnął się z politowaniem.

— Don Salmonno, — rzekł — weź łaskawie pod uwagę, że już od trzech kwartałów, ma pensja pozostawała w twej kasie, a ja nie zwykłem prosić, czy nawet żebrać o swoją własność.

— Dam panu pensję za jeden miesiąc.

Teraz twarz młodego człowieka przybrała pogardliwy wyraz.

— Powtarzam panu, że nie proszę lecz żądam — rzekł. — Widzę, że grozi mi wypłata jednomiesięcznej pensji, zamiast tej zaległej za trzy kwartały. Będziesz pan tak miły i wypłacisz mi całość, z tymi pozostałymi za dziesięć miesięcy.

Milioner aż podskoczył z przerażenia.

— Nawet o tym nie myślę! — zawołał ze źle ukrytą trwogą.

— Nie myślisz pan?

— Nie.

— Dobrze, więc rezygnuję z pracy.

— Jak się panu podoba.

— I zaraz idę do sądu, aby pana zaskarżyć.

Bankier aż pobił na skutek przerażenia.

— Nie uczynisz pan tego! — krzyknął.

— A właśnie że tak. Miej się pan na baczności. Do zobaczenia. Odwrócił się w stronę drzwi, lecz milioner złapał go za ramię.

— Zostań pan! — poprosił — Wypłacę panu zaległe pieniądze, za kwartał.

— Za późno! Zapłać za trzy kwartały, albo idę do sądu.

— Za jeden!

— Trzy!

— Dobrze, ponieważ jestem z pana zadowolony, zapłacę panu za pół roku, jeśli przyjmiesz tę sumę w wekslach.

— O tym nie ma mowy — zaśmiał się Sternau. — Żądam pensji za trzy kwartały i to gotówką.

— No to skarż mnie! — krzyknął Salmonno rozgniewany w najwyższym stopniu.

— Wedle życzenia, don Salmonno!

Wyszedł, lecz nie zdążył zamknąć za sobą drzwi, gdy usłyszał dochodzący z pokoju głos:
— Stój, senior! Wejdz pan! Dostaniesz pan tę sumę, nie gotówką lecz w banknotach.
— Nie, tylko w srebrze i złocie! — odpowiedział Sternau nielitościwie, trzymając w ręce klamkę.

Bankier westchnął głęboko i rzekł płaczliwie:

— O mój Boże, muszę ustąpić! Cóż to za straszny naród, ci Niemcy!

Otworzył jedną z kas i odliczył nauczycielowi odnośną kwotę, starając się jednak wyszukać jak najgorsze i o ile możności uszkodzone monety. Sternau nie miał nic przeciwko temu i bardzo grzecznie, gdy miał już całą sumę w kieszeni, pożegnał się.

— Wynoś się pan! Wynoś! — zawołał bankier — I nigdy więcej mi się nie pokazuj.

Nauczyciel uśmiechając się poszedł do swego pokoju, by tam schować z takim trudem zdobyty skarb, a potem udał się do przeciwległej części domu, gdzie mieszkała guwernantka.

— Proszę wejść! — zabrzmiał czysty i miły głos, gdy zapukał do drzwi.

Wszedł do skromnie urządzonego pokoju, na jego widok młoda kobieta podniosła się z sofy.

— Pan Sternau? — zapytała przyjaźnie, lecz z głosu jej można było poznać, że gość nie cieszy się jej sympatią.

— Dziwisz się pewnie pani, że przychodzę do niej, do pokoju?

— Nie, dlaczego — z trudem udało się jej przezwyciężyć chwilowe zakłopotanie i wskazała mu krzesło, stojące w kącie pokoju. — Proszę usiąść i powiedzieć, co pana do mnie sprowadza.

Przez minutę prawie patrzył w jej oczy; potem usiadł.

— Czemu pani się mnie boi? — zapytał smutnym głosem.

Ona zarumieniła się nieznacznie i odpowiedziała:

— Czemu pan tak sądzi?

— Bo wskazałaś mi na najodleglejszy fotel w pokoju, a to boli.

Ton jakim wypowiedział te słowa i spojrzenie jego oczu, wzruszyło jej serce. Wyciągnęła więc do niego rękę, jakby prosząc o przebaczenie i rzekła:

— Wybacz mi pan i usiądź nieco bliżej. Nie miałem wcale złego zamiaru.

Wstrząsnął nieznacznie głową i odpowiedział ze smutnym uśmiechem:

— Dziękuję pani, nie chcę prosić o jałmużnę. Nigdy pani nie obraziłem, ani też nie skrzywdziłem, a mimo to unikasz mnie. Mogę tylko przypuścić, że czujesz do mnie jakąś odrazę. Nic przeciw temu nie mogę poradzić, lecz uważam za swój obowiązek, powiedzieć pani kilka szczerych słów, który powinny panią uspokoić.

— Mów pan — rzekła stłumionym głosem.

Przez chwilę milczał zwróciwszy oczy w stronę balkonu, jakby brakowało mu odwagi, aby na nią patrzeć. Nie była postacią wzbudzającą podziw, lecz miała bardzo delikatne rysy, budzące sympatię. W każdym jej ruchu przebijał uroczy, pełen kobiecości wdzięk, które trudno wyrazić słowami. Wreszcie nauczyciel przerwał milczenie.

— Jestem synem biednych ludzi, stanowisko, które obecnie zajmuję też nie jest czymś nadzwyczajnym. Do wszystkiego doszedłem własną pracą i chyba jeszcze nigdy nie zaświeciło dla mnie słońce. Jednak miałem nadzieję, że znajdę kiedyś jego promienie i... znalazłem, właśnie w tym domu. Widzę go cały czas, choć on mnie omija, ty nim jesteś pani. Tak, kocham panią, kocham od chwili, gdy zobaczyłem japo raz pierwszy, lecz miłość ta dawno już straciła wszelką nadzieję spełnienia swych marzeń. Będę szedł przez życie sam, tak jak dotąd szedłem. Myślę o pani jak o gwiazdzie, którą się widzi, a której jednak nie można osiągnąć. Bardzo bym chciał, aby ma gwiazda jaśniała zawsze czystym i niezmaconym blaskiem. Chciałbym, aby żadna chmurka się do niej nie zbliżyła i to jest moje jedyne życzenie. Dlatego proszę, myśleć o mnie jak o przyjacielu, który niczego nie żąda, ani słowa, ani spojrzenia, nic oprócz tego, byś myślała o nim pani, gdy kiedykolwiek będziesz potrzebowała pomocy przyjaciela.

Teraz dopiero spojrzał na nią i zapytał:

— Czy mogę mieć nadzieję?

Oczy jej zaszyły łzami, złożyła błagalnie ręce i odpowiedziała:

— Panie Sternau, nie gniewaj się na mnie. Wyznam otwarcie, że od pierwszej chwili rozumiałam, iż pan mnie kochasz, choć nigdy o tym głośno nie mówiłeś. Bardzo pana poważam i chciałam się przekonać, czy mogę pana pokochać. Bardzo chciałam, żeby to było możliwe, poznałam jednak, że nie wchodzi to w rachubę.

Pochylił ze smutkiem głowę.

— Tak przypuszczałem — rzekł. — Chwila tych wyznań musiała kiedyś nadejść. Zapomnijmy o wszystkim, pomówmy o czymś innym. Przychodzę właśnie od Salmonna, z którym się nieco pokłóciłem i to z pani powodu.

— Mniejsza o Salmonna.

— Znasz pani jego skąpstwo...

— Wszyscy je znają i sędzę, że z trudem zmuszę go do przyznania mi tego co mi się słusznie należy.

— Właśnie o tym z nim mówiłem. Miał śmiałość żądać ode mnie, bym pani powiedział, abyś dziś lub najpóźniej jutro opuściła jego dom.

— I co pan uczyniłeś?

— Polecenia oczywiście nie przyjąłem, lecz mimo to przychodzę, by panią przestrzec. W każdym razie będzie z panią mówił o tym i to w najbliższym czasie.

— Oczekiwałam tego.

— Nie zechce zapewne wypłacić pani pensji.

— To byłoby przykre. Opuściłam przecież dom rodzinny, bo obiecano mi tutaj wyższe zarobki i spodziewałam się, że będę mogła wspierać mych biednych rodziców, gdyż ja również nie należę do bogatych, panie Sternau.

— Dlatego nie może pani ustąpić ani na krok, a gdyby mimo to, senior Salmonno nie chciał wywiązać się ze swych zobowiązań, to proszę przyjść do mnie. Posiadam pewien wpływ na tego człowieka i z całą pewnością go wykorzystam, by pani pomóc. To wszystko, co chciałem pani powiedzieć, żegnam.

Wstał ukłonił się i poszedł w stronę drzwi, pospieszyła za nim wyciągając na pożegnanie rękę.

— Proszę chwilę poczekać, niech się pan na mnie nie gniewa — prosiła.

— Wcale się nie gniewam — rzekł cichym głosem i uścisnął jej rękę.

Przestraszyła się, jego ręce były zimne jak lód. Widać było, że kurczowo walczy ze swą boleścią, nie mogła patrzeć na to spokojnie. Objęła go za szyję i wpatrzona w jego wilgotne oczy rzekła:

— Proszę, nie płacz! Należy mieć nadzieję! Może przyjdzie czas, gdy pańskie życzenie się spełni.

Potrząsnął przecząco głową.

— Nigdy! — rzekł. — Do miłości nikogo nie można zmusić, ona nie jest jałmużną, gdy przychodzi nic i nikt nie może jej zatrzymać. Do widzenia pani.

Poszedł. Została sam ze swymi myślami.

— Dlaczego nie mogę go pokochać? — spytała sama siebie — Przecież to idealny mężczyzna.

Nagle usłyszała wesoły śmiech i liczne krzyki, dochodzące z ulicy. Wyszła na balkon i zobaczyła, że rozpoczęła się karnawałowa zabawa. Ulica zarojła się od masek, a okna i balkony przez damy, które z ciekawością przyglądały się tym igraszkom. Guwernantka również dołączyła do zabawy.

Tymczasem Gasparino Kortejo dotarł do swej, tak zwanej kuzynki, Klarysy Maryony. Miała małe, lecz nader przyjemne mieszkanie, w domu jednego z przemysłowców. Czekwała na jego przybycie i z radością wybiegła naprzeciw obejmując go ramionami. Była w nader skąpym

stroju i każdy mógł zauważyć jej zgrabne i ponętne kształty, czego nie można było powiedzieć ojej surowej twarzy.

— Nareszcie, nareszcie przyszedłeś, mój kochany Gasparino! — rzekła, gdy stanął w pokoju. — Długo kazałeś na siebie czekać!

— Nie mogłem przyjść wcześniej. Mam przecież swoje obowiązki.

— Obowiązki? — zapytała przyciskając go do siebie — Pierwszym i najważniejszym twoim obowiązkiem jest czuwanie nad moim szczęściem.

— Przecież jesteś szczęśliwa, a może nie?

— Tylko wtedy, gdy ty jesteś przy mnie. Przytul się do mnie, mój najdroższy.

Chciała go znowu objąć, lecz uchylił się i rzekł:

— Zostaw mnie teraz, mam dużo pracy.

— Cóż takiego? A coż to ja widzę, strój maskaradowy? — otworzyła pakunek i zbadała jego zawartość. — A to wspaniałe! Meksykański strój! Och, dziękuję ci za tę niespodziankę, wspaniała!

Znowu zarzuciła mu ręce na szyję, lecz on odsunął ją zdecydowanie.

— Daj mi spokój, nie mam teraz czasu na pieszczoty.

— Nie masz czasu? Tak, tak ma słusność ja też muszę się spieszyć, by na czas być przygotowaną.

— Ty? — zapytał — Z czym masz być przygotowana?

— Z mym strojem.

— Z tym... — zapytał zdziwiony — To znaczy, że ty też przygotowałaś sobie strój?

— Tak — zawołała radośnie. — Przeczuwałam, że przyjdiesz do swej Klarysy, by zabrać ją na zabawę, więc postarałam się o strój Greczynki.

— Do wszystkich diabłów, wy kobiety jesteście niezwykle mądre. Przeczuwałaś, że przyjdę, no to spełniło się twoje przeczuje, ale dalej już cię zawiodło — odpowiedział po chwili zastanowienia.

— Dlaczego miałby mnie zawieść?

— Bo nie mogę ci dziś towarzyszyć.

— Dlaczego? — spytała z rozczarowaniem.

— Bo zmuszony jestem towarzyszyć księciu.

— Nie kłam, Gasparino! Księżę z pewnością nie pójdzie z tobą na maskaradę.

— Będziesz mi jednak musiała kochanie uwierzyć, gdyż wkrótce on sam tu przyjdzie.

— Tu, do mnie? — spytała przerażona.

— Tak.

— Kiedy?

— Za trzy kwadranse.

— Chyba żartujesz? Powiedz, chcesz mnie wprowadzić w zakłopotanie?

— Zapewniam cię, że przyjdzie i to już przebrany — rzekł poważnym tonem.

— Księżę? Do mnie? O święta madonno! A ja stoję tu, w dość skąpym stroju — prędko pobiegła do drugiego pokoju i po chwili wróciła ubrana.

W tam samym czasie Kortejo przebrał się w swój strój i zapytał wchodzącą:

— Jak ci się podobam?

— Wspaniale, a ja tobie?

— Jak zawsze.

— Nie mogę powiedzieć, że bym była zachwycona tym, że mnie zostawiasz — przybrała nadąsaną minę.

Przycisnął ją do siebie i rzekł pieszczotliwym głosem:

— Nie gniewaj się na mnie, kochanie! Wiesz przecież, że cię kocham, lecz wiesz także, że oboje nic nie posiadamy, a mimo tego chcemy do czegoś dojść. Powiedziałem księciu, że jesteś moją krewną i nazywasz się Maryony. Nie potrzebuje znać prawdy o twoim pochodzeniu i

koligacjach z rodziną Rodriganda. Powitaj go mile, ale nie dopuszczaj do siebie zbyt blisko. Wiesz, że jestem zazdrosny.

— O to się nie martw, ja kocham tylko ciebie.

— Spodziewam się tego. Książę obdarza mnie zaufaniem, a to może być dla mnie szczyblem w karierze. Widzisz więc, że muszę spełniać jego życzenia i że towarzyszyć mu, chociaż z tobą byłbym o wiele bardziej szczęśliwy.

— Tak, widzę — rzekła. — Idź z nim, lecz nie wrócisz zbyt późno, prawda?

— Spróbuję, jeśli to tylko będzie możliwe, choć książę miał inne zamiary, więc jeżeli nie wrócę, to nie miej mi tego za złe.

Było to wierutne kłamstwo, lecz ona uwierzyła. Nie mieli więcej czasu na rozmowę, gdyż w drzwiach stanął okazały, perski książę. Twarz jego zakryta była aksamitną maską, obejrzał dokładnie dziewczynę i rzekł:

— Oho, widzę Gasparino, że masz niezły gust. Czy pozwolisz, że uścisknę rękę twej kuzynce?

Nie czekając na odpowiedź przystąpił do Klarysy i objął ją. Chciała oprzeć się tej pieśszczocie, lecz uścisk jego był tak silny, że opór był daremny. Namiętnie pocałował — jej szyję i rzekł:

— Do pioruna! Najlepiej będzie, gdy zostaniemy tu jeszcze przez godzinę.

— Wypraszam sobie! — rzekła Klarysa.

Zdołała wreszcie wyrwać się z jego objęć. Uciekła do drugiego pokoju i zamknęła za sobą drzwi.

— A to kokietka! Tak uciec! — zaśmiał się książę.

Spróbował otworzyć drzwi, a gdy mu się nie udało, rozkazał Kortejowi:

— Zawołaj ją!

— To nic nie pomoże, ona i tak zrobi swoje.

— Chociaż spróbuj!

— Nic z tego, kuzyneczka moja jest cnotliwa, potrafi się oprzeć wszelkim pokusom!

— Czy tobie także, Adonisie? — spytał książę śmiejąc się.

— Mnie również.

— No to zawołaj ją.

Kortejo wołał i pukał, ale daremnie, nie otrzymał żadnej odpowiedzi.

— Mówiłem, że to nic nie da — zauważył sucho.

— Ty szczywany lisie! — zawołał książę. — Powiedziałeś jej, jak ma postępować, no, ale nic nie szkodzi, nie jest przecież aż taką pięknoscią.

Te słowa wypowiedział głośno, by Klarysa je usłyszała, a cicho dodał:

— Chyba jej nie powiedziałeś kim jestem?

— Nie — skłamał Kortejo.

— Dobrze, jesteś gotowy?

— Tak, tylko włożę maskę.

— No to chodźmy.

Wyszli na ulicę i utonęli w wirze innych masek. Bogaty strój księcia budził powszechny zachwyt i nikt nawet nie pomyślał, że pod nim może się kryć tak wysoko urodzona osoba. Książę zachowywał się wyjątkowo swobodnie, opowiadał ordynarne dowcipy, wskakiwał do otwartych drzwi, wciskał się do mieszkań, które karnawałowym zwyczajem stały otworem dla każdego i wszędzie czynił wielkie zamieszanie. Nagle stanął i zadarłszy głowę w górę, począł obserwować jeden z balkonów:

— Do stu piorunów! — krzyknął do Korteja — Popatrz, tam w górę!

— Gdzie?

— Tam, gdzie ten mały balkon.

— Aha, widzę, ładna bestyjka.

— Co? Ładna? Toż to piękność, popatrz na te rysy tak łagodne, a zarazem tak poważne. Koniecznie muszę ją poznać, dużo bym dał żeby ją zdobyć.

— Hm! Myślę, że tego nie da się zrobić żartami.

— Należy spróbować innych sposobów. Popatrz, spojrzęła na nas — rzekł książę i przesłał jej pocałunek.

Guwernantka po jego bogatym stroju poznała natychmiast, że to jakiś niezwykły mężczyzna i serce zabiło jej mocniej. Mimo woli odpięła od sukni kokardę i rzuciła ją na dół. Książę pochwycił ją, pocałował i ukrył na piersi. Guwernantka zaczerwieniła się i ze wstydu cofnęła z balkonu.

— Do pioruna, ona musi być moja! — rzekł książę — Nie potrafię oderwać od niej oczu.

— Idzie pan na górę?

— Tak.

— Mam panu towarzyszyć?

— Nie. Ty niedźwiedziu popsułbyś mi wszystko. Taki kwiat musi być brany z wielką delikatnością. Pospaceruj tymczasem tutaj, bym cię potem znalazł.

Popatrzył jeszcze raz na balkon i okna, by zapamiętać ich położenie i później nie zabłądzić w środku domu, poczym wszedł do kamienicy i udał się na piętro i zapukał do drzwi, które jak mniemał, prowadziły do jej mieszkania. Dał się słyszeć cichy, prawie bojaźliwy głos.

— Proszę!

Otworzył drzwi prędko wszedł do środka. Gdy go ujrzała krzyknęła przestraszona i chciała się schronić do drugiego pokoju, lecz już stał przy niej i trzymał ją silnie za rękę.

— Stój, piękne dziewczę, nie uciekaj ode mnie! — prosił najbardziej uroczym głosem, na jaki się mógł tylko zdobyć.

— Mój Boże, proszę mnie puścić! — błagała przerażona. — Gdyby pana tu zobaczono?

— Nic by nie powiedziano, wszak dzisiaj karnawał i panuje pełna swoboda.

— Jednak nie dla mnie.

— Dla każdej damy.

— Ja jestem tutaj obca i zajmuję porządne stanowisko — rzekła w swojej obawie.

— To wszystko jedno, moja piękna królowo, czyja to kamienica?

— Bankiera Salmonno.

— Ha! Tego skapca, tego Cerbera? I u niego mieszkasz?

— Tak.

— A co robisz?

— Jestem guwernantką.

Ucieszył się niezmiernie tym wyznaniem, sądził bowiem, że dziewczyna, która zajmuje tak podrzędne stanowisko, jemu się nie oprze i nie będzie miał wiele trudności by doprowadzić, ją do upadku. Więc ten obrzydliwy rozpustnik objąwszy ją, przyciągnął do siebie i zaczął szeptać do ucha:

— O, ja cię kocham, bardzo kocham, dałbym majątek gdybyś była moja.

Lecz pomylił się, sądząc, że to łatwa sprawa.

— Proszę mnie natychmiast puścić! — zawołała.

Nie zważając na nic, trzymał ją mocno i całował. Łzy gniewu zaszklily się w jej oczach, całą siłą poczęła, się wrywać, wołając z oburzeniem:

— Co za gburowatość! Puść mnie pan natychmiast, bo inaczej zawołam o pomoc!

— O wołaj mój gołąbku! Dzisiaj wolno maskom wszystko czynić, wszystko im uchodzi. Czy nie wiesz o tym?

Znowu chciał ją pocałować, lecz całą siłą wykręciła głowę w tył i krzyknęła głośno, jak tylko mogła:

— Panie Sternau, na pomoc, na pomoc!

Książę nie zamknął za sobą drzwi, więc głos jej i wołanie o pomoc rozeszło się silnie po korytarzu. W sekundzie słychać było pospieszne kroki, lecz książę nie zważał na nie, przyciskając ciągle dziewczę silnymi rękami, starając się ją pocałować w usta. Daremnie starała się uwolnić z tych żelaznych ramion.

— Co tu się dzieje? — zabrzmiał jakiś głos za nim.

Książę odwrócił głowę i ujrzał Sternaua, który stał w drzwiach. Jego niska postać nie zaimponowała mu widocznie ani trochę, bo spokojnym głosem odrzekł:

— Co tu się dzieje? O, to zaraz zobaczysz!

Znowu zbliżył swe usta do twarzy guwernantki, chcąc ją pocałować, ale w tej samej chwili stanął przy nim Sternau, kładąc mu rękę na ramieniu:

— Żarty masek są wprawdzie dozwolone, ale takie grubiaństwa potrafię unieszkodliwić. Proszę puścić tę panią.

— Do wszystkich diabłów, malcze, co ci przychodzi do głowy — zaśmiał się książę. — Zabieraj się stąd precz, durniu!

Znowu pochylił głowę do twarzy guwernantki, Sternau jednak tak potężnie uderzył go pięścią pod brodę, że potoczył się w tył, puszczając kobietę, która natychmiast uciekła do bocznego pokoju, zamykając za sobą drzwi na klucz.

Uderzenie to działało tylko parę sekund, książę wyprostował się w całej swojej wspaniałej wysokości, zaryczał ze złością.

— Ty, robaku nędzny, ty się ośmielasz mnie uderzyć? Ja cię zmiażdżę!

Guwernantka słyszała przez drzwi tę groźbę, więc zląkła się naprawdę o Sternaua. Podśluchiwała pod drzwiami i do jej uszu dotarł tylko odgłos silnego uderzenia, potem drugi i coś ciężkiego padło na ziemię. Poczym dało się słyszeć, jakies ciągnięcie po podłodze i łoskot po schodach, który wkrótce ucichł, niedługo usłyszała lekki krok i pukanie do drzwi, przy których stała.

— Panno Walser, napastnik już usunięty, może pani bezpiecznie wyjść.

Był to głos Sternaua.

— Czy to możliwe? — pytała z niedowierzaniem.

Zdawało jej się wprost nieprawdopodobne, żeby ten olbrzym musiał ustąpić przed drobnym nauczycielem.

— Tak, jest pani zupełnie bezpieczna — odrzekł.

Otworzyła drzwi i wyszła zażenowana. Stał przed nią spokojny i uśmiechnięty, i nic nie można było poznać po nim, że właśnie stoczył walkę z Goliatem.

— Więc to możliwe, że pan jesteś przy mnie? — pytała ze zdziwieniem.

— Dlaczego by nie?

— Wszak ten olbrzym...

— Ha! Wysoka postawa mnie nie przeraża. Byłem parę lat nauczycielem szermierki, więc nauczyłem się również jak, ma sobie człowiek radzić a taką hołotą — z uśmiechem zadowolenia dodał: — Musi się znać wszelkie podstępny.

— Nie oddalił się on dobrowolnie?

— O nie, musiałem go rzucić na ziemię.

— Mój Boże!

— Następnie pociągnąłem go w stronę schodów i zrzuciłem na dół.

— Och, a jak powróci?

— Tego więcej nie zrobi.

— Widział pan może jego twarz?

— Nie. Nie zadałem sobie trudu, by mu ściągnąć maskę z twarzy. Oblicze takiego łajdaka jest mi najzupełniej obojętne.

— Czy tylko nie zechce się mścić? Zdawał się bowiem być zamożnym człowiekiem.

— Nie ulęknię się go z pewnością, tak jak i dzisiaj. Czy tylko pani wskutek tego zdarzenia nie ucierpiała?

— O nie, ale przyznam, że byłam w niemałym strachu. Ten człowiek był silny, jak Samson albo Goliat.

— Całkiem słusznie, więc grałem rolę małego Dawida — zaśmiał się Sternau serdecznie. — Myślę, że to niezbyt wielka zasługa z mojej strony, uwolnić panią od tego dryblasa, chętnie bym się czemuś lepszym zasłużył, gdybym był w stanie. Proszę na przyszłość, jeżeli pani nie zamierza drzwi zamykać, w razie znowu jakiegoś nieprzyjemnego zajścia zaraz mnie zawołać. A tu, proszę, pani kokarda.

Nie zauważyła przedtem, że trzymał jej kokardę w ręku. Podał ją spoglądając poważnie, prawie smutno na nią. Zarumieniła się jak wiśnia i jękając wyrzekła:

— Panie Sternau...! Więc pan widział?

— Tak. Stałem na drugim balkonie, jakkolwiek mnie pani nie zauważyła i gdy zobaczyłem, że człowiek ten wbiegł do naszego domu, byłem przygotowany na pomoc. Inaczej nie mógłbym słyszeć zaraz pani wołania. Bądź zdrowa, panno Walser!

Wyszedł. Nie odważyła się powiedzieć ani słowa. Ach! Cóż najlepszego uczyniła! Dla tego, który się nie zawahał ani chwili, życie swoje jej oddać w ofierze, nie miała nawet gorącego spojrzenia, podczas gdy pierwszemu lepszemu nieznanemu, z ulicy rzuciła kokardę z piersi. Łzy oburzenia i gniewu na samą siebie potoczyły się z jej oczu. Co musiał sobie on pomyśleć, widząc tę całą scenę! Jak dumnie i z jaką ufnością w swe siły wystąpił w jej obronie. Zdawało się jej, że tego mężczyzny nie pokocha nigdy, była zbyt dumną w stosunku do niego.

„Jeżeli pani nie zamierza drzwi zamknąć, powiedział”. Prawda, dobrze, że sobie przypomniała. Podeszła do drzwi i zamknęła je na klucz, zasuwając oprócz tego żelazną zasuwkę, po czym zamknęła również drzwi od balkonu, nawet story u okien spuściła. Chciała zostać całkowicie sama, nie chcąc nic więcej wiedzieć ani słyszeć o karnawale.

Gasparino Kortejo, przebrany za Meksykanina, spacerował dłuższy czas przed bramą, nie spuszczając bramy wyjściowej z oczu. W końcu ujrzał księcia wychodzącego z bramy, przy czym zauważył, że ten coś na sobie poprawiał, jakby prostował pomięte miejsca. Przez tłum masek przecisnął się do niego.

— Ach! Gasparino — zamruczał — dobrze, że przychodzisz, oglądnij no moje plecy.

— Dlaczego?

— No, czy nie jestem brudny.

— Nie. Mogę zapytać jak się udała przygoda?

— A nich to kaczka kopnie, ale musi być moją, niech kosztuje ile tylko chce! Znadto mi przypadła do smaku.

Kortejo zaśmiał się skrycie. Zrozumiał zaraz, że księżę odniósł porażkę, może go nawet zrzucili ze schodów, a najprawdopodobniej także obito, skoro tak dokładnie oglądał swój ubiór. Szli dalej przez ulicę nie mówiąc ani słowa, dopiero Kortejo przerwał milczenie, pytając:

— Czy to była właścicielka tego domu?

— Ależ skąd, guwernantka.

— To przykre.

— Ale diabełek prawdziwy. Broniła się jak kotka. Musisz się o bliższych szczegółach dowiedzieć jeszcze dzisiaj, chcę wiedzieć, czy można kupić tę kotkę, albo zręcznie złapać.

— W takim razie muszę prosić o urlop — rzekł, gdyż bardzo mu zależało, by jak najprędzej wyrwać się z towarzystwa swego pana. W ten sposób tylko mógł na swą rękę szukać zabawy i przyjemności.

— Dobrze, dostaniesz urlop — odpowiedział księżę.

— Kiedy?

— Zaraz, teraz i jak długo chcesz, żądam tylko byś mi dostarczył jakiś pewnych wiadomości.

Rozłączyli się i każdy poszedł swoją drogą.

Jak tylko Kortejo stracił z oczu księcia udał się w kierunku kościoła Nuestra Seniorsa del Pilar, który jest jednym z najpiękniejszych w Saragossie i w którym znajduje się posąg Matki Boskiej, słynący cudami i w szczególny sposób przez kościół katolicki czczony.

Tutaj przed kościołem falowały największe masy ludzi. Nie można się było precyzyjnie, szczególnie przez grupę Cyganów, którzy rozbili tutaj swój tabor, a teraz prezentowali publiczności różne akrobatyczne sztuczki. Przystąpił bliżej, chcąc się przekonać czy rzeczywiście Cyganie, czy może jakieś towarzystwo przebierańców. Udało mu się wreszcie przebić przez największy tłum.

— Ach! — wyrwało mu się mimo woli z ust okrzyk najwyższego zdziwienia. — Co za piękność!

— Prawda? — potwierdziła jakaś obok niego maska. — Takie pyszne dziecko nie łatwo spotkać senior, nie prawdaż?

— Zgadzam się całkowicie z panem — rzekł Kortejo, którego oczy pożerały prawie przedmiot zachwyty.

Była to dziewczyna cygańska o piękności jakiej jeszcze nie widział. Oprócz śnieżnobiałej koszuli, miała na sobie tylko krótki, czerwony, złotem wyszywany stanik i jeszcze krótszą spódniczkę sięgającą zaledwie kolan, podczas gdy zupełnie odsłonięte nogi, miały tak wspaniałe kształty, że artysta rzeźbiarz nie zdołałby piękniejszych wyrzeźbić. Długi, ciężki i kruczoczarny włos spadł czterema długimi splotami aż do ziemi, związany i upiękuszony złotymi łańcuszkami i srebrnymi monetami.

Wszystko tłoczyło i cisnęło się do niej, by dać sobie powróżyć z linii ręki, o innych przedstawicieli tego plemienia nikt nawet nie dbał, ani się nie troszczył.

Kortejo stał nieopodal, pożerając ją ciągle swym namiętym wzrokiem. Jakże brzydką w porównaniu z tym dzieckiem, z tym świeżym pączkiem, wydała mu się Klarysa! O, on musiał ją zdobyć; czuł, że nie zawahałby się i sto morderstw popełnić, by tylko osiągnąć swój cel. Przeczekał chwilę i dopiero gdy ostatniemu wróżyła podszedł do niej.

— Jak się nazywasz, ma piękna Cingarito?

Cingarita jest zdrobnieniem Cyganki.

Wpatrzyła się w niego badawczo, swymi wielkimi oczami i odrzekła:

— Nazywają mnie Zarba, senior.

— Brawo, chcesz mi powróżyć, moja Zarbo?

— Proszę mi podać swą dłoń.

Dał jej złotą monetę, którą sobie już na ten cel przedtem przygotował i rzekł po cichu:

— Nie tutaj, moje piękne dziecko, muszę dłużej z tobą porozmawiać.

Oglądała dar z nietajoną radością, poczym również po cichu zapytała:

— Dlaczego nie tu, senior?

— Bo cię kocham.

— Mnie, biedną Cyganekę? Kocha pan biedną Cyganekę? Senior, ja w to nie wierzę.

— Uwierz i powiedz tylko, moja złota dziewczeczko, gdzie cię mogę spotkać?

— Kiedy?

— Dzisiaj.

— Dzisiaj, to chyba będzie możliwe bardzo późno.

— Nie szkodzi, przyjdę kiedy i gdzie zechcesz?

Twarzyczka jej płonęła niekłamana i niewinną radością, dumna była, że taki bogaty senior ją kocha. Jako córka Południa, dziecko pogardzonego szczepu, postanowiła pójść za głosem serca, schwyciła więc jego rękę, jakby mu chciała powróżyć, pochyliła ku niemu głowę i poczęła szeptać, tak, by otaczający ich nie słyszeli.

— Zna senior ulicę prowadzącą do Hueska?

— Znam.

— Tam na prawo od niej, przy rzece Garello rozbiliśmy nasze namioty.
— Już ja je znajdę!
— Nie! Tego niech pan nie czyni. Nikt nie śmie wiedzieć, że się z panem spotkam. Dalej w górę stoi pięć srebrnych topoli, tuż koło siebie.

— Znam je.

— Tam niech pan na mnie zaczeka.

— Kiedy?

— Punktualnie godzinę po północy. A teraz proszę odejść, bo na nas patrzą.

— Dotrzymasz słowa, Zarbo? — spytał.

Popatrzyła swymi szczerymi oczyma i odpowiedziała:

— Ja mówię prawdę, czy senior także?

— Mogę przysiąc, że przyjdę na pewno!

Wypuściła jego dłoń, odszedł na stronę i patrzył jeszcze przez jakiś czas, trawiony gorączką namiętności, na jej piękne kształty i zgrabność ruchów, poczym oddalił się, by znowu zaginać w wirze masek.

Wkrótce zbliżył się w tę stronę miasta, gdzie stał dom bankiera Salmonno. Stanął przed nim i badawczo począł się mu przyglądać. Balkon, na którym przedtem stała owa guwernantka był zamknięty, nawet okno obok niego było zamknięte i zasunięte storami.

Właśnie z bramy wyszedł jakiś młody człowiek. Był ubrany nie lepiej niż zwyczajny robotnik i niósł paczkę listów w rękę. W jednej chwili Kortejo znalazł się przy nim; pytając grzecznym tonem:

— Proszę wybaczyć, senior! Czy pan może pracuje w domu bankiera Salmonna?

— Tak — brzmiała krótka odpowiedź.

— Wolno zapytać o godność?

— Jestem tylko roznosicielem listów — odrzekł zapytany skromnie

— Ma pan może, pięć minut czasu?

— Dlaczego?

— By w najbliższej gospodzie razem ze mną wypić szklankę wina?

— Szklanki wina nie odmawia się zazwyczaj nikomu, tylko chciałbym najpierw wiedzieć jaki cel ma to zaproszenie.

— Cel bardzo prosty, chciałbym się czegoś od pana dowiedzieć.

— O czym?

— Chodzi mi o interesy bankiera.

— To co wiem, tym będę służył, senior. Chociaż listy przez to dotrą na pocztę później niż zwykle, to specjalnie mnie to nie martwi. Pryncypał jest strasznym skąpcem, a dzisiaj w karnawale ani godziny wolnej nie dostaliśmy.

— Więc proszę sobie samemu dać urlop, bodaj na kwadrans — zaśmiał się Kortejo.

Zaprowadził go do najbliższej winiarni, kazał podać flaszkę wina i dwie szklanki, i sam począł trącać się szklankami nie zdjawszy przy tym swej maski.

— Pryncypał pana rzeczywiście musi być ogromnym skąpcem, — począł rozmowę — kiedy nawet dzisiaj nie pozwala wyjść swym pracownikom.

— Pod tym względem każdy go zna, senior.

— Czy jest aż taki biedny, że tak ciężko każe pracować?

— Wprost przeciwnie, siedzi na milionach.

— Pewnie jest stary?

— Nie, nawet nie.

— Żonaty.

— Nie, wdowiec.

— Ma dzieci?

— Miał dwoje, chłopca i dziewczynkę, ta jednak niedawno zmarła.

— Zapewne musi się bardzo troszczyć o wychowanie swych dzieci?
— Tym się wcale nie zajmuje, całe wychowanie leży na głowie jego starej służącej, nauczyciela i guwernantki.
— A więc trzyma guwernera i guwernantkę?
— Tak. Niemca i Niemkę.
— A dlaczego wziął właśnie ich?
— Zdaje mi się, że robi tam jakieś interesy, niezgorsze zresztą i ma tam mieć nawet filię, więc dlatego wziął stamtąd wychowawców, gdyż chciał zarazem, by się syn jego nauczył niemieckiego. To szczwany lis i dobrze wszystko rachuje.
— Jak się nazywa ten nauczyciel?
— Senior Sternau, bardzo spokojny i lubiany mężczyzna zjedna chyba wadą, że mało mówi, ale jak już zacznie, to tak mówi jakby z książki czytał, tak wszystko rozumie i umie, nawet nasz stary go się boi i szanuje.
— A guwernantka?
— To pani Walser, także spokojna i cicha. Mało ją widzimy, ale lubiana jest przez wszystkich, bo dla każdego znajdzie jakieś dobre słowo i uśmiech, do czego służba w tym domu nie jest przyzwyczajona. Szkoda tylko, że dłużej u nas nie zostanie.
— Odchodzi?
— Prawdopodobnie.
— Dlaczego?
— Bo córka starego, którą wychowywała, umarła, a chłopcu wystarczy jeden nauczyciel.
— Kiedy odchodzi?
— Nie słyszałem, gdy o tym mówiono. Według umowy ma prawo pozostać jeszcze pięć miesięcy, chyba, że Salmonno chciałby się jej wcześniej pozbyć, ale i tak musi jej za ten okres wypłacić pensję.
— Nie słyszał pan, czy może stara się o inne miejsce.
— Nie. Nie myślę, a choćby nawet jakieś kroki poczyniła to także byśmy się nie dowiedzieli, bo nie zwierza się nikomu obcemu; jest bardzo skryta pod każdym względem.
— Czy nie ma nikogo znajomego, jakiegoś mężczyzny, który by się nią zajął i pomógł.
— Mężczyzna? Może ma pan na myśli kochanka? Seniora Walser, kochanka? — zaśmiał się serdecznie. — Takie głupstwa nie trzymają się jej głowy. Przez cały czas, jak u nas jest ani razu nie opuściła domu, by pójść na spacer lub na jakąś schadzkę.
— W takim razie można się domyśleć jak sprawa stoi — rzekł Kortejo chytrze
— Jak?
— Zapewne zakochała się w tym nauczycielu. Dwoje rodaków i to w jednym domu jak ci, na tym samym stanowisku, o tym samym statusie zawodowym, są w sobie zwyczajnie po uszy zakochani. No, czy nie mam racji?
— To nie tak, senior. W prawdzie przebakują, że Sternau wodzi za nią oczami, że miał jej nawet powiedzieć o swej miłości, ale ona podobno nie chce nawet o tym słyszeć, przynajmniej całe jej zachowanie o tym świadczy.
— Czy to już wszyscy członkowie domu bankiera?
— Tak.
— A jak żyje on sam, czy trwoni pieniądze, czy może żyje samotnie jak odludek?
— To ostatnie, powiedziałem przecież, że to skąpiec jakich świat nie widział, ja jestem jednym z najbiedniejszych jego podwładnych, ale z pewnością żyje lepiej niż mój pryncypał i jestem przekonany, że lepiej jem i piję, niż on.
— Ciekawy jestem, czy w jego książkach i rachunkach panuje wzorowy porządek?
— To się rozumie. Bardzo skrupulatnie przestrzega tych rzeczy. Ale senior, proszę mi powiedzieć, dlaczego pan pyta o te sprawy, czy chce pan może zawrzeć z nim znajomość albo nawet rozpocząć interesy?

— Tak, muszę się przyznać, że mam ten zamiar. Podjąłem niedawno większy spadek i nie wiem na razie co z tym kapitałem począć. Pytałem o radę i poradzono mi oddać go któremuś bankierowi na przechowanie, za zwrotem zwyczajnych procentów. Muszę się więc dowiedzieć dokładnie o stosunkach tutejszych bankierów, aby wiedzieć komu mam zaufać. To jest właśnie przyczyną mej wielkiej ciekawości.

Pocziwy robotnik wierzył święcie w każde słowo:

— O, jak tylko to, to może pan bezpiecznie każdą sumę powierzyć memu panu, przynajmniej tak samo bezpieczna jest, jak u każdego innego, może mi pan zaufać, mówię prawdę.

— Rzeczywiście wzbudzasz pan zaufanie. Jeszcze dzisiaj rzecz całą rozważę dokładnie. W każdym razie dziękuję za udzielone wiadomości.

— Proszę nie dziękować, senior. Pan wynagrodziłeś mnie hojnie tym zmarnowanym czasem.

Wymieniwszy jeszcze parę grzeczności i pożegnali się i rozeszli w różne strony.

Robotnik pobiegł ze swymi listami na pocztę, podczas gdy Kortejo zlał się z tłumem przechodniów.

Naturalnie ani myślał o tym, by zaraz pobiec do księcia i oznajmić mu czego się dowiedział. Postanowił wykorzystać usłyszane nowiny i to zarazem pod względem finansowym, jak i też pod względem czasu, dlatego nie miał zamiaru pokazywać się już dzisiaj w zamku. Przehulał resztę dnia i cały wieczór, spacerując po ulicach lub siedząc w winiarniach do pomocy, poczym udał się na ulicę de Hueska.

Saragossa leży nad Ebro, do której na północnym krańcu miasta wpada boczna rzeczka Gallego.

Brzegiem tej ostatniej rzeki szedł Kortejo, gdy ujrzał tłące się jeszcze ogniska. Poznał zaraz, że tam rozbito namioty, więc skręcił w bok, by nie być widzianym, idąc jednak ciągle w górę. Po chwili ujrzał długi szereg srebrnych topoli, miejsce wyznaczone na spotkanie.

Stanąwszy u celu nie zastał jeszcze Cingarity.

Cierpliwość jego nie była wystawiona na długą próbę. Wkrótce zjawiała się. Miała na sobie ten sam strój, w jakim widział ją w dzień, ale z powodu nocnego zimna zarzuciła na ramiona chustkę.

— Dobry wieczór, senior. Czy to pan? — powitała go.

— Tak, Zarbo, ja — odrzekł.

Podał jej rękę i uścisnął jej drobną dłoń.

— Boisz się mnie?

— Nie.

— A dlaczego drży ci ręka? Zimno ci może?

— Nie, tylko ja jeszcze nigdy, z żadnym seniorem nie byłam w nocy sama.

— O nie bój się, gdy się kogoś kocha, to się ma do niego zaufanie, więc się go i nie obawia. Ja cię bardzo, bardzo kocham. Czy twoi wiedzą gdzie jesteś?

— Nie, myślą, że ja śpię w swym namiocie.

— Nie będą cię szukali?

— Nie, oni już śpią.

— Chodź więc tutaj i usiądź obok mnie.

Usiadła koło niego, ale z bojaźnią ptaka, którego lada co może spłoszyć. Ujął ją za rękę i znowu wyczuł lekkie drżenie.

— Dlaczego drżysz? — pytał siląc się na spokój. — Czy nie chcesz bym twą rękę trzymał w swojej?

— Czy to potrzebne?

— Naturalnie, jak się kogoś kocha, musi mu się całkowicie ufać.

Nie wiesz jeszcze tego?

- Nie.
- Nie kochałaś jeszcze nigdy żadnego mężczyzny; tak z całego serca?
- Nie, nigdy.
- Czy to prawda?
- Senior, ja nie kłamię.
- Spróbuj więc, czy nie potrafisz mnie pokochać.
- Tak z całego serca?
- Tak.
- O senior, ja nawet jeszcze pańskiej twarzy nie widziałam.
- Więc przypatrz się.

Miał jeszcze ciągle maskę na twarzy, zdjął ją więc i odwrócił twarz ku światłu księżyca, tak, że mogła go ujrzeć dość dokładnie.

— No cóż, podobam ci się? — pytał żartem.

— Tak — odrzekła poważnie.

— Ale z pewnością nie tak, jak ty mnie, ja bym pragnął cię objąć i uścisnąć serdecznie, tak jak mi serce nakazuje. Czy mogę?

— A czy to potrzebne?

— Naturalnie, jeżeli się kogoś kocha, to wręcz niezbędne.

Tak oszołamiał to biedne, nieświadome złego dziecko, chcąc je całkowicie usidlić i obezwładnić.

Z praktyką starego zbrodniarza posuwał się coraz dalej, całując wkrótce jej piękne usta, magnetyzując ją swym wzrokiem, tak że nie była się mu w stanie dalej opierać.

Rozgrzany namiętnością, stał się rzeczywiście czuły i wylewny, począł jej przysięgać miłość i opętał zupełnie, niedoświadczoną dziewczę.

— Mój słodki gołąbku, jak ci się podoba ta pierwsza miłość? — pytał słodkim głosem.

— Ja myślę, że śnię, senior!

— Nie, to rzeczywistość. Chciałabyś, aby tak zawsze już zostało, droga Zarbo?

— Tak — szepnęła ze wstydem.

— To zależy tylko od ciebie. Jeżeli zechcesz zrobić to o co cię poproszę, możemy być zawsze tak szczęśliwi.

— Co mam zrobić, senior?

— To musimy dopiero rozważyć. Jak długo już jesteście w Saragossie?

— Tydzień.

— A jak długo jeszcze zostanieie?

— Jeszcze przez tydzień.

— Ile rodzin was jest?

— Cztery rodziny i dwadzieścia osób.

— Masz ojca tutaj?

— Tak.

— I matkę?

— Także.

— Innych krewnych nie masz?

— Nie.

— Jak się nazywa twój ojciec?

— Jarko.

— A matka?

— Kaszima.

— Kochają cię bardzo?

— O bardzo. I cały szczerp i wszyscy inni Gitanie Hiszpanii kochają mnie, bo ja mam być kiedyś ich królową.

— Do diabła! — odrzekł nagle zdziwiony — Wy także macie królów?

— Nie, tylko królowe.

— Kto jest teraz królową?

— Moja matka, Kaszima.

— Ale przecież wy jesteście biedni?

— Myślicie, że nie można być biedną a zarazem królową, senior, o, pan nie zna Gitanów. Wyglądają na biednych, lecz są bogaci, zdają się wzgardzeni przez wszystkich, a są dumni. Rzadko który wasz król posiada taką potęgę, jak u nas, wśród swego szczepu ma królowa; ją wszyscy słuchają.

— Co za uroczystości i zwyczaje są przy zmianie królowej?

— Tego nie mogę zdradzać, senior.

— Tak, więc muszę się zadowolić tym, że księżniczkę trzymam w ramionach, księżniczkę, którą kocham ponad wszystko i która mnie także trochę lubi, nieprawdaż?

— O nie trochę, tylko bardzo — odpowiedziała.

— Czy możesz miłość swoją wyznać swym rodzicom, Zarbo?

— O nie.

— Dlaczego nie?

— Ja muszę być żoną jednego z Gitanów, niczyją inną.

— Ach to straszne! I będziesz im posłuszna?

Skinęła głową i nic nie odpowiedziała. Pierwszy raz niezgoda uczuć rozdarła jej serce. Kortejo zmiarkował dobrze, że miłość jej zanadto jest jeszcze świeża i wątła, i kto wie czyby się przemogła, więc nie nalegał, tylko zapytał:

— Czy mogę cię w tym tygodniu jeszcze ujrzeć?

— Tak — odrzekła.

— A gdzie i kiedy?

— Gdzie i kiedy sobie życzysz, senior?

— Czy możesz od swoich odchodzić gdzie i kiedy ci się podoba?

— O, nikt mi niczego nie zabroni, ani nic nie powie. Wszyscy mnie lubią i nie ma nikogo, kto by mi czegoś zakazywał.

— Więc przyrzeknij, że jednej mej prośbie nie odmówisz.

— Jaka to prośba?

— Przyrzeknij mi najpierw, że ją spełnisz.

— Czy mogę to uczynić?

— Możesz.

— Więc zastosuję się do twego życzenia.

— Dobrze. Odwiedź mnie w moim mieszkaniu.

Spodziewał się oporu, był więc przyjemnie zdziwiony, gdy radośnie klasnęła w ręce i odpowiedziała:

— Przyjdę senior, o przyjdę chętnie, gdyż nie byłam jeszcze nigdy w mieszkaniu tak wielkiego pana. Gdzie mieszkasz?

— Przy ulicy Strada Domenica, w takim wielkim domu, pod numerem 10.

— A kiedy mam przyjść?

— Gdy zmrok zapadnie. Lecz jedno chciałbym ci najpierw powiedzieć, nie życzę sobie by cię ktoś zobaczył.

— Dlaczego? — zapytała naiwnie — Czy wstydziłbyś się może mych odwiedzin?

— Nie, — kłamał — lecz w naszym domu nie wolno odwiedzać nikogo, moje serce.

— To jak się dostanę do ciebie?

— Będziesz szła wzdłuż domu, aż dojdiesz do długiego muru ogrodowego.

— Dobrze.

— W tym murze znajdziesz małe drzwiczki, za którymi będę stał. Zapukasz, a wtedy zaraz ci otworzę.

Zgodziła się na to i zapytała:

— Czy drzwiczki te łatwo można znaleźć?

— Bardzo łatwo. Jak długo będziesz mogła u mnie zostać?

— Jak długo mi się spodoba. Opuszczam często wieczorem lub w nocy obozowisko, by błąkać się samotnie po lesie, przy świetle księżycy. Wiedzą o tym moi ludzie.

— I przyjdiesz z pewnością?

— Możesz mi zaufać.

— Dziękuję. O, jak wielkie byłoby moje szczęście, gdybyś mogła na zawsze pozostać u mnie i nie opuszczać mnie nigdy!

Przycisnął ją znowu do piersi i na nowo zaczął Zarbę całować. Siedzieli tak w miłosnym zachwycie, aż dzień zaświtał. Dziewczyna odprowadziła kochanka aż do muru fortecznego, potem rozstali się serdecznie. W domu Kortejo ułożył się zaraz do snu i byłby niezawodnie przespał całe przedpołudnie, gdyby nie obudził go służący, oznajmiając, że księżę pragnie z nim mówić. Wstał więc zaraz i szybko się ubrał.

Było widoczne, że księżę spędził noc na hulankach, miał zaspany wygląd i bardzo zły humor.

— Łotrze, gdzie ty się ukrywasz? — zapytał. — Nie jestem przyzwyczajony tak długo czekać na kogoś.

— Spałem aż do tej chwili — przyznał obojętnie.

— Spałeś? Gdy ja godzinami czekam na ciebie!

— Wróciłem do domu dopiero nad ranem.

— Hultaju! Kiedy nadejdzie wreszcie czas, że zaniechasz hulanki i zostaniesz porządnym człowiekiem?

— Wtedy, gdy przestanę być wiernym sługą waszej księżęcej mości i gdy się zestarzeję.

— Nie będziesz się przecież usprawiedliwiał twą wiernością.

— Właśnie ona ma mnie usprawiedliwić.

— Brzmi to nader komicznie, lecz nie jestem dziś usposobiony do żartów.

— Mówię całkiem serio, panie. Polecenie, które mi dałeś, było przyczyną mej bezsenności.

— Kłamco!

Kortejo udawał obrażonego i rzekł:

— Nie zasłużyłem na ten przydomek, przysięgam.

— Nie potrzebujesz przysięgać, powiedz lepiej gdzie byłeś tak długo?

Kortejo znał swego pana i wiedział jak z nim trzeba postępować. Przybrał więc minę pokutującego grzesznika i rzekł najpokorniejszym głosem, na jaki się mógł zdobyć.

— Dobrze, przyznaję więc, że hulałem przez całą noc i że przepiłem nawet całą mą kasę. Proszę o przebaczenie i przyrzekam solennie, że coś podobnego nigdy się już nie wydarzy.

Cofnął się w stronę drzwi, jakby oczekiwał rozkazu wyjścia, lecz księżę zamruczał tylko.

— Łotrze nie wymkniesz mi się tak. Dowiedzieliś się czegoś o tej dziewczynie, czy nie?

— Tak. Właśnie to było powodem mego późnego powrotu do domu. Musiałem pić na zabój i stracić nawet mą gotówkę, by rozwiązać języki tych łotrów.

— Opryszku — zaśmiał się księżę. — Jestem święcie przekonany, że nie wydałeś ani grosza na tych drabów, o których mówisz. Ile pieniędzy miałeś mniej więcej przy sobie?

— Co najmniej sześćdziesiąt duros, które straciłem przy winie i kartach.

— Oszust z ciebie! Ja wiem najlepiej, że jesteś zapalonym graczem, od którego wygrać nie można nawet złamanego szeląga.

— W tym wypadku musiałem przegrywać, by podtrzymywać dobry humor tych ludzi.

— Mniejsza o to, dostaniesz tę sumę. Cóż to były za typy?

— Dwaj pisarze z biura starego Salmonno.

— W jaki sposób ich poznałeś?

— Na tym polegała właśnie cała trudność. Byli zajęci za dnia i mogli wyjść dopiero wieczorem. Musiałem więc najpierw stać jak stróż nocny przed drzwiami i włóczyłem się za nimi po wszystkich, ulicach i szynkach, aż mi się udało zająć miejsce przy ich stole. Rozpoczęliśmy małą grę, a reszty domyślić się możesz sam, mości książę.

— Hm, chcę wierzyć, że tak w istocie było, choć dziwiłoby mnie to bardzo, gdyś rzeczywiście zapomniał o własnej zabawie. A więc dowiedziałeś się czegoś?

— Naturalnie.

— Spodziewałem się tego. Nie zmrużyłem przez całą noc oka, bo cały czas myślałem o tej przeklętej damulce i o tym przeklętym łotrze, który jej przybiegł z pomocą.

— A, — zaśmiał się Kortejo — czyżby książę miał jakieś małe nieporozumienie?

— Miałem. Wołała o pomoc, a ponieważ usłyszano jej krzyki, to musiałem odejść z niczym.

— Do pioruna nie rozumiem tego! Ilu ludzi pospieszyło jej z pomocą?

— Tylko jeden, lecz musiał być z piekła rodem!

— Był to zapewne jakiś szaleniec, jakiś nie lada olbrzym, jeżeli podołał takiemu siłaczowi, jakim jesteś książę.

— Olbrzym? To był prawie karzeł, lecz jaki!

— Jak nazywa się ten niezwykły karzeł?

— Wołała na niego Sternau.

— Sternau? Ależ to tylko domowy nauczyciel.

— Nauczyciel? — krzyknął książę ze złością. — Gryzpiórek? Czy to prawda?

— Najprawdziwsza, ochmistrz i nauczyciel syna bankiera, nazywa się Sternau.

— Do wszystkich diabłów! A więc to naprawdę był nauczyciel! I przed takim człowiekiem ja musiałem ustąpić. Jeśli złapię kiedyś tego draba, to niech Bóg zlituje się nad jego duszą. Był szczupły i wysuszony jak prawdziwy gryzpiórek, lecz w kościach miał siłę kowala, a zręczny był jak szatan. A więc przynajmniej już coś wiemy. Mów dalej!

— Nauczyciel ten jest Niemcem i najprawdopodobniej zakochany jest w tej guwernantce.

— To mu niebawem przejdzie.

— Nie troszcz się o to, wasza książęca mość. Ona nawet nie chce go znać, choć pochodzą z tego samego kraju.

— A, to mnie cieszy. Osoba pochodząca zza granicy... nikt nie będzie się o nią troszczyć, choćby nawet przytrafiło się jej coś niezwykłego. A szczególnie tych nauczycieli obawiać się nie trzeba. Jak ona się nazywa?

— Jakaś Walser, Wult?

— Czy dobrze się jej wiedzie u tego skąpca, Salmonna?

— Zdaje się, że nie.

— Hm, gdyby ją tak można wyprowadzić z domu. Lecz to prawdopodobnie będzie zbyt trudne.

— Nie sądzę.

— Rozmyślałeś już może nad tym?

— Trochę.

— No i?

— Dziecko które wychowywała, umarło...

— Do wszystkich diabłów, to znacznie polepsza sprawę.

— Tak. Bankier nie należy do tych, którzy opłacają guwernantkę, nie mając dla niej zajęcia. W każdym razie, w najbliższym czasie, wypowie jej prace i mieszkanie.

— Chytry z ciebie lis! Myślisz, że potem znajdzie się w tak przykrym położeniu, że z konieczności będzie musiała ulec?

— Nie, o tym wcale nie myślę. Te kobiety przede wszystkim szanują swój honor, nie znoszą na sobie żadnej skazy i umieją się oprzeć pokusom. Nie, miałem coś innego na myśli.

- Cóż takiego? Mów prędzej!
- Czy wybaczysz mi księżę, jeśli plan mój wydawać ci się będzie z początku zbyt śmiały?
- Mów bez obawy!
- A więc myślałem o tym, że ekscelencja sam ma córkę dla której potrzebna...

Księżę zerwał się z krzesła, jak rażony prądem elektrycznym i zawołał:

— Do pioruna, masz słuszność! Mogę ją umieścić w mym domu jako guwernantkę. Wtedy mieszkać będzie u mnie i ciekawy jestem, czy nie zechce przy tej sposobności wychowywać i ojca, chociaż trochę. Plan to wyborny, wyśmienity. Lecz jak go wykonamy?

- To musi stać się bez większego rozgłosu.
- Zapewne.
- Więc nie możemy jej sami zaprosić.
- To chyba oczywiste.
- Lecz możemy to uczynić poprzez ogłoszenie w jakiejś gazecie.
- Czy myślisz, że się potem zgłosi?
- Trzeba zaznaczyć, że Niemki mają pierwszeństwo.
- Tak, to się może udać. Lecz jeśli nie przeczyta ogłoszenia, jeśli w ogóle go nie zauważy?
- Wtedy pozostaje nam jeszcze dość czasu, by pomyśleć o innych środkach. Trzeba szukać przez jakiś czas.

— Dobrze, zostanmy więc przy ogłoszeniu. Chcesz je sam napisać?

— Jak księżę rozkaże.

— Napisz więc, lecz bądź ostrożny. Chodzi o to, by to się zbyt nie rzucało w oczy, wiesz co mam myśl. Dziewczyna pozna mnie w każdym razie!

— Czy zdjąłeś księżę u niej maskę?

— Nie, lecz odsłoniłem usta.

— A więc tylko broda może cię zdradzić.

— Skróć ją sobie nieco. Zresztą to wcale nie będzie potrzebne, gdyż nie ja będę zawierać z nią kontrakt. To pozostawiam tobie. Zajmij się ogłoszeniem, masz tu kwit dla kasjera. Swoje pieniądze odzyskasz z powrotem.

Kortejo cieszył się niewymownie, bo w miarę jak stawał się powiernikiem słabostek księcia, wzrastał jego wpływ nad nim. Był przez cały dzień w doskonałym humorze, tym bardziej, że księżę podarował mu dość znaczną sumkę.

Po południu zaniósł sam ogłoszenie do gazet i odwiedził przy tej sposobności Klarysę. Powitała go z nadąsaną twarzą.

— Nie przyszedłeś! — skarżyła się.

— Nie mogłem, moje serce.

— O, mogłeś znaleźć choć kwadrans czasu dla mnie!

— Ani minuty nawet.

— Czekałam na ciebie przez cały dzień i nie mogłam nawet opuścić pokoju. Straciłam w ten sposób pierwszy dzień karnawału. Lecz spodziewam się, że teraz pójdziesz ze mną.

— Niestety i to nie jest możliwe.

— Nie? — zapytała z rozczarowaniem — Teraz widzę jak rzeczy stoją. Miłość twoja powoli stygnie. Opuściłam dom i rodzinę by pójść za tobą, poświęciłam ci cześć i honor, żyję z tobą, jak żona. Teraz zaś, gdy porzuciłam wszystko, nie chcesz mnie więcej znać. Idź sobie! Uwiodłeś i oszukałeś mnie biedną.

Kortejo był dla Klarysy jedną wielką zagadką. Kochał ją rzeczywiście, chciał się z nią ożenić, żył z nią w pełnym namiętności związku, lecz w sercu jego dość było jeszcze miejsca dla innych chwilowych i przelotnych miłostek. Nie czuł wyrzutów sumienia, gdy oszukiwał dziewczynę, która poświęciła dlań wszystko, lecz nadto ją kochał, i nigdy by nie podjął decyzji opuszczenia jej.

Przystąpił do niej, objął ramieniem jej pełną kibić i rzekł:

— Miejże rozum Klaryso!

— Właśnie go mam, gdyż smutek pozwala widzieć, twoje wygasające uczucia.

— Mylisz się! Moje uczucia się nie zmieniły, lecz mam inne, ważniejsze sprawy na głowie, niż amory. Wiesz jaki cel mamy przed sobą. Musimy zdobyć majątek, aby twym krewnym przywrócić cię jako wielką panią. Gonię za nim, a wczoraj zrobiłem już jeden wielki krok naprzód, jutro zrobię drugi i trzeci i jeśli się nie mylę w krótkim czasie osiągniemy, to, czego oboje pragniemy. Zatem bądź mądra i przestań się dąsać.

— Czy można dowiedzieć się, jakiego rodzaju są te twoje sławetne kroki?

— Tak, chcę być szczery i przypuszczam, że gdy ci wszystko wyjaśnię, uzyskam twoją aprobatę.

— Znasz mnie i wiesz, że nie jestem zbyt delikatna w doborze słów.

— Nie, ale posłuchaj. Wiesz, że księżę Olsunna jest jednym z najpotężniejszych panów w tym państwie?

— Jego ojciec miał niezmierzone wpływy, rządził samą królową.

— Zrozumiesz więc, że jego życzliwość i poparcie nader korzystne być dla mnie mogą.

— To łatwo zrozumieć.

— Dlatego więc nie szczędzę trudu, by zdobyć jego zaufanie.

— A że jesteś przebiegły, więc ci się udało.

— O lepiej i w większej może mierze, niż nawet myślisz. Tajemnica jak zawładnąć zupełnie drugim człowiekiem, polega na poznaniu jego błędów i słabostek. Należy im sprzyjać i w końcu osiąga się cel. Jesteś jedynym powiernikiem, który wie jak spełniać zachcianki swego pana.

— Czy tę samą zasadę stosowałeś i w stosunku do mnie?

— Nie, wobec ciebie byłem zawsze szczery i takim pozostanę.

— Więc jakie słabe strony ma na przykład księżę?

— Najsłabszą jego stroną jest miłość do kobiet. Jego wysokie stanowisko nie pozwala, by okazywał tę namiętność otwarcie, musi być przezorny i potrzebuje powiernika, któremu może we wszystkim zaufać.

— I tym powiernikiem jesteś ty?

— Tak — potakiwał Kortejo. — Przekonałaś się wczoraj, że księżę razem ze mną odwiedzał miejsca karnawałowych uciech, a to dowodzi, że stałem się jego mistrzem. Wszystko co dotąd czynił z moją wiedzą nie przekraczało granic zakreślonych prawem, gdy jednak zechcę zupełnie zapanować nad nim, musi uczynić coś, co jest zakazane, co jest przestępstwem, zbrodnią, wtedy dopiero całkiem będzie w mej mocy.

— Gasparino, jesteś wcielonym diabłem! — zaśmiała się dumna z przebiegłości kochanka.

— Ba, my wszyscy jesteśmy mniej więcej diabłami. Chodzi tylko o to by spełniać te diabelstwa tak, by przynosiły pożytek. Sądzę, że jesteś tego samego zdania. A może się mylę?

— Ależ nie. Lecz myślisz, że zdołasz skłonić księcia do takiego czynu?

— Sądzę i jestem nawet w stu procentach przekonany o tym. Sprowadziłem go już na najlepszą drogę do zbrodni.

— Zaciekawiasz mnie. Opowiadaj!

Opowiedział jej wczorajszy wypadek z guwernantką i dodał następującą uwagę:

— Ta panna z całą pewnością nie podda się bez oporu, będzie musiał walczyć, chwyci się środków niedozwolonych. A gdy już raz wstąpi na drogę zła, to będę go miał w mej mocy, będę jego mistrzem.

— Jesteś rzeczywiście niebezpiecznym intrygantem bez wiary i sumienia, a ja zaczynam być dumna z ciebie. Lecz cóż za związek między miłośkami księcia a tym, że nie chcesz dziś iść ze mną?

— Muszę bliżej poznać ludzi Salmonna, by dowiedzieć się wszystkiego, co się dzieje w ich domu. Mamy się dziś spotkać, muszę więc dotrzymać słowa.

— Przyznaję, że jest to potrzebne, lecz przecież musisz mnie zrozumieć, że nie jest przyjemnie ciągle być samą.

— Za to nadejdzie czas, który przyniesie nagrodę twojej cierpliwości.

Uspokoił ją nieco kilkoma pocałunkami i powrócił do swego mieszkania, w pałacu księcia. Gdy zapadł zmierzch własnoręcznie uporządkował pokoje, tak, że ich wytworne umeblowanie musiało olśnić niejednego, a później, gdy się już ściemniało, wydał rozkazy, żeby służba opuściła zamieszkiwaną przez niego część pałacu i udał się do ogrodu.

Czatował za umówionymi drzwiczkami, aż usłyszał ciche pukanie. Otworzył i wpuścił Cygankę. Pozdrowił ją długim uściskiem i namiętym pocałunkiem.

— Nie spóźniłaś się ani na chwilę, moja Zarbo! — pochwalił ją.

— O tęskniłam już za panem! — szepnęła zawstydzona.

— Więc chodź! Powitam cię jak królową w moim mieszkaniu.

Ujął jej rękę i poprowadził przez ogród do pałacu. Nie spotkali nikogo i dostali się niepostrzeżenie do jego pokoi. Tam stała olśniona blaskiem świec i bogactwem, które przebijało na każdym kroku. Widział z radością jej zdumienie, widział jak na widok rzeczy, których dotąd nie widziała, otwały się jej rozkoszne, nieco zwilżone wargi. Zrozumiał, że to naiwne dziecko uważa go za kogoś wyjątkowego, więc czekał aż się sama zwróci ku niemu, by nie psuć jej wrażeń.

— O, jakież to piękne, jakie śliczne! — szeptała.

— Chodź dalej. To nie wszystko jeszcze.

Wziął ją pod rękę i prowadził przez cały szereg pokoi, które nie należały wprawdzie do jego mieszkania, lecz które wcześniej kazał rozświetlić, by do szczętu omamić biedne dziewczę. Gdy przeszli do ostatniego, rzekła zachwycona:

— O senior, jesteś wielki i potężny, lecz czy ty mnie rzeczywiście kochasz?

— Ja bez ciebie żyć nie mogę. Gdybyś mnie opuściła pewni bym umarł, moja Zarbo!

To mówiąc przycisnął ją namiętnie do serca, tak, że omal nie krzyknęła z rozkoszy. Gorący, ognisty pocałunek zamknął jej usta, zaprowadził ją do swej sypialni, gdzie obok sofy stał stół suto zastawiony wyborną kolacją dla dwóch osób. Musiała usiąść, podczas gdy on gasił światła jedno po drugim. Wnet świeciła się tylko lampka nocna, a za zamkniętymi podwojami sypialni, zniknęło szczęście młodego dziewczęcia, bo było tak czyste i jeszcze niewinne, że nie znało przewrotności ludzkiej, bo wpadło w szpony rozpustnika Korteja...

Gdy drzwi otwały się znowu, zaczynało świtać. Można było słyszeć tylko ciche szepty kochającej się pary.

— Podobało ci się u mnie, Zarbo? — szepnęła.

— O bardzo! — opowiedziała drżącym głosem.

— I przyjdiesz znowu dziś wieczór? — spytał.

— Każdego wieczora.

— Przez cały czas waszego pobytu w naszym mieście?

— Powiem matce żeby została w Saragossie.

— I posłucha cię?

— Oczywiście, zostanie tak długo, jak mi się spodoba.

— Masz klucz od drzwi ogrodowych?

— Mam.

— I ten pakunek z ubiorem chłopca?

— Mam.

— Dobrze, odtąd przychodzić do mnie będziesz przebrana za chłopca, wkradniesz się do ogrodu i dasz mi znak, na który ci zrzucę ci z okna drabinkę sznurkową, tak, że będziesz mogła odwiedzać mnie niepostrzeżenie. Chodź!

Odprowadził ją do ogrodu, potem wrócił do sypialni, by spocząć przez kilka godzin, podczas gdy oszukana Zarba skradała się do obozowiska, gdzie obok gorejących kawałków drzewa, siedzieli jej współplemieńcy nie domyślając się niczego.

* * *

Następnego dnia w trzech dziennikach wychodzących w Saragossie można było przeczytać następujące ogłoszenie:

Poszukuje się, niemieckiej guwernantki do znakomitego, arystokratycznego domu. Może zgłosić się natychmiast i znajdzie trwałą pracę, oraz wysoką płacę.

Oдноśne oferty przyjmuje zarząd gazety.

Panna Walser otrzymywała gazety zwykle w południe, gdy ich już nie potrzebowano w kantorze. Tak było i dzisiaj.

Znalazła ogłoszenie i zaraz zwróciła na nie swą uwagę. Zastanowiła się nad swym położeniem, myślała o tym, że nie może zostać w domu Salmonna i doszła do przekonania, że tylko przez zrzucenie opatrności dostała tę gazetę do ręki.

Godzinę później udała się do biura ogłoszeń jednej z gazet i złożyła tam swą ofertę w zapieczętowanej kopercie.

Nie mówiła o tym z nikim ani słowa i z wielką niecierpliwością oczekiwała na wynik. Następnego dnia przyniósł odpowiedź. Delikatnie zapukano do drzwi. Już myślała, że to Sternau, kiedy na jej wezwanie do pokoju wszedł bogato wystrojony lokaj.

— Przepraszam! — rzekł kłaniając się nisko. — Mam zaszczyt widzieć seniora Walsera?

— Tak.

— Służę w pałacu księcia Olsunny i mam panią zapytać, o jakiej porze można będzie tam na panią oczekiwać.

Zarumieniła się lekko, jednak zapytała:

— W jakiej sprawie oczekują mnie tam?

— Nie mogę tego powiedzieć pani, ale pan ochmistrz dał mi do zrozumienia, że chodzi o jakiś prasowy anons.

— I oczekują, bym sama podała czas, w którym będę mogła się przedstawić?

— Tak właśnie.

— Czy dobrze by było wybrać godzinę trzecią?

— Sadzę, że całkiem dobrze.

— Proszę więc złożyć księciu panu ukłony ode mnie. Zjawię się punktualnie w oznaczonym czasie. Gdzie leży pałac?

— Strada Domenica, numer 10. Do widzenia, pani.

Kiedy grzeczny sługa wyszedł, została guwernantka w stanie, który można było porównać chyba z jakimś szczęśliwym snem. Miała dostać się do domu książęcego! A jaki grzeczny był ten książę względem niej. Pozostawiono jej nawet godzinę do wyboru. Ach, jakże by się Salmonno złościł! Co by na to powiedział Sternau. A jaką radość będą odczuwać jej kochani tam, w domu, kiedy otrzymają tę radosną wiadomość!

Ledwie doczekała umówionej pory.

Jeszcze nie wybiła trzecia, kiedy wybrała się w drogę. Musiała krążyć by nie przyjść za wcześnie.

Kiedy jednak zobaczyła wielki, wspaniały budynek przed sobą, wydawała się sama sobie tak biedna i niegodna, że aż nie sposób było wyobrazić sobie, aby mogła kiedykolwiek stać się jego współmieszkanką.

Zapytała sama siebie; czy nie dobrze byłoby zasięgnąć najpierw rady poczciwego Sternaua. Teraz jednak było już za późno. Nie przeczuwała, że tam w górze, z wielkiego okna spoglądały na nią chciwe oczy księcia.

Weszła do pałacu.

Portier wskazał jej szerokie, marmurowe schody, których boki były ozdobione wysokimi wazami, a w nich zieleniły się wspaniałe, egzotyczne rośliny.

Na górze przywitał ją ten sam sługa, który był u niej rano i poprowadził ją do salonu, w którym wisiały na ścianach dzieła wielkich mistrzów pędzla. Umeblowanie salonu zdradzało wyśmienity smak artystyczny. Usiadła i czekała.

Naraz odchyliła się portiera i zjawił się Kortejo.

Wstała i odpowiedziała na jego głęboki ukłon, takim samym pozdrowieniem. Skinął na nią ręką, by usiadła i sam rozsiadł się naprzeciw niej, w fotelu.

— Zapowiedziano mi panią, jako pannę Walser — rzekł najprzyjemniejszym tonem swojego głosu.

Skłoniła głową potakująco.

— Jesteś pani tę samą damą, która raczyła na nasz anons dać odpowiedź?

Odpowiedziała znowu potakującym skinieniem.

— Pani z pewnością spodziewała się, że ją przyjmie ktoś z członków książęcej rodziny, bo chodzi tu właściwie o sprawę rodzinną, bardzo wielkiej wagi — ciągnął dalej bardzo uprzejmie — Ale niestety; księżna pani nie żyje, a jaśnie oświecony książę wyjechał. Dlatego też wybacznij pani, że ja, będąc ochmistrem w pałacu ośmieliłem się panią przyjąć. Książę pan upoważnił mnie do tego. Czy jest pani gotowa uczynić zadość mojej woli i odpowiedzieć mi na parę pytań.

— Służę panu.

Sposób, w jaki Kortejo umiał przemawiać zjednywały mu zupełnie zaufanie.

— Jestem więc zmuszony, wtrącić pewną uwagę. Czy pani nie zastanowiła się nad tym, że książę, który potrzebuje wychowawczyni dla córki udaje się na tak zwyczajną drogę, na którą wstępują nawet ludzie, należący do warstw niższych, tylko wtedy, kiedy nie ma widoków na lepsze.

Uśmiechnęła się i dopiero potem odpowiedziała: — Wyznam panu szczerze, że mi ta okoliczność w pierwszej chwili była dość zaskakująca. Potem jednak wytłumaczyłam sobie, że każdy ma prawo postępować tak, jak uważa za stosowne, a prasa jest od tego, aby informować innych o pewnych sprawach.

— Ma pani całkowitą rację. Rzecz ma się mianowicie tak, że dotychczasowa wychowawczyni prosiła, z powodu nagłej śmierci kogoś z bliskich, o natychmiastowe zwolnienie. By więc ją zastąpić drogą zwyczajną i u nas przyjętą, trzeba by było kilku miesięcy, a ponieważ mała księżniczka nie jest w stanie tak długo obyć się bez macierzyńskiego dozoru, poradziłem udać się do prasy. Zgłosiło się mnóstwo dam. Jednak dla nas milsza będzie wychowawczyni władająca językiem niemieckim.

Kortejo skłamał.

Dotychczasowa guwernantka odeszła nie z przyczyn rodzinnych, tylko z przyczyny panny Wirskiej, otrzymała tymczasowy urlop na czas nieokreślony. Płacono jej jednak nadal.

— Nie sądzę, by żądania moje były zbyt wygórowane — rzekła panna Walser.

— I ja jestem o tym przekonany. Miała pani teraz u kogoś pracę?

— Tak, u bankiera Salmonno.

Ochmistrz zrobił minę, jakby chciał powstrzymać lekceważący uśmiech i rzekł:

— Nie sądzę, aby dama z takimi zaletami i uzdolnieniami czuła się dobrze w domu tego człowieka.

— W niektórych sprawach nie lubię się zalić.

— Bardzo to ładnie, seniora. Długo była pani u tego człowieka?

— Niespełna rok.

— A przedtem?

— Przybyłam tutaj z Niemiec. Moje świadectwa stamtąd będę mogła w tej chwili panu przedłożyć, od Salmonna nie mogłam niestety doprosić się aktualnego świadectwa, gdyż mi się wydawało, że lepiej postąpię, gdy nic mu o tym wszystkim nie powiem.

Kiwnął jej ręką i wyrzekł uprzejmie:

— Proszę tego zaniechać. Nie należę do pedantów, którzy osądzają ludzi wedle ich świadectw. Zebrałem bogate doświadczenia w tym kierunku, jakie bezwartościowe, albo co najmniej niepewne są te dokumenty. Nie pytam panią o świadectwa, chcę tylko wiedzieć, gdzie się pan urodziła.

— W Prusach.

— Rodzice pani byli?

— Oj ciec mój, który już nie żyje, był nauczycielem, a moja biedna matka żyje ze swej skromnej pensji.

— Którą pani powiększa o swoją?

Poczerwieniała.

— Płace, które otrzymywałam dotychczas, były niestety za niskie, bym mogła oszczędzać.

— Mówi pani po hiszpańsku prawie bez błędów. Jakie języki zna pani jeszcze?

— Angielski i francuski, obok ojczystego. Łaciny uczyłam się tyle, że mogłabym przygotowywać początkującego.

— A muzyki?

— Gram na fortepianie i śpiewam.

— Nie mam zamiaru kontrolować pani, nie będę więc pytał jej o inne wiadomości.

— O proszę! — przerwała — Mam świadectwa odejścia przy sobie. Jeżeli pan łaskaw, proszę na nie rzucić okiem.

— Nie znam niemieckiego.

— One są w języku francuskim i angielskim.

— Proszę je więc pokazać, jeżeli to ma panią uspokoić. Podała mu dokumenty.

Chciał go przebiec jednym tylko rzutem oka, przyglądając mu się jednak bliżej, gdyż mu wpadły wysokie cyfry, jakie spostrzegł na papierze. Ta dziewczyna miała z każdego przedmiotu najwyższą ocenę. I taką to utalentowaną dziewczynę prowadzono ku moralnemu upadkowi.

— To zadziwiające! — rzekł. — Takie świadectwa są rzadkością, seniorito; nie będę pani stawiać żadnych pytań, poproszę ją tylko pójść za mną i oglądnąć komnaty, które jako wychowawczynie, pani teraz będzie zamieszkiwać.

Zaprowadził ją do dziecięcego pokoju.

Koło małej księżniczki siedziała bona, która zachmurzonym wzrokiem rzuciła na guwernantkę.

— Oto księżniczka Flora — rzekł Kortejo. — Księżniczko, proszę pozdrowić damę, która przysła, by nauczyć ją wiele dobrych i pięknych rzeczy.

Córeczka księcia rzeczywiście była słodkim, miluchnym dzieckiem. Popatrzyła swoimi oczami na Walser i zapytała:

— Jesteś pani guwernantką?

— Tak.

— O ja nie lubię guwernantek, bo one mnie także nie lubią. I bon nie lubię też.

— A może będzie mnie lubić, seniorita Florita? Dziecko popatrzyło rozumnymi oczkami i rzekło:

— Będę lubić panią, bo pani do mnie mówi Florita, a inne mówiły Flora.

— Chętnie zostanę przy Floricie — rzekła guwernantka.

— Dlaczego? — zapytało dziecko.

— Bo kocham Floritę.

Dziecko objęło ją za szyję swymi drobnymi rączkami.

— A będziemy się ze sobą śmiać? Ja tak bardzo lubię się śmiać.

— Będziemy się śmiać Florito, ja też lubię się śmiać dużo, bardzo dużo!

— A więc proszę, zostań pani tutaj, koło swojej Flority! Powiem papie, że chcę panią mieć.

Bona stała patrząc na to zła i zdziwiona zarazem. Gniewało ją to, że cudzoziemka zyskała sobie tak szybko miłość dziecka. Nie odważyła się jednak zrobić żadnej uwagi...

Kortejo poprowadził guwernantkę przez dalsze pomieszczenia, aż do mieszkania, które dla niej było przeznaczone. Składało się ono z trzech pokoi. Guwernantka oglądała ze zdumieniem umeblowanie i przepych, który był bardziej na miejscu dla jakiejś księżnej, niż ubogiej nauczycielki. Zaskoczyło ją to, zwłaszcza ten przepych, ale przemilczała wszystko, nie wypowiadając głośno swych myśli.

— Nasza przechadzka skończona seniora — odezwał się ochmistrz. — Teraz możemy ostatecznie całą rzecz załatwić.

— Jestem na usługi.

Usiedli.

Niemka nie przeczuwała, że pokój ten był tylko tapetowaną ścianą przedzielony od mieszkania księcia. Sam książę zaś stał właśnie za ścianą i przez szparę zakrytą dobrze deseniem tapety nie spuszczał z niej oka.

— Muszę otwarcie wyznać, — zaczął mówić Kortejo, — że posiada pani me całkowite zaufanie. Szczególnie zachwyciła mnie pani wyjątkową sztuką, by tak od pierwszej chwili przywiązanie księżniczki Flory sobie zjednać.

— Księżniczka o ile zauważyłam, była trochę zbyt surowo wychowywana, takie dziecko trzeba dobrocią i serdecznością więcej prowadzić — wtrąciła guwernantka.

— Pani, jak spostrzegłem, lepiej to potrafi wykonać niż poprzedniczki, dlatego przyjmuję panią. Jakie jest pani zdanie?

Poczerwieniała z radości i rzekła:

— Co do mnie zgadzam się naturalnie i proszę tylko Boga, by mi użyczył sił, aby temu dziecku o ile możliwości zastąpić matkę.

Przy tych słowach zabłyszczała łza w jej oku i Kortejo także udawał wzruszenie poczym zapytał:

— Jakie są pani warunki pieniężne?

— Proszę o te same, jakie były dla moich poprzedniczek.

— One dostawały czterysta duros. Jednak dla pani wyznaczę pięćset, czy zgoda, seniorita? Z radości klasnęła w dłonie.

— Mój Boże, aż tyle? O jak to dobrze, będę mogła przynajmniej pomóc matce i rodzeństwu.

Kortejo potakiwał głową poważnie, przy czym jednak zdołał zauważyć kawałek palca zza tapety. Natychmiast zrozumiał ten znak i rzekł:

— Cieszy mnie bardzo, że na tak szlachetne cele chce pani obrócić swą pensję. Rozumiem także, że ta zmiana miejsca i stosunków, zmusza panią do niejednego niespodziewanego wydatku, więc pozwolę sobie jeszcze raz z prywatnej szkatuły księcia, jako osobny dodatek wręczyć pani dwieście duros. Naturalnie płacę za kwartał, otrzyma pani z góry i to zaraz.

Zaskoczona podniosła się:

— O mój Boże, czyż to możliwe? — zawołała ze zdziwieniem. — Co to za błogie uczucie, dawno go nie doznałam. Senior nie wiesz, jak to ciężko być biedną! Uczyniłeś pan nie tylko ze mnie osobę szczęśliwą, również i z moich najbliższych. Dziękuję panu z całego serca.

— To nie mnie należą się podziękowania, jutro będzie pani miała możliwość, przy okazji przedstawienia księciu, podziękować mu osobiście. Kiedy pani myśli objąć posadę?

— Kiedy pan sobie życzy?

— Proszę zacząć jutro rano. Każę pani rzeczy przenieść do nowego mieszkania.

— Jeszcze jedno pytanie — rzekła. — Jaki będę miała cenzus względem reszty służby?

— Książę jest wdowcem. Jada zawsze w swoim pokoju, a my, nie wyłączając pani razem z nim. Pani jesteś wychowawczynią a nie służącą, więc inni mają pani słuchać.

— Dziękuję.

— Ma pani jeszcze jakieś pytanie?

— Teraz nie. Jeżeli później mi się coś nasunie, to zwrócę się do pana.

— Bardzo proszę, jestem do dyspozycji.

Podniosła się by odejść, więc Kortejo odprowadził ją aż do bramy pałacu, po czym skłonił się grzecznie i powrócił.

Biegła raczej niż szła do domu. O takim szczęściu nie mogła nawet marzyć. Znowu stała mocno na nogach, czego mogła sobie jeszcze życzyć!

Przybywszy do domu bankiera chciała wpaść do swojego pokoju, po drodze spotkała jednak Sternaua właśnie wychodzącego. Staął i ze zdziwieniem spoglądał na jej opromienione szczęściem oblicze.

— Proszę na chwilę do mnie! — rzekła wesoło.

Poszedł za nią jeszcze bardziej zdziwiony tym niezwykłym zaproszeniem.

— Proszę zgadnąć skąd przychodzę!

— Zapewne prosto z nieba — odpowiedział.

— Dlaczego pan tak sądzi?

— Bo jest pani nad wyraz szczęśliwa.

— O tak, jestem szczęśliwa. Dostałam pracę. Proszę zgadnąć gdzie?

— Gdzie? To trudne zadanie. Może chodzi o wczorajszy anonś prasowy?

— Tak, to właśnie.

— Hm — zamruczał z dziwną miną.

— Skąd ta mina i ten pomruk?

— Bo nie mogę przypuścić, aby miejsce zaanonsowane we wszystkich trzech dziennikach było takie świetne, by być tak szczęśliwą, jak pani.

— A przecież tak jest. O! gdybyś pan tylko wiedział!

— Może się dowiem — zaśmiał się z jej entuzjazmu.

— Co za pensja!

— No ile? — spytał.

— Pięćset duros.

— To rzeczywiście dużo i to dopiero daje do myślenia...

— I dwieście duros jako zadatek, jako szczególne honorarium.

— Czy to prawda?

— Naturalnie — triumfowała.

Najchętniej by ją objął i przycisnął do piersi, tak pięknie w swym szczęściu wyglądała, tak czarująco świeciły się jej oczy, ale cała siłą woli zapanował nad sobą i postanowił zachować ostrożność, chcąc się głębiej nad wszystkim zastanowić.

— To nadzwyczajne, to bardzo dziwne. U kogo to miejsce?

— U jednego księcia.

— Atak, to co innego, to byłoby rzeczywiście niespodziane szczęście dla pani, panno Walser. Jak się nazywa ten książę, jeżeli wolno zapytać?

— Książę Olsunna.

— Ten, którego pałac jest w mieście?

— Tak.

Naraz zmienił zupełnie swą wesołą dotychczas twarz.

— Czy pani była tam? — pytał.

— Tak.

— Mówiła pani z samym księciem?

— Nie.

— Z kim więc?
— Z rządcą pałacu. Co się panu stało? Czemu się pan tak nagle zasepił?
— Panno Walser, najchętniej milczałbym o tych rzeczach i za nic w świecie nie przypominałbym tego, ale przychodzi chwila, która człowieka zmusza do podzielenia się z nią pewnymi obawami.

— Ale cóż takiego? Po co ten dziwny wstęp?

— Czy pani wierzy, że chcę tylko dobra pani?

— Jestem o tym przekonana.

— Dobrze, więc zacznę mówić szczerze i otwarcie. Czy pani widziała tego księcia?

— Nie.

— Ja go widziałem już kilka razy, jest to wysoki, silny, barczysty mężczyzna.

— No i co z tego? — zapytała.

Nie mogła zgadnąć do czego opis księcia miał służyć. Sternau ciągnął dalej:

— Nosi pełną, jasną brodę.

— Ależ, panie Sternau, dlaczego mi pan to wszystko mówi? Spodziewam się, że go jutro zobaczę.

Sternau, nie zważając na przerwę ciągnął:

— Niedawno byłem u złotnika, chcąc oddać pewien drobiazg do naprawy. Tam widziałem śliczny, brylantowy garnitur. Wysoka cena tego cacka zaciekała mnie, więc zapytałem o właściciela.

— No i dowiedział się pan, że księżę zamówił go, jeżeli się słusznie domyślam.

— Tak.

— Ale co to wszystko ma wspólnego z moją pracą?

— Nawet bardzo wiele. Kamienie były drogie i oprowione, całkiem innym sposobem, tak by każdy je zapamiętał. Wkrótce potem ujrzałem te kamienie i poznałem natychmiast.

— Gdzie? — pytała guwernantka.

— W pani pokoju.

— Pan żartuje?

— Niestety, mówię całkiem poważnie.

— W jaki sposób tak drogie i kosztowne kamienie mogły się znaleźć w moim pokoju?

— Widziałem je na ubraniu owego perskiego księcia, którego zrzuciłem ze schodów.

Guwernantka zmieszana się, teraz zrozumiała do czego służyło to całe opowiadanie.

— Pan pewnie się mylisz?

— O nie. Pers ów był także wysoki i silnie zbudowany, a spod maski, która sięgała tylko do połowy ust, spostrzegłem pełną, jasną brodę.

To ją rzeczywiście przestraszyło, gdyż sama dokładnie widziała tę jasną brodę i nawet czuła ją na twarzy.

— Więc pan myślisz? — zająknęła się.

— Że ten gburowaty bezwstydnik to nikt inny, jak księżę Olsunna.

— To niemożliwe.

— A ja uważam, że tak.

— Dlaczego więc mnie, jako guwernantkę do siebie przyjmuje?

— Pozostawiam pani samej to do wyjaśnienia. W pierwszym dniu poznaje się damę, w drugim zastanawia się nad tym, jakby ją pozyskać, na trzeci dzień anonsuje w prasie wolne miejsce pracy u siebie, które dama musi przeczytać, a na czwarty przyjmuje się ją pod tak świetnymi warunkami, że one same mogą się wydawać podejrzone. Piątego dnia przyjmuje owa dama miejsce, albo może myłę się?

— Nie, pan się nie mylisz.

— Więc już jutro rozpoczyna pani pracę?

— Tak.

— No, więc proszę, to cały prędko przebieg tej awantury. Nie mam wprawdzie prawa pani dawać rady lub wskazówek, ale jako obowiązek mój uważałem panią ostrzec, co też właśnie uczyniłem.

— Ale księcia nie ma tutaj wcale, on wyjechał.,

— Tak?

— Nie mogę przecież przypuszczać, by taki książę oddawał wychowanie swojego jedyne­go dziecka jakiejś nieznaney osobie tylko w tym celu, by potem...

Zamilkła rumieniąc się na to przypuszczenie. Właśnie w tej chwili zapukał ktoś do drzwi.

Na głośne „proszę wejść” wsunął się służący, którego już dwa razy widziała. Skłonił się przed nimi grzecznie i rzekł:

— Seniora, jestem przysłany przez ochmistrza księcia Olsunny, seniora Kortejo, by oddać pani ten list.

— Czy potrzebna odpowiedź?

— Nie, to wszystko.

Wyszedł. Guwernantka myślała, że koperta zawiera tylko list, lecz gdy otworzyła, wypadło jej na rękę kilka banknotów.

— Widzi pan co za grzeczni ludzie! — wołała z radością i poczęła liczyć.

— Czterysta duros — rzekł Sternau przypatrując się liczeniu.

— Oczekiwałam tylko trzysta dwadzieścia pięć — zauważyła.

— Tak, wyszukana grzeczność, przysyłają pani okrągłą sumę — zauważył z goryczą.

— Ależ, panie Starnau, książę nie rachuje tak, jak... Zapewne to, co więcej przysłał, potrąci mi przy najbliższej pensji. Ach, jestem tak nieskończenie szczęśliwa, że mogę teraz posłać mojej matce większą sumkę!

Zagryzł wargi.

— Życzę pani z całego serca, by nadal była pani szczęśliwa. Gdybym, miał prawo do pani, prosiłbym, by pani te pieniądze natychmiast zwróciła.

— Nie, panie Sternau, to nie uchodzi. Proszę sobie pomyśleć, co by o mnie powiedzieli. Dają mi tak świetne miejsce, zgadzam się, płacami zaliczkę, a ja w podzięce odmawiam. Nie, nie, to absolutnie nie uchodzi. Pan widzi za czarno, ja się nie boję niczego!

— Więc jutro pani opuszcza ten dom?

— Tak.

— I zrzeka się pani wszelkich praw do domu Salmonna?

— Tak.

— Ale pani ma jeszcze swoją pensję u niego.

— Pięćdziesiąt duros, oprócz tego co mi się za tych parę dni tego kwartału należy.

— Pozwala mi pani w swoim zastępstwie, pomówić z nim o tym?

— Proszę nawet o to, panie Sternau. Ja strasznie nie lubię takich układów.

— Pójdę zaraz do niego.

Wyszedł z pokoju, lecz na korytarzu przystanął, kładąc rękę na lewej piersi, jakby chciał uciszyć gwałtowne bicie serca i boleść, jaka mu się tam wpiła.

— Boże, ona idzie... tam... stracona! — szeptał sam do siebie. — Pieniądze ją olśniły i zaślepiły. A ja nie mam prawa ani środków, by ją wyratować! Och co to za nędza, co za męka!

Zszedł schodami na dół i wstąpił do kantoru. Przyjazne spojrzenia, jakie go tutaj spotkały, dały poznać, jak przez wszystkich był szanowany. Zapukał do ostatnich drzwi obitych żelazem, prowadzących do pokoju pryncypała.

Zaczekawszy na zaproszenie wszedł do środka.

— Czego pan chce? — rzekł bankier — Chyba nie znowu pieniędzy?

— Właśnie pieniądze — odrzekł Sternau sucho.

Salmonno ze strachu podskoczył z krzesła, otwierając szeroko usta.

— Czyś pan oszalał?

- Nie.
- Ależ pan już dostał swoje pieniądze!
- Całkiem słusznie, don Salmonno, nie chcę też moich!
- A czyich?
- Dziwi mnie, że pan pyta. Czy pan już zapomniał, że mnie pan prosił, powiedzieć seniorze Walser, by jak najprędzej opuściła pański dom?
- A tak! Hm! Ale pan nie chciał nic o tym wiedzieć, ani się tego podjąć.
- Tak, niestety mam lepsze serce jak język i nie potrafię niczyjej prośbie odmówić. Przeto po dłuższym zastanowieniu rozmyślałem się i w zastępstwie pana postanowiłem sam się w ogień rzucić, by sobie tylko wdzięczność pozyskać. Dlatego też rozmówiłem się z nią.
- Cóż powiedziała?
- Nie chce ustąpić.
- Musi!
- Kto ją zmusi?
- Ja ją po prostu wygonię!
- To pójdzie na policję, doniesie o pańskim postępowaniu i każe się przez dwadzieścia jeden tygodni w najlepszym hotelu umieścić i żywić, naturalnie na pański koszt.
- Usta bankiera otworzyły się jeszcze szerzej.
- Czy się ośmieli?
- Naturalnie. Prawo ją broni.
- O Boże, jacy wy Niemcy jesteście złymi ludźmi!
- A wy Hiszpanie skąpi! Co za pensję pobiera seniora Walser od pana?
- Dwieście duros.
- A więc kwartalnie pięćdziesiąt.
- Tak.
- Za bieżący kwartał jeszcze jej pan nic nie dał?
- Nie, przecież jeszcze się nie skończył.
- Wypowiedzenie jest kwartalne?
- Tak.
- Więc dodajmy wszystko, by się dowiedzieć ile ma prawo żądać, jeżeli ma natychmiast opuścić pana dom.
- No ile?
- Pięćdziesiąt duros za poprzedni kwartał, których jej pan jeszcze nie wypłaciłeś, nieprawdaż?
- Tak.
- Potem pięćdziesiąt duros za teraźniejszy kwartał i pięćdziesiąt za przyszły, według prawnego wypowiedzenia służby naprzód się należący, więc razem sto pięćdziesiąt.
- Diabli jej chyba wypłacą, nie ja.
- Proszę się tylko nie gorączkować! Wypłacić pan musi sam. Następnie musi pan przez pięć miesięcy płacić jej mieszkanie, wikt, opał i inne rzeczy, które należą do całkowitego utrzymania.
- Senior! — krzyknął bankier — Czy pan chce, żebym zwariował?
- O nie, chcę tylko być pomocnym w pozbyciu się jej, jako niemiłego gościa.
- Tak, więc co mi pan radzisz?
- Na ile pan liczy jej utrzymanie za jeden tydzień?
- Dwa duros.
- Ha, ha, to by musiał być ktoś inny, nie ona! Jeżeli przeprowadzi się na pański koszt do hotelu, musi pan za nią przynajmniej osiem do dziesięciu duros tygodniowo zapłacić. Ale powiedzmy tylko pięć. To robi za dwadzieścia jeden tygodni, sto pięć duros.
- Senior, ja pana wyrzucę.

— Nie mam nic przeciwko temu, tylko wątpię, czy to panu coś pomoże i czy guwernantka wtedy ustąpi. Pójdę teraz do niej i przekonam ją, by się zadowolila tylko pensją, utrzymania zaś za te dwadzieścia jeden tygodni, zrzeka się.

— Pensję sto pięćdziesiąt duros?

— Tak.

— Tyle nie dam.

— Dobrze, to zapłaci pan jeszcze o sto więcej, mnie to mało obchodzi. Proszę robić co się panu podoba.

Obrócił się na piętach i poszedł do drzwi już je otwierając.

— Stój pan! — krzyknął bankier. — Proszę jeszcze pozostać. Już dosyć się nazłościłem na tę guwernantkę, nie chcę nic więcej mieć z nią wspólnego. Myśli pan naprawdę, że ona jest to w stanie zrobić?

— Naturalnie. Ja na jej miejscu nie podarowałbym ani jednego duro, może pan być pewny.

— Tak, tak pan jesteś człowiekiem gwałtownym i bez serca. Nie powinienem właściwie panu powierzać wychowania mego syna. No, proszę tylko pójść do niej i powiedzieć jej, że dostanie te sto pięćdziesiąt duros, jeżeli zrzeknie się wynagrodzenia za dalsze utrzymanie.

— Proszę mi dać pieniądze.

— Ani mi się śni.

— Dlaczego nie, właśnie widokiem pieniędzy potrafię ją skłonić, do zapomnienia o pozostałych roszczeniach.

— O, nie, weźmie je i będzie się o resztę upominała.

— To dostanie je tylko pod warunkiem zgody.

— Bierze pan odpowiedzialność na siebie?

— Tak, ręczę za to.

— Dobrze, to dostanie pieniądze w wekslach.

— O z tego nic nie będzie, na to się nie zgodzi.

— Musi!

— Nie, z pewnością nie, żadna dama nie weźmie od pana weksli, bo nie umie sobie dać z tym rady.

— No to wypłacę w banknotach.

— Ja przyjmę tylko złoto albo srebro.

— Nie mam.

— Ha, no to nie mamy o czym więcej dogadać. *Adieu* don Salmonno!

Chwycił znowu za klamkę.

— Stój pan! Już pan dostaniesz, tylko czekaj pan. Straszny człowiek. Nie do wytrzymania.

Wypłacił całą sumę, Sternau wziął pieniądze i rzekł jeszcze.

— Jeszcze jedno, musi rewers podpisać, że ani ona do pana, ani pan do niej nie rości żadnych pretensji. Nieprawdaż, jak dbam o pana dobro?

— Ostrożny pan jesteś, to muszę panu przyznać, tu jest papier i proszę pisać.

— Muszą być dwa.

— Dlaczego?

— No, jeden dla niej a jeden dla pana.

— Niech i tak będzie.

Sternau wypełnił dwa egzemplarze, które bankier podpisał, poczym udał się na górę do mieszkania Walser. Zastał ją zajęłą pisaniem listu do matki.

— No, cóż pan wskórał? — spytała.

— Więcej niż myślałem, proszę. Położył jej pieniądze na stół.

— Sto pięćdziesiąt duros! — zawołała zdziwiona. — W jaki sposób pan aż tyle od niego wyciągnął?

— Naciągnąłem go trochę podstępem — odrzekł śmiejąc się — Proszę podpisać te rewery.

— Po co?

— Jak się dowie, że pani odchodzi na inną posadę gotów się jeszcze upominać o te pięćdziesiąt duros zapłacone naprzód. Tak przynajmniej zrzeka się wszelkich praw względem pani.

Podpisała.

— Jeden rewers proszę zatrzymać przy sobie, drugi dostanie Salmonno. Tak, a teraz mam wielką prośbę do pani. Chcę być z panią szczerą, tak jak z naszym Salmonnem, czy spełni ją pani?

— Jeżeli mogę, to tak.

— Dostała pani sumę, która tymczasem wystarczy pani najzupełniej na pokrycie potrzebnych wydatków.

— Najzupełniej, panie Sternau.

— Proszę dać mi te sto pięćdziesiąt duros! Potrzebuję ich bardzo i wypłacę pani jak tylko będę w stanie, albo kiedy pani ich będzie koniecznie potrzebowała.

Popatrzyła na niego ze zdziwieniem. Znała go przecież aż nadto i dobrze wiedziała, że coś innego się za tym kryje, bo nigdy dotąd ją o coś takiego nie prosił.

— Panie Sternau, pan naprawdę potrzebuje?

— Tak.

— Nie chcę pytać na co. Proszę, tutaj leżą. Mam przecucie, prawie wiem, dlaczego pan tę prośbę wypowiedział.

— Panno Walser, wszak jesteśmy rodakami, więc musimy się wzajemnie wspomagać.

Zadał sobie wiele trudu, by słowa te wypowiedzieć niedbałym tonem, jednak nie udało mu się, głos mu zadrzał i oczy poczęły mimo woli wilgotnieć.

Widok ten poruszył ją niezmiernie więc wyciągnęła do niego rękę i rzekła:

— Ja wiem dobrze i jestem mocno przekonana, że pan tylko moje dobro ma na myśli. Ja będę pana zawsze szanowała.

— Czy wspomni mnie pani kiedyś.

— O, z pewnością.

— I przyjdzie pani do mnie, jeżeli będzie pani potrzebowała rady lub przyjacielskiej pomocy?

— Przyrzekam panu.

— To proszę pozwolić, że teraz panią pożegnam.

— Dlaczego zaraz, dlaczego nie jutro, gdy ja będę odchodziła, panie Sternau?

— Sądzę, że mnie jutro nie będzie w domu. Proszę przyjąć moje najszczerze życzenia co do nowego miejsca pracy. Niech Bóg panią broni przed wszelkim rozczarowaniem i niechaj się to nowe przedsięwzięcie, tylko ku dobremu obróci. Bądź pani zdrowa.

Złapał gorączkowo jej rękę, przycisnął do piersi i warg, a potem pospiesznie się oddalił.

Pozostała sama. Opanowało ją jakieś dziwne uczucie trwogi, jakby żal, że nie zasięgnawszy wcześniej jego rady przyjęła to miejsce i wbrew jego wskazówkom zatrzymała przysłane pieniądze. Starła się zapanować nad tym uczuciem, ale nie udało się jej. Cały wieczór; ten ostami w domu Salmonna, spędziła samotnie. Nawet w nocy nie zaznała spokoju i długo przewracała się w łóżku.

Następnego poranka wstała dziwnie znużona jakby cała jej ufność w siebie i chęć życia uciekły.

Już przed południem zjawili się kilku służących księcia, by przenieść jej rzeczy do pałacu, a niedługo potem zatrzymał się przed bramą domu powóz, specjalnie po nią przysłany. Przedtem pożegnała się z bankierem, więc wsiadła doń gotowa do drogi. Jeszcze jedno spojrzenie rzuciła w górę lecz nie ujrzała Sternaua, dopiero gdy powtórnie, już ruszając z miejsca w tył za siebie się oglądnęła, ujrzała jego postać jakoś dziwnie załamana. Stał na balkonie, na tym samym skąd ją obserwował, gdy rzuciła kokardę.

Patrzył długo za nią błędnym okiem. Ten powóz z herbem książęcym zabrał mu jego szczęście, jego wszystko...

Kiedy zajęła przed pałac, czekał na nią rządcą domu, który ją poprowadził do pokoi i wyznaczył dla niej służącą. Wpakowała prędko swoje kufry, po czym udała się prosto do pokoi małej księżniczki. W pokoju zastała tylko bonę, wyciągnęła więc do niej rękę i rzekła:

— Proszę, zostańmy przyjaciółkami, seniorita! Los nas złączył, więc żyjmy w zgodzie i pracujmy wspólnie sobie pomagając.

Bona była małą drażliwą Francuzką. Zrobiła zgryźliwą minę i udała, jakby nie spostrzegła wyciągniętej ręki.

— Ależ seniorita, cóż ja pani uczyniłam? — spytała guwernantka.

— Ja pani nie lubię! — brzmiała groźna odpowiedź.

— Dlaczego?

— Nie powinnam pani powiedzieć dlaczego, ale jednak powiem. Pani wyrugowała z miejsca, moją przyjaciółkę.

— Którą przyjaciółkę?

— Pannę Charoy, poprzednią guwernantkę.

— Ale ja tej pani przecież nie wyrugowałam.

— Tak, musiała przez panią zrezygnować z pracy.

— To nie może być prawda. Sama dobrowolnie podziękowała za posadę, z powodu śmierci w rodzinie.

— Któż to pani powiedział?

— Pan rządcą.

— Ten kłamca, ten lis, ten Kortejo? Ha, ha, ha! To dlatego zakazał mi cokolwiek mówić.

— Jak to się stało?

— Przyszedł do *mademoiselle* Charoy i powiedział, że na krótki czas musi przyjść inna guwernantka, więc ona dostanie urlop oraz pensję, by mogła pojechać do rodziców i wypocząć trochę. Potem zjawiła się pani i dostała apartamenty zmarłej księżnej, jako swoje mieszkanie. Pokoje przylegające bezpośrednio do pokoi księcia. Dlaczego to nie wyznaczyli pani mieszkania guwernantki? O, łatwo można się domyśleć co to ma znaczyć!

Guwernantka zbladła jak płótno, dreszcz przebiegł po jej ciele, czyżby Sternau miał rację w swoich przypuszczeniach? Siłąc się na spokój, o ile to było możliwe odrzekła:

— Proszę seniora, powiedz mi pani swoje nazwisko.

— Nazywam się Jeanette. Proszę mi nie mówić seniora, jestem Francuzką.

— Dobrze, *mademoiselle* Jeanette, proszę tylko chwilę spokojnie i bez goryczy mnie wysłuchać. Boli mnie to bardzo, że ten przyjazny stosunek pani z *mademoiselle* Charoy rozerwałam, ale zupełnie nieświadomie i bez mojej winy. Przeczytałam w gazecie, że poszukują guwernantki, więc zgłosiłam się i zostałam przyjęta, oto cały przebieg.

— Więc pani nie wiedziała u kogo jest wolne miejsce?

— Nie. Proszę być względem mnie szczerą, żebym mogła przyjaźń pani pozyskać i naprawić zło, które nieświadomie uczyniłam. Proszę mi otwarcie powiedzieć, kiedy książę wróci z podróży?

— Książę, z podróży? On przecież nigdzie nie wyjeżdżał.

— A wczoraj, jak tu byłam?

— Wczoraj cały czas przebywał w swoich pokojach.

— Boże, to mnie okłamali! I moje mieszkanie rzeczywiście bezpośrednio przylega do jego pokoi?

— Bezpośrednio.

— Proszę pozwolić jeszcze na jedno pytanie. Gdzie był książę pierwszego dnia karnawału?

— Tego nie wiem. Wyszedł na miasto w kostiumie.

— Jakim?

— Był przebrany za perskiego księcia.

— Dziękuję bardzo, *mademoiselle*. Jestem przekonana, że będziemy jeszcze dobrymi przyjaciółkami. Przekona się pani, że mnie niesłusznie osądziłaś. Gdzie jest nasza mała, księżniczka?

— W tym czasie jest zawsze u księcia.

— Kiedy będzie ją można zobaczyć?

— W każdym razie niedługo.

— Więc przyjdę za chwilę.

Udała się do swoich pokoi. Cała radość znikła jej z oblicza i to zaraz, w pierwszym dniu. Co miała robić? Czy opuścić pałac? Oddać pieniądze, z który większość wysłała już do matki. Albo pójść do Sternaua i przyznać mu rację, przyznać, że jego przypuszczenia się sprawdziły? O nie! Dowodów jeszcze nie miała. Chciała uczynić co uzna za stosowne i zobaczyć co przyszłość przyniesie.

Najpierw poddała baczemu badaniu swój pokój sypialny. Przez pukanie przekonała się, że tylko tapetowane drzwi dzieliły ten od pokoi księcia, że cała ściana owego pokoju, w którym wczoraj rozmawiała z Kortejo przedzielona jest cienkimi deseczkami, zakrytymi tylko tapetą. Jak łatwo przez szparę mógł ją śledzić, a nawet do niej się dostać. Musiała prędko działać. Jej postanowienie było niezłomne.

Była jeszcze pogrążona w rozmyślanii, gdy wszedł służący i oznajmił, że księżę sobie życzy z nią mówić, szybko udała się za nim do komnat księcia.

Księżę siedział w bogato rzeźbionym fotelu, trzymając w rękach rozwiniętą gazetę.

Tak, to ta sama postać, ten sam jasny, pełny zarost, który tak natarczywie muskał jej policzki, broda była trochę przycięta, widocznie z obawy, by go nie zdradziła.

Guwernantka skłoniła się, ale bez żenady. W postaci jej i twarzy nie można było ujrzyć ani śladu niepewności i zakłopotania, jakie zwykle napadają ludzi, gdy się znajdują w obecności takiego magnata. Widziała w księciu owe domino, które tak sromotnie po schodach zrzucone zostało przez Sternaua. Jakaś dziwna siła i odwaga wstąpiły w jej serce.

— Seniorita Walser? — zapytał księżę.

Skłoniła głową na znak odpowiedzi. Tak, to ten głos słyszała w swym pokoju.

— Mój zarządca doniósł mi właśnie po moim powrocie z drogi, że przyjął panią, jako guwernantkę dla mojej córki.

Przerwał, jak gdyby wyczekiwał na pokorne potwierdzenie, lecz zamiast tego usłyszał wcale nie pokorne, a nawet zbyt śmiałe pytanie:

— Czy wolno zapytać, dokąd jaśnie pan wyjeżdża?

Popatrzył zdziwiony w najwyższym stopniu. Na to się jeszcze nikt z jego ludzi nie odważył.

— Dlaczego? — zapytał ostro.

— Bo przypuszczam, że ta wielka podróż odbyta została tylko do pańskich pokoi.

— Do diaska! — zawołał. — Cóż to ma znaczyć?

— Że poznaję w osobie księcia owego Persa, który mi w karnawale taką niemiłą złożył wizytę.

Zaniemówił ze zadziwienia. On, księżę, dygnitarz, a to mała, biedna guwernantka. Miał się zapierać? Nie!

— Seniorita, — rzekł głosem tak uroczystym, jakby chciał prawić kazanie. — Czy pani słyszała, że Harun al Raszid bawił się w Bagdadzie?

— Tak.

— Że Fryderyk Wielki to samo czynił?

— Tak, ale nie w Bagdadzie.

Puścił tę uwagę mimo uszu i ciągnął dalej:

— Tak samo Józef II, Napoleon i wszyscy znaczni książęta. I ja to uczyniłem pierwszego dnia karnawału. W ów dzień zacierają się różnice stanów i jeżeli panią, jako prywatny człowiek

obrażem, chciałem po ksiąźcemu za to wynagrodzić. Wybrałem panią przeto na guwernantkę mojego dziecka. Teraz pani rozumie?

Skłoniła się, lecz twarz jej była tak zimna i obojętna, że żaden rys nie zdradzał myśli snujących się po jej głowie.

— Pani, — mówił dalej — przyjąłś ofiarowane jej miejsce i sędzę, że się nie zawiodę w zaufaniu, jakie w niej położyłem. Co do godzin nauki i jej planu jej, pomówimy później. Teraz chciałem tylko zatwierdzić rozporządzenia mego zarządcy i spytać, czy ma pani jeszcze jakieś życzenie?

— O tak, mam jedną prośbę, którą pozwolę sobie przedłożyć.

— Słucham.

— Ja proszę jaśnie pana, bym mogła dostać te pokoje, które przedtem zajmowała *mademoiselle* Charoy.

— Dlaczego?

— Bo myślę, że położenie i urządzenie ich jest bardziej odpowiednie dla mego stanowiska.

— Więc nie podobają się pani przeznaczone dlań pokoje?

— Nie jestem przyzwyczajona do takiej wygody i przepychu, więc mnie to onieśmiela i trwoży.

Książę gryzł wargi ze złości i oczy iskrzyły mu się, zapanował jednak nad sobą i odrzekł:

— To jest rzeczą zarządcy. Proszę się więc do niego zwrócić. Czy jeszcze ma mi pani coś dopowiedzenia?

— Muszę jeszcze wywiązać się ze swoich obowiązków i złożyć panu podziękowania, iż jego hojność pozwoliła mi wspomóc rodzinę w ojczyźnie. Dołożę wszelkich starań, by okazać się godną tej łaski, by wiernością i starannością mojej pracy, zadanie jakie mi przypada w udziale, bez błędu i dokładnie wypełnić.

Szeroka dłoń księcia, zmięta papier gazety niecierpliwie i ze złością. Jednak pohamował się i odrzekł możliwie obojętnie:

— Spodziewam się tego, może się pani oddalić!

Skłoniła się i wyszła. Zaledwie zamknęła za sobą drzwi, książę podskoczył jak zraniony tygrys i zaciskając obie pięści krzyknął:

— Kortejo!

Drzwi od bocznego pokoju były tylko przymknięte, za nimi stał Kortejo, postawiony tam przez księcia, który chciał mieć go za świadka swego triumfu.

Natychmiast wpadł do pokoju.

— No, co powiesz na to? — zapytał książę.

— Nie mogę jeszcze przyjść do siebie.

— Ja także, do wszystkich diabłów, ja także!

— Taka mała osóbką!

— Prawdziwa kocica.

— Mały diabeł, nic innego.

— Czarownica istna! Coś podobnego jeszcze mi się w życiu nie zdarzyło, można zwyczajnie zwariować — chodził po komnacie wielkimi gwałtownymi krokami. — Po prostu jakby mi dała w twarz, tym wyjazdem do moich pokoi.

— A do tego ta uroczysta mowa, tracąca przy końcu ironią! — zauważył Kortejo.

— Ta dziewczyna ma w sobie coś.

— Jaszczurka prawdziwa.

— Trwoży ją przepych w jej obecnym mieszkaniu, czyż nie dość jasno się wyraziła?

— Warto ją ukarać.

— Głupstwo, ona jest jedyna, paradna, właśnie ten opór mi się podoba. Teraz ją dziesięć razy więcej pożądam, niż przedtem. Ja muszę ją mieć, słyszysz Kortejo, muszę!

— Wszak już ją mamy.

— Milcz. Co ty tam wiesz o miłości. Czym twoja utuczona Klarysa naprzeciw tego złośliwego anioła...! Ale skąd ona może o tym wszystkim wiedzieć?

— Że jaśnie pan nie wyjechał?

— Że ja byłem tym Persem. Musi mi wszystko wyznać. O te Niemki to wyjątkowo zgryźliwe kobietki. Kortejo, pod żadnym warunkiem nie możesz zgodzić się na przeprowadzenie. Ja, na to nie pozwolę.

Coś zaskrobało do drzwi.

— Kto, tam! — krzyknął książę. Lokaj wcisnął się do środka.

— Proszę wybaczyć. Seniorita Walser chciałyby się widzieć z panem zarządcą.

Kortejo patrzył na księcia, dopiero gdy ten kiwnął głową i kazał lokajowi przyprowadzić ją do swego mieszkania.

— Ale ona prosi pana rządcę do swego mieszkania — zauważył sługa.

— A tak, hm, dobrze, zaraz przyjdę.

Służący odszedł, a książę zaśmiał na całe gardło.

— Znakomicie. Pan rządcza musi do niej iść, zamiast ona do niej.

— Guwernanteczka — zauważył Kortejo ze złością.

— Guwernanteczka, ale kobieta, trudno o drugą, taką samą. Widać dumną Niemkę. Hiszpanka poczytałaby sobie za zaszczyt, gdyby się nią zajął książę Olsunno, a ta mała broni się jak jastrząb. To mi duch, to charakter i energia! Zobacz czego chce. Oczekuję cię zaraz z powrotem.

Gdy Kortejo zjawił się w jej mieszkaniu była właśnie zajęta pakowaniem swych kufrów. Obróciła się i wyprostowawszy, poczęła mówić z prośbą:

— Proszę wybaczyć, panie rządczo, że nie przyszedłam do pana. Ale to co mam do powiedzenia, musi być wypowiedziane i załatwione tutaj.

— Dlaczego?

— Bo to dotyczy tych pokoi.

— Jak słyszałem, była już pani u księcia?

— Tak, ale on mnie odprawił do pana.

— W jakiej sprawie?

— Prosiłam o pozwolenie zmiany mego terazniejszego mieszkania, na mieszkanie poprzedniej guwernantki.

— To nie jest możliwe, seniorita.

— Czy mogę zapytać dlaczego?

— Dawne mieszkanie guwernantki jest zupełnie na coś innego przeznaczone.

— No, to może się znajdzie jakiś inny kącik dla mnie. Tutaj absolutnie nie mogę zostać.

— A z jakiej to przyczyny? — pytał zniecierpliwiony.

— Przyczyna jest bardzo osobliwa. Słyszysz pan odgłos tych desek, w które pukam, widzi pan te szpary w deseni tapety, a tam dalej zna pan te drzwi tapetowane? Jest oczywiste, że tu nie może mieszkać żadna dama. Jestem przekonana, że nas wczoraj podglądano podczas naszej rozmowy w tym pokoju.

— Ależ po tamtej stronie mieszka sam książę, absolutnie nikt inny.

— To wszystko jedno. Żadna panna nie pozwoli się podglądać, nawet księciu! Proszę całkiem stanowczo o inne mieszkanie, panie rządczo zamku.

— Kiedy nie mam innego!

— Ha, to bardzo mi przykro, ale muszę zrezygnować z mojej posady.

Zostawiła go stojącego na tym samym miejscu, sama zaś schyliła się i poczęła dalej pakować swe rzeczy.

— Ależ seniorito, przecież to... to... nie mówi pani chyba tego poważnie? — pytał zakłopotany.

— Mogę panu dać słowo, że w pół godziny opuszczam pałac.

— Czy pani oszalała? Zmusza mnie pani, bym rzeczywiście w tej sprawie zasięgnął opinii księcia.

— Proszę to uczynić ale prędko, bo jak powiedziałam za pół godziny mnie już pan w zamku nie zastanie.

— Już biegnę, tak długo nie dam pani czekać.

Pobiegł jak bomba do księcia. Tak energicznej guwernantki jeszcze nigdy nie spotkał.

— Cóż? — spytał księżę.

— Pakuje się — brzmiała szybka odpowiedź.

— Pakuje się? Gdzie, dokąd?

— Zagroziła, że jeżeli w pół godziny nie dostanie innego mieszkania opuszcza zamek.

— To nie żart?

— Nie, to poważna sprawa. Kiedy jej odmówiłem, nie chciała nawet na mnie spojrzeć. Odkryła szparę w ścianie i tapetowe drzwi.

— Co robić?

— Nie osmielam się radzić, gdyż z nią, jak mi się zdaje nie ma co żartować.

— Ha! Nie pozostaje więc nic innego, tylko trzeba jej dać dawne mieszkanie guwernantki.

— Mam jej to przekazać?

— Tak, a spiesz się, bo ona naprawdę gotowa uciec z zamku nim przyjdiesz.

Kortejo powrócił z pośpiechem do nauczycielki. Właśnie zamykała ostatni kufer.

— Seniora — recytował jednym tchem. — Księżę zgodził się na małe przestawienie i pozwolił spełnić jej życzenie. Dostanie pani zaraz mieszkanie dawnej guwernantki, swej poprzedniczki.

— Dziękuję. Mogę je oglądnąć?

— Za moment. Już biegnę po klucz?

Rzeczywiście za pięć minut zjawił się z powrotem z kluczem w ręce i poprowadził ją do nowego mieszkania. Składało się ono z trzech małych pokoików, których okna wychodziły na ogród. Nie było tu znać żadnej wytworkości, skromnie, ale ze smakiem umeblowane, podobały się jej o wiele więcej niż poprzedni przepych.

— Czy zadowala to panią? — pytał.

— Najzupelniej. Bardzo mi się podobają — odrzekła. — Czy mogę się dowiedzieć, kto mieszka obok?

— Po prawej stronie bona, a po lewej jest moje mieszkanie. Zauważył, że rzuciła badawczym okiem na lewą ścianę, więc odparł z uśmiechem:

— Proszę się nie obawiać, seniora; tu nie ma ani niedyskretnych dziurek, ani tapetowanych drzwi.

Nie zareagowała na tę uwagę, tylko zapytała:

— Więc mogę się tu sprowadzić?

— Tak.

— Zaraz?

— Zaraz.

— Ma pan mi jeszcze coś do powiedzenia?

— Obecnie nie.

— Więc jeżeli będę coś potrzebowała zwrócę się do pana. *Adieu*, panie rządco!

Skłoniła się, więc nie pozostało mu nic innego jak również ją pożegnać.

— *Adieu* seniora! Nie pojmuję wprawdzie wielu rzeczy w pani postępowaniu, ale myślę, że w przyszłości lepiej się zrozumiemy, niż teraz. Sądzę, że z czasem lepiej się poznamy.

Nie odpowiedziała nic, więc skłonił się i wyszedł, dążąc wprost do księcia.

— No i cóż, zadowolona? — spytał księżę.

— Zdaje się, jaśnie panie, że tak, ale to diabeł nie kobieta, za pozwoleniem.

— Dlaczego?

— Książę sam to przed chwilą poznał, obecnie zaś ze mną postępowała, jakby ona była królową, a ja jej służącym. Nie sądzę, by za zaszczyt poczyniła sobie zostanie kochanką księcia Olsunny.

— To się zrobi z czasem. Tymczasowo masz dwie rzeczy do załatwienia.

— Co takiego?

— Najpierw musi być zmieniony zamek do jej drzwi.

— Ach!

— Mianowicie na taki, do którego ja będę miał drugi klucz, a klucz ten nie tylko zamek, ale i zasuwkę zarazem otwierać będzie, tak żebym mógł wejść do niej, kiedy tylko zechcę, pomimo że zasunie rygiel.

— To da się zrobić.

— Ale tak, aby tego nie spostrzegła. Rozumiesz?

— Najzupełniej — odrzekł Kortejo ze swym skrytym uśmiechem. — A to drugie co mam załatwić?

— Czy wierzysz w napoje miłosne?

— Nie.

— Powiadają powszechnie, że są niektórzy ludzie, którzy się znają na przygotowaniu podobnych trunków.

— Tak, powiadają, ale ja nie wierzę, że to prawda. Zresztą rozchodzi się o to, co się rozumie pod tym „miłosnym trunkiem”.

— No, a co ty przez to rozumiesz?

— Ja sądzę, że to jest lekarstwo, które podane jakiejś osobie, zmusza ją do pokochania tego, który je podał.

— Ja myślę tak samo. Więc nie wierzysz, by taki środek istniał, Kortejo?

— Nie.

— Ale przecież często słyszałem o lekarzach, Cyganach, czarownicach, kabalistkach, którzy podobne trunki przyrządzali i podawali. Musi być w tym część prawdy.

— O tym nie wiem. Ci ludzie umieją przyrządzać środki służące do spotęgowania zmysłów, jednak środki te nie są w stanie obudzić prawdziwej, dłuższej miłości. Działają tylko chwilowo, drażniąc nerwy do szaleństwa prawie, jednak prędko to przechodzi, poczym następuje odwrotna reakcja i wręcz obrzydzenie. Takie napoje można rzeczywiście dostać.

— U kogo?

— Tego nie wiem, czy mam się dowiedzieć?

— Tak, tylko skrycie.

— Tymczasowo książę da jej spokój?

— Naturalnie, trzeba uspić jej podejrzenie uspić.

— Ale ona zechce wskazówek co do swych obowiązków i to dokładnych.

— Ty jej je podasz. Polegam na tobie i rozporządzenia w tym względzie dane, potwierdzą.

Taką rozmowę prowadzili ci dwaj mężowie honoru, te dwa zepsute na wskroś charaktery, o wyuzdanych namiętnościach, nie wzdrygające się nawet przed zbrodnią. Guwernantka stała tuż nad przepaścią, z której kochająca ręka Sternaua chciała ją wyrwać, jednak sama ją odtrąciła.

Zaraz na drugi dzień rozpoczęła swe obowiązki z całą energią, przepisy i rozporządzenia księcia co do edukacji otrzymała od rządcy. Z każdym dniem rosło przywiązanie małej księżniczki do nowej guwernantki, nawet i bona z czasem stawała się przyjaźniejsza i rozmowniejsza.

Tak minęło czternaście dni. Nagle otrzymała rozkaz, aby towarzyszyć księżniczce podczas spaceru powozem, razem z jej ojcem. Cóż jej pozostawało? Musiała usłuchać. Przejazdka prowadziła przez miasto i przedmieścia. Książę siedział na przedzie, podczas, gdy tylne siedzenie było zajęte przez nią i małą księżniczkę. Jak tylko oddalili się za miasto rozkazał jej

przysiąc się do siebie. Powiedział to tak stanowczym i rozkazującym tonem, że nie śmiała się opierać. Gdy poczuł tylko jej obecność koło siebie wziął ją za rękę i rzekł:

— Seniora, właśnie wybrałem tę chwilę, by pani powiedzieć, że pozyskała pani moje całkowite zaufanie.

— To był cel, jaki sobie postawiałam — odrzekła.

Chciała wycofać swą rękę, ale nie udało jej się, za silnie ją trzymał.

— Umiała pani sobie zdobyć serce swojej uczennicy, — ciągnął dalej — to już wiele znaczy. Może uda się i reszta, że i innym sercem pani zawładnie.

Przy tych słowach chciał pocałować jej rękę, lecz szybko ją wyrwał. Księżniczka Flora, poczęła być niespokojna, widząc to szamotanie.

— Papa, ty nic złego nie uczynisz seniorze Walser — rzekła z nadąsaną minką.

— O nie, nic złego — rzekł uspakajając córkę.

— Ja ją bardzo lubię — zapewniało dziecko.

— Ja także — odrzekł, starając się ponownie uchwycić rękę guwernantki.

— Papo, nie dotykaj seniory Walser — rzekło dziecko.

— Dlaczego?

— Bo my się ciebie boimy.

Zaśmiał się.

— Do tego nie macie najmniejszego powodu.

Starał się objąć jej kibić.

— Juan — zawołała na stangreta. — Natychmiast zawracaj!

Stangret posłuchał myśląc, że to życzenie księcia, choć powiedziane przez guwernantkę. Ten jednak zmarszczył groźnie czoło i łapiąc się z gniewem za gęstą brodę, rzekł ostro:

— Pani zapomina kim jest?

Uśmiechnęła się spokojnie i z miną pewną siebie odrzekła:

— Właśnie myślę, że dałam dowód, iż doskonale wiem kim jestem.

— Więc pani chce prowadzić walkę, seniora?

— Walkę, dlaczego, po co?

— Kto chce coś zdobyć, musi walczyć, jeżeli przeciwnik się dobrowolnie nie poddaje.

— Przeciwnik może uniknąć walki, pomimo tego nie potrzebuje się poddać.

— W jaki sposób, proszę to wytłumaczyć.

— Potrzebuje tylko uciec z pola walki.

— A jeżeli jest zamknięty i osaczony ze wszystkich stron? Wtedy przecież musi się poddać.

— Nie sędzę. Może liczyć na pomoc obcych potęg. Zresztą, jaśnie panie nie widzę żadnej potrzeby sprzecznania się. Ja mam się zajmować wychowaniem księżniczki Flory i to zadanie wypełniam. Ale nic po za to nie uczynię, bo tylko to jest moim obowiązkiem. O innych czynnościach przy dziecku wspominać nawet nie wypada.

Umilkła i on również, jechali dalszy czas w milczeniu. Tylko przy wysiadaniu rzucił na nią takim wzrokiem, że cała zadrżała.

Zaledwie przestąpił próg swego pokoju, kazał natychmiast wołać do siebie rządcę.

— Czyś się dowiedział? — pytał wzburzony.

— O czym?

— A prawda, nie przypuszczałem, że nie możesz wiedzieć, o czym myślałem. Mam na myśl ten cudowny napój.

— Tak, dowiadywałem się.

— No i co?

— Może mi się udać ten środek otrzymać, ale...

— No, co to za ale?

— Jest bardzo drogi.

— Ile?

— Pięćdziesiąt duros.
— Gałganie!
— Inaczej nie dostanę.
— Od kogo?
— Od jednej starej Cyganki.
— Mogę mieć dzisiaj?
— Nie, tak prędko nie.
— Kiedy więc?
— Jutro.
— O której godzinie? Muszę jej jeszcze dać to zażyć.
— W godzinę po zapadnięciu zmroku.
— Dobrze, polegam na tobie. Pięćdziesiąt duros dostaniesz, chociaż jestem przekonany, że ani pięć cię nie kosztuje. Ta dumna nauczycielka jest warta takiej ofiary, dałbym nawet o wiele więcej.

Zarba przychodziła do Korteja, w przebraniu chłopaka, prawie każdego wieczora. Uległa mu we wszystkim, spełniała wszystkie jego życzenia, jakich wypełnienie leżało w jej mocy, więc mówił jej także, że mu ten napój podniecający jest bardzo potrzebny i prosił ją już o to. Jak tylko się zjawiła tego samego dnia wieczorem i gdy siedzieli sami w pokoju obok siebie, zapytał ją:

— Czy już mówiłaś o tym napoju miłosnym ze swą matką?
— Mówiłam.
— Czy potrafi go przyrządzić?
— Ona wszystko potrafi, ona zna każdy kwiat, każdą roślinę, każde zioło i lekarstwo, zna środki przeciwko wszystkim słabościom i kalectwom i umie także napój miłosny przygotować.
— Czy mówiła ci to?
— Naturalnie, ona nie ma przede mną żadnej tajemnicy.
— Ach, to i ja się dowiem, jak to się robi.
— Nie.
— Nie? Dlaczego?
— Nie mogę ci powiedzieć. Tajemnice Cyganów nie mogą być zdradzone, mogłabym ci tylko wtedy powiedzieć, gdybym żoną twoją została.
— Głuptasku! — rzekł całując ją — Przecież ci mówiłem, że się z tobą ożenię.
— Tak, ale się jeszcze nie ożeniłeś.
— Poczekaj jeszcze rok, a wówczas z pewnością zostaniesz moją żoną. Ale tego napoju potrzebuję koniecznie już teraz. Prawda, że mi powiesz, jak się to robi?
— Powiem ci dopiero, jak będziesz moim prawdziwym mężem.
— Ty mnie nie kochasz — droczył się.
— W to, to ty sam nie wierzysz. Masz przecież niezbite dowody, że cię kocham.
— No, ale przynajmniej gotowy napój dostanę od ciebie? Pomimo, że mi recepty nie powiesz?
— Może.
— Jak, dlaczego może?
— Muszę wiedzieć dla kogo on jest.
— Tego nie mogę powiedzieć.
— Tak, to może dla ciebie?
— Nie. Ja przecież mam ciebie, a ty nie jesteś tak sroga, bym aż napoju musiał używać.
— Więc zapewne dla kogoś innego.
— Tak.
— Dla kogo?
— Nie mogę zdradzić nazwiska.

— To nie dostaniesz napoju.
— Jesteś okrutna — mówi już gniewnie.
— To dopiero pierwsza twa prośba, której odmawiam.
— A dlaczego właśnie jej?
— Bo muszę się zastosować do praw panujących wśród Gitanów.
— Ha! A jak ci wymienię nazwisko, to nie zdradzisz go potem nikomu?
— Ależ absolutnie nie.
— Dobrze, potrzebuję dla samego księcia.
— Dla księcia? — pytała zdziwiona. — Komu ma, być ten napój podany.
— Tego to już nie wiem!
— Rzeczywiście nie wiesz?
— Niestety. Książę nie chciał mi powiedzieć, a wiesz przecież, że takiego wielkiego pana nie można zmusić do powiedzenia prawdy. Zarba uwierzyła w to kłamstwo, jednak namyślając się głęboko rzekła:
— Ale ten środek nie działa na zawsze.
— Nie? A na jak długo?
— Na kilka godzin.
— Jak, go się bierze?
— To są bezbarwne krople, ale o ostrym smaku. Bierze się ich pięć do wody, kawy lub herbaty i za godzinę poczynają działać.
— Więc wystarasz mi się o nie?
— Wystaram.
— Na jutro?
— Jutro już?
— Tak jutro. Potrzebuję najpóźniej godzinę po zapadnięciu zmroku. Będę mógł je dostać?
— Dobrze, dostaniesz je, ale biada ci jeżeli ich sam użyjesz!
Dotrzymała słowa. Wieczorem, następnego dnia, zaraz po zapadnięciu zmroku zjawiła się w jego mieszkaniu i wręczyła mu małą flaszeczkę.
— Tu masz! — rzekła. — Są silne i niezawodnie wywrą skutek.
— Ile kosztują?
— Nic.
— Czekaj tu na mnie, zaniosę je prędko księciu.
Wyszedł. Książę czekał już na niego z największą niecierpliwością.
— Dotrzymałeś słowa?
— Tak jest. Oto napój.
— Dawaj go!
— Czy uda się, jego książęca wysokość?
— Jeżeli tylko środek jest dobry, to się uda. Guwernantka właśnie siedzi teraz w pokoju muzycznym, więc potrzebuję tylko wskoczyć do jej mieszkania i wlać do mleka, które zawsze wieczorem pije, parę kropel. Tymczasem staniesz na korytarzu i będziesz uważał, żeby mnie nie zaskoczyła.
Ohydna zbrodnia udała się tym łotrom. Guwernantka powróciła niedługo do swego mieszkania i otworzywszy je, nałała sobie szklankę mleka, poczym wypiwszy, położyła się spać.
Książę udał się tymczasem do ogrodu, by ją podpatrywać. Jak tylko zgasiła światło, przeczekał godzinę, po czym podszedł do jej drzwi, otworzył drugim kluczem i zamknął na powrót. Słyszał jak w drugim pokoju w niespokojnym śnie przewracała się guwernantka na swoim łóżku, wzdychając półgłosem. Po cichu wkradł się do środka.
Tymczasem Zarba bawiła ciągle u swego kochanka. Była przyzwyczajona odchodzić dopiero przed świtem. Gdy więc już zaczęło szarzeć, umocowała linkę u okna, po której się

zawsze na dół spuszczała i miała właśnie zamiar go opuścić, gdy ktoś po cichu do drzwi zapukał!

— Do diabła! — wyszeptał Kortejo. — Kto to może być?

— Może księżę? — rzekła.

— Zapewne.

— Musisz otworzyć.

— Naturalnie, pewnie coś pilnego.

— No to idź, ja tymczasem poczekam.

Kortejo udał się do przedpokoju i po cichu otworzył drzwi i ujrzał księcia bladego jak trup.

— A ty jeszcze się nie... nie położyłeś? — rzekł księżę. — Powiadam ci to straszne.

— Co? — spytał rządcą z niepokojem.

— Okropne! — powtórzył księżę rzucając się na fotel.

— Jaśnie pan mnie przestraszył, co jest okropne? Co się stało?

— Niech to wszyscy diabli wezmą, tę historię, to dopiero będzie jutro krzyk.

— Ależ dlaczego? Co nowego?

— Kortejo, co ja zrobiłem?

— Albo ja wiem, nie mam pojęcia o co się rozchodzi. Czy środek zadziałał?

— O, aż za dobrze, ale potem...

— Potem?

— Potem jak środek przestał działać, wstała z łóżka i z zimną krwią wbiła sobie nóż w piersi.

Kortejo załamał rękę.

— Na Boga, zabiła się?

— Nie, ale pokój cały we krwi. Zemdlała tylko. Sam wyciągnąłem jej nóż z rany, na szczęście był to tylko damski, mały nożyk.

— Trzeba zaraz posłać po doktora, panie.

— Tak, bardzo słusznie. Wszystko zaraz by się wydało. Pomyśl o czymś rozsądniejszym.

— A! Już wiem! — zawołał uradowany.

— Co wymyśliłeś?

— Ta Cyganka, która ten napój przyniosła jest jeszcze u mnie. Ona zna się na opatrywaniu ran. Mam ją zawołać.

— Naturalnie, tylko prędko, raz dwa.

— Zarba!

Zarba, która słyszała całą rozmowę, weszła do pokoju. Księżę, przygotowany na widok starej, brzydkiej Cyganki, był niezmiernie zdziwiony, zjawieniem się młodego, ładnego chłopca.

— Kto to... kto to jest? — pytał zmieszany.

— Cyganka — odrzekł Kortejo.

— To przecież chłopak — ale zaraz rzucił wzrokiem badawczym musztrując postać i poznał swój błąd.

— Ach, czy to możliwe? — zawołał — To naprawdę dziewczyna. Czy to ta stara Cyganka, o której mi mówiłeś?

— Tak, — odrzekł rządcą zmieszany.

— O ty gałganie! Ale teraz nie mamy czasu. Przystąpił do niej bliżej i wziął ją pod podbródek pytając:

— Jak się nazywasz?

— Zarba — odpowiedziała.

— Ty mi przyniosłaś ten miłosny napój?

— Tak.

— Umiesz leczyć choroby?

- Umiem wszystkie.
- Czy także rany?
- Także, jeżeli nie są śmiertelne.
- Więc oboje chodźcie ze mną, tylko po cichu, nikt nie śmie nas słyszeć.

Gdy weszli do pokoju guwernantki leżała na sofie. Oczy miała zamknięte, a twarz trupio bladą. Na podłodze widać było całą kałużę krwi.

Zarba przystąpiła do niej, by ją zbadać. Niedługo była gotowa, po czym zwróciła się do księcia i poczęła pytać:

- Pan jej dałeś te krople?
- Tak.
- Ile?
- Pięć.
- Kim ona jest?
- Guwernantką.

Dziewczę pokiwało poważnie głową, po czym rzekła z namysłem:

— Nie jest śmiertelnie zraniona, ale ona chce umrzeć. Lekarza nie możecie wołać. Ja jestem winna i ja przy niej zostanę. Czy mogę?

— Owszem — potwierdził książę.

— Więc słuchajcie co zarządę, w pańskim i moim interesie. Teraz ją tutaj obandażuję, po czym odejdę, by poszukać ziół, które leczą rany. Niedługo przyjdę i od tej chwili będę cały czas przy niej i będę ją pielęgnowała, dopóki nie wyzdrowieje, ale nikt nie śmie tu przychodzić. Na skutek rany będzie miała wysoką gorączkę i wtedy będzie wszystko opowiadać, co się zdarzyło, więc łatwo nas może zdradzić. Dlatego nikt nie śmie przychodzić, tylko ja.

— Ja także nie? — pytał książę.

— Nie, widok pana mógłby ją zabić.

— Do diabła! To niech umiera!

Zarba spojrzała na niego przenikliwym wzrokiem i rzekła:

— Dopiero teraz widzę co zrobiłam, to wielka wina, to straszny grzech, którego nie potrafię odpokutować, ani naprawić. Pan jesteś wcielonym diabłem. Ale proszenie zapominać, że śmierć tej seniority wiele kłopotów sprowadzi na pana. Jej trupa musiałby zbadać lekarz, w każdym razie odkryliby pchnięcie nożem i natychmiast wytoczyliby śledztwo.

Książę spoglądał ze zdziwieniem na Cygankę, która pozwałała sobie w taki sposób do niego przemawiać, lecz że ją potrzebował i ostatni wypadek nadto go osłabił, więc rzekł tylko:

— Dobrze, czyń co uważasz za stosowne. Kortejo niech się o wszystko postara. Tylko proszę, aby krew starannie pozostała usunięta. Zresztą to wy sami wręczyliście mi te przekłete krople, więc mnie to dalej nic nie obchodzi, reszta, tu już wasza sprawa. *Adieu!*

Oddalił się. Zarba po zabandażowaniu rany również wyszła, aby wkrótce powrócić z odpowiednimi ziołami. W zamku rozpuścili wieść, że guwernantka dostała nagle krwotoku i że zajmować się nią będzie Cyganka, która się lepiej na tej dolegliwości zna, niż niejeden lekarz.

Co się w pokoju chorej działo, o tym nikt się mógł dowiedzieć, nawet Kortejo. Guwernantka, gdy odzyskała przytomność koniecznie chciała zedrzyć bandażę, lecz Zarba czuwała pilnie. Rozwinął się wkrótce pomiędzy obiema kobietami cichy i przyjazny stosunek, który zbawienne skutki wywierał na guwernantkę. Nie mówiła w ogóle o owym wieczorze, lecz uśmiech zniknął z jej oblicze, męka duszy przewyższała cierpienia ciała, dlatego minęły aż trzy miesiące od owej chwili zanim mogła po raz pierwszy opuścić pokój.

Tymczasem Zarba odwiedzała ciągle Korteja. Kochała go pierwszą, wielką miłością, swego południowego, gorącego serca, lecz coraz częstsze były chwile, w których poznawała, że miłość jego do niej zaczyna wygasać, że nie kocha już tak, jak na początku. W pałacu wydawało jej się duszno i ciasno, dokładnie wiedziała, że jest tylko z konieczności tolerowana, a w gruncie rzeczy pogardzaną i odsuniętą osobą. Coraz częściej rozmyślała nad tym

bezprawnym, zbrodniczym użyciem przez nią podanego środka i zastanowiwszy się nad tym głębiej, doszła do przekonania, iż książe jest zbrodniarzem, którym pogardzać trzeba, zaś jej kochanek jego pomocnikiem i pewne wątpliwości w stosunku do niego pomału napełniały jej serce. Im więcej się przywiązywała do guwernantki, tym większe cierpiała wyrzuty sumienia, aż pewnego razu, ze łzami w oczach wyznała, jak się cała rzecz odbyła i na klęczkach prosiła o wybaczenie. Przy tym dowiedziała się od niej o faktach, które przedstawiły jej Korteja w innym świetle i jej serce, jeszcze kochające, przejęły strachem.

* * *

Tymczasem Sternau nie mógł zapomnieć o najdroższej sercu istocie, która tak bezwzględnie radę jego i pomoc odrzuciła.

Poczuł niezwykłe pragnienie zobaczenia swej ukochanej i chociaż z początku dzielnie walczył z tym uczuciem, tęsknota jednak go przemogła, więc postanowił ją odwiedzić, zwłaszcza, że przez cały ten długi czas nie dawała ani znaku życia, co go zaczęło niepokoić. Udał się więc do zamku, by jej złożyć wizytę lecz najpierw musiał udać się do rządcy pałacu. Gdy go ujrzał, stremował się nieco, bo i Kortejo poznał go natychmiast.

— Czego chcecie? — pytał dumnie, prawie wyzywająco.

— Chciałem zapytać, czy mógłbym się widzieć z panną Walser?

— Czego od niej chcecie?

— Złożyć jej przyjacielską wizytę, jako dowód grzeczności.

— Tak bardzo grzecznym nie wydajecie się.

— Czasem bywa się do niegrzeczności zmuszonym — odrzekł Sternau spokojnie i z naciskiem.

— Aha! Przypominacie sobie więc mnie?. — Bardzo dobrze!

— To było...

— Stało się to w pierwszym dniu karnawału — uzupełnił Sternau.

— Dopuściłeś się wzglądem mnie zniewagi.

— Lecz nieznacznej — zaśmiał się nauczyciel. — Spodziewam się jednak, że mały ten wypadek nie powstrzyma pana od tego, byś mi zezwolił rozmawiać z panną Walser.

— Owszem, powstrzyma. Nie będziesz pan z nią mówił.

— A — rzekł nauczyciel na wpół z uśmiechem, na wpół wyzywająco. — Kto mi zabroni?

— Ja!

— Pan? A to w jaki sposób?

— Zakazuję przychodzić do mego domu.

— Ba. To wam nic nie pomoże. Możecie zabronić mi wstępu do waszego domu, lecz nie przystępu do panny Walser. Zresztą, nie masz pan prawa zabraniać tego, bo nie jesteś właścicielem pałacu.

— Lecz działałam z rozkazu mego pana.

— Udowodnij to!

— Do pioruna. Jako ochmistrz, nie jestem zobowiązany do dawania panu wyjaśnień. Wynoś się pan!

— Wynoszę się rzeczywiście, lecz nie na ulicę, lecz do księcia Olsunny.

— To zupełnie zbędne — dał się słyszeć głos za nim. — Czego pan ode mnie chcesz?

Obrócił się i poznał księcia, który wszedł, by osobiście załatwić jakąś nagłą sprawę.

Książe poznał go również. Czoło jego zmarszczyło się, a żyły nabrzmiały.

— A, cóż porabia tu ten człowiek?

— Chce odwiedzić senioritę Walser — odrzekł Kortejo.

— W jakiej sprawie?

— Nie wiem, powiedział, że to kurtuazyjna wizyta. Nauczyciel potwierdził to spokojnym skinieniem głowy, jakby obchodzono się z nim z największym szacunkiem i dodał do słów ochmistrza:

— Jestem mianowicie mentorem w tym samym domu, w którym uczyła panna Walser, nim objęła obecne stanowisko. Uważam za swój obowiązek, odwiedzić ją teraz w pałacu.

— To zupełnie zbędne — odrzekł książę.

— Dlaczego? — zapytał Sternau. — Ja sam mogę tylko osądzić, czy wizyta ta jest potrzebna czy nie, bo cel jej mnie samemu jest znany.

— Nie będziesz pan mówił z seniora. Idź już sobie! — rozkazał książę krótko.

Twarz nauczyciela przybrała zupełnie odmienny wyraz, tak że książę i jego prawa ręka, Kortejo, mimo woli cofnęli się przed nim.

— Pójdę rzeczywiście, jeżeli i wasza wysokość sobie tego życzy, — rzekł z roziskrzonym wzrokiem — lecz powrócę w towarzystwie policji, by zbadać powody, dla których ta panna ma pozostać przede mną ukryta.

— Nie mówi ona z nikim i nie przyjmuje nikogo.

Ta odpowiedź księcia dowodziła, że obawiał się nauczyciela.

— Więc obchodzicie się z nią, jak z osobą uwięzioną? — zapytał.

— Nie lecz ona jest obecnie chora.

— Chora? Czy wolno zapytać jaka to słabość?

— Krwotok.

— Kiedy się rozpoczął?

— Przed pięcioma tygodniami.

— Który lekarz ją leczy?

— Jest w dobrych rękach.

Sternau spojrział na obu badawczo i rzekł z powagą:

— Panowie, znacie moje stanowisko, i ja wasze także. Jeśli panna Walser rzeczywiście jest chora, nie chcę jej przeszkadzać, choć los jej bardzo mnie interesuje; gdyby się jednak pokazał jakiś ciemny punkt, to go niebawem wyjaśnię, wierzcie mi.

— A, czy to groźba? — zapytał Olsunna.

— Tak — odrzekł Sternau otwarcie.

Tu książę wyciągnął rękę i wskazał na drzwi.

— Precz! — krzyknął donośnym głosem.

— Ba! — zaśmiał się Sternau robiąc kilka kroków. — Znamy się przecież, wiesz pan zatem, że nie należę do ludzi, ustępujących przed grubiaństwem. Ten, który powalił na ulicy zuchwalca i zrzucił natrętnego rozpustnika ze schodów, odchodzi tylko wtedy, gdy mu się spodoba. A ponieważ teraz właśnie spodobało mi się, więc pójdę. Obiecuję jednak, że znowu powrócę!

Uklonił się ironicznie i opuścił pokój.

— Biegnij za nim, Kortejo! — rozkazał książę — Każ go wyrzucić za bramę.

— Wybacz mi książę — odrzekł ochmistrz. — Czy nie będzie lepiej, jeśli unikniemy rozgłosu. Poszedł przecież sam. Gdy każemy służbie, by go schwyciła będzie na tyle bezczelny by się opierać.

— Masz słuszność, — rzekł Olsunna gniewnie. — Karzeł ten ma siłę za dziesięciu. Ci Niemcy to prawdziwe niedźwiedzie.

— W każdym razie pójdę się przekonać, czy nie zechce się przemocą dostać do guwernantki — rzekł Kortejo.

Przezorność ta okazała się zbyt czarna. Sternau opuścił pałac i powrócił do swego mieszkania, lecz powziął pewne podejrzenie i postanowił wyjaśnić całą prawdę. Wygląd guwernantki nie wskazywał wcale, że cierpi na jakieś dolegliwości, a jeśli rzeczywiście dostała krwotoku, to musiały zaistnieć jakieś powody, o których nie można było myśleć bez podejrzenia.

Z tej właśnie przyczyny stał Sternau już tego samego wieczora przed pałacem. Wybrał pomyślną chwilę, gdyż zobaczył ochmistrza wychodzącego z bramy. Ponieważ najmniejsza okoliczność mogła okazać się ważną, szedł za nim w pewnej odległości. Kortejo wybrał się z zamiarem odwiedzenia swej kochanki. Naprzeciwko domu Klarysy mieszkał pomocnik księgarza, u którego kupował zwykle swe książki, był więc jego dobrym znajomym. W otwartym oknie domu, do którego wstąpił Kortejo, zobaczył dziewczynę, która się obróciła, by powitać gościa, po tym powróciła do okna, lecz już w towarzystwie Korteja.

— A! — pomyślał Sternau. — To zapewne miłosna schadzka. Zaraz się wszystkiego dowiemy.

Udał się do księgarza, który siedział w zupełnie ciemnym pokoju.

— Któż to? — zapytał gospodarz po wejściu Sternaua.

— Wybacz senior, jeśli ci przeszkodziłem — rzekł ostatni. — Przyszedłem mianowicie, aby...

— A to pan, panie Sternau? — przerwał mu drugi. — Poznałem pana po głosie.

— Tak, to ja, chcę się czegoś od pana dowiedzieć.

— Jestem do pańskich usług. Lecz wprzód pozwól mi pan, bym zaświecił lampę.

— O nie. Prosiłbym właśnie, byś pan tego nie robił.

— Dlaczego? — zapytał księgarz zdziwiony.

— Bo chciałbym niepostrzeżenie zobaczyć, co się naprzeciwko dzieje.

— A, może tam?

— Tak.

— To szczególnie. Ja nie zaświeciłem światła z tego samego powodu.

— Przyszedłem, by dowiedzieć się, czy możesz mi pan udzielić pewnych wskazówek, dotyczących kobiety, która mieszka w tamtym domu.

— Ha, jeśli masz pan pewne zamiary, to przyszedłeś zbyt późno.

— Na szczęście nie mam podobnych zamiarów. Chciałbym tylko dowiedzieć się, kim jest ta dama i co łączy ją z mężczyzną, który obecnie u niej przebywa.

— Powiem panu wszystko co wiem. Jegomość ten nazywa się Gasparino Kortejo i jest ochmistrem księcia Olsunny. O damie zaś wiem tylko, że właściciel domu nazwa ją panną Klarysą. Jest ona kochanką Korteja. Ten odwiedza ją co drugi dzień, o tej samej godzinie jak dziś, a ja podglądam od czasu do czasu, tajemnice ich miłości. Jest to bardzo łatwe, gdyż mieszkania nasze są naprzeciwko, a nieprzezorna parka zawsze zapomina o spuszczeniu firanek. Czy chce pan być także świadkiem ich szczęścia?

— Jeśli pan pozwoli?

— No to stań pan przy oknie.

Obaj przyglądali się przez jakiś czas serdecznością Korteja, potem Sternau oddalił się. Nie mógł on przewidzieć, że jego dzisiejsza ciekawość przyniesie mu w przyszłości korzyść.

Szedł dalej Kortejo, gdy tylko czas mu na to pozwalał. Dowiedział się, że guwernantka nie opuszczała nigdy pałacu i że jest rzeczywiście chora, tak, że mała księżniczka Flora, musiała pobierać lekcje od innej osoby. Słyszał także, że okna pokoju chorej, wychodziły na ogród, postanowił więc choć raz ją zobaczyć.

Uczył to naturalnie wieczorem. Znalazł drzwiczki, przez które wcześniej wchodziła Zarba, były jednak zamknięte. Sternau jako bardzo wygimnastykowany młodzieniec, przelazł z łatwością przez mur wysokości człowieka i skoczył na drugą stronę.

W pobliżu kilku oświetlonych okien stało drzewo owocowe. Wydrapał się na nie tak, że mógł widzieć wewnątrz dwóch pokoi. Jeden był pusty, w drugim zaś siedział Kortejo w bardzo serdecznym *tete à tete* z jakąś młodą Cyganką. Sternau widział ją często, gdy wychodziła z pałacu i od jednej ze służących dowiedział się, iż nazywa się Zarba i sprawuje pieczę nad chorą guwernantką.

Szybko doszedł do wniosku, że Kortejo miał więc dwie kochanki, z których przynajmniej jedną oszukiwał. Tą oszukiwaną, była niezawodnie Cyganka.

Postanowił skorzystać z tego. Zlazł z drzewa, przebył mur i powrócił do domu.

Wkrótce potem spotkał Cygankę na ulicy.

— Jesteś z pałacu księcia Olsunny? — spytał.

— Tak, — odpowiedziała.

— I zajmujesz się panną Walser?

— Tak.

— Czy ona jest rzeczywiście chora?

— Tak ciągle jest słaba.

— A co jej właściwie jest?

Cyganka spojrzała nań badawczo i zapytała:

— Kim jesteś senior, że się tak dopytujesz o guwernantkę?

— Jestem jej przyjacielem i twoim także.

— Moim? — zapytała ze zdziwieniem. — Nie znam pana.

— Lecz ja znam ciebie. Jesteś kochanką Gasparina Kortejo.

Pomimo jej śniadej cery, spostrzegł, jak krew wystąpiła jej na policzki. Przez kilka chwil walczyła z zakłopotaniem, a potem rzekła:

— Jak pan możesz twierdzić coś podobnego. Musiał mnie pan z kimś pomylić.

— Nie myślę się wcale, — odpowiedział. — Jestem twym przyjacielem i pragnę twego szczęścia. Dlatego przestrzegam cię przed Kortejem.

— Przestrzegasz? — zapytała widocznie zaciekawiona. — Z jakiej to przyczyny?

— Oszukuje cię, w jego życiu jest jeszcze inna kobieta.

Oczy jej zabłyśły gniewem i podnosząc groźnie swą małą rączkę, rzekła:

— Senior, nie okłamuj mnie! Kto kocha Zarbę, ten nie może mieć innej kochanki.

— A jednak on ma.

— Możesz to udowodnić?

— Jeśli sobie tylko życzysz.

— Żądam nawet!

— Dobrze. Dziś wieczór odwiedzi on ją znowu. Czy możesz sprawdzić, kiedy opuszczać będzie pałac?

— Mogę, i zrobię to na pewno.

— Po jego wyjściu, przyjdiesz na to miejsce, gdzie się teraz spotkaliśmy. Poprowadzę cię tak, że będziesz mogła widzieć, go sama nie będąc widzianą.

— Czy chcesz to rzeczywiście uczynić, senior?

— Tak, z największą przyjemnością.

Spojrzała nań badawczo i zagadnęła:

— Lecz jak wytłumaczyć mam sobie to, że jesteś mym przyjacielem?

— Bo pielęgnujesz pannę Walser, której przyjacielem jestem.

— Nazwisko pańskie?

— Sternau.

— Znam pana.

— Skąd?

— Seniorita Walser prosiła mnie, bym się dowiedziała, czy mieszkasz pan jeszcze u bankiera Salmonna.

— Pytałaś o mnie?

— Tak, a potem powiedziałam o wszystkim senioricie.

— Zaufasz mi teraz?

— Tak, senior.

— I przyjdiesz dziś wieczór?

— Przyjdę.

Rozstali się. Cyganka już dawno zauważyła, że miłość ochmistrza jakby ostygła, nie przeczuwała jednak, że będzie jej niewiernym.

Gdy wieczór nadszedł patrzyła uważnie i opuściła pałac, widząc, że Kortejo wyszedł także. Na umówionym miejscu spotkała nauczyciela i towarzyszyła mu do księgarza, który uprzedzony przez Sternaua oczekiwał ich.

— Jest już tam. Spoglądaj na tamto okno! — rzekł.

Zarba stanęła przy oknie i patrzyła w milczeniu przed siebie. Stała tak dłużej niż pół godziny i obaj mężczyźni milczeli również. Jaka burza musiała szaleć w jej duszy!

Obróciła się nareszcie.

— Chodźmy senior! — poprosiła Sternaua.

Poszedł z nią, a na ulicy zapytał:

— Czy przekonałem cię teraz?

— Tak.

To „tak”, brzmiało ostro i zacięcie, jak ostrze sztyletu; potem stanęła nagle i zapytała:

— Czy kochałeś choć raz, senior?

— Kochałem, — odpowiedział szczerze.

— Szczęśliwie?

— Nie.

— O była panu niewierna?

— Nie, nie kochała mnie nigdy.

— O, to smutne! Lecz smutniejsze jest jeszcze, gdy się jest oszukany. Czy ta, którą kochasz, przebywa w pańskiej ojczyźnie.

— Jest tutaj, w Saragossie.

— Czy odgadłam, senior? To seniorita Walser?

— Tak.

Ujęła jego dłoń.

— Ocal ją pan! — prosiła.

— Ocalić? — zapytał zatrwożony — Co się z nią dzieje?

— Serce jej jest chore, dusza chora, senior, to gorsze jeszcze od pchnięcia nożem, które już się zaczyna goić.

— Pchnięcie nożem? Boże co się stało?

— Cicho, nie martw się pan, bo niebezpieczeństwo już dawno minęło. Byłeś pan względem mnie szczerzy, więc i ja nie zataję prawdy. Czy ma pan czas?

— Mam, jak długo chcesz.

— Więc chodź pan za mną.

Zaprowadziła go do drzwiczek ogrodowych pałacu, wyciągnęła klucz i otworzyła.

— Czekaj pan tu! Zobaczę wpierw, czy mogę niepostrzeżenie wprowadzić cię do środka, senior.

— Do kogo chcesz mnie wprowadzić?

— Sam to zobaczysz. Naprzód pójdziesz ze mną, do mego pokoiku.

Oddaliła się spiesznie i powróciła niebawem. Zaprowadziła go aż do wąskich, bocznych schodów i weszła z nim na górę. Otworzyła tam mały, skromnie urządzonej pokoik, przeznaczony widocznie dla niej.

— Tak, nikt nas nie zauważył — rzekła. — Tu mieszkam. Usiądź pan!

Zapaliła świecę i usiadła naprzeciwko niego. Patrzył na nią dotychczas przelotnie tylko, teraz jednak przypatrzył się jej uważniej i musiał przyznać, że rzadko zdarzyło mu się widzieć podobnie piękną dziewczynę. Spostrzegła ten podziw w jego spojrzeniu i zapytała gorzko:

— Prawda, senior, że jestem piękną dziewczyną?

— Tak, — odpowiedział, zdziwiony tym pytaniem. Wstrząsnęła głową.

— O nie, o nie! Byłam piękną wtedy, gdy nie wiedziałam o niczym, teraz zaś, straciłam urodę. Jestem biednym motylkiem, który leci w las, nie widząc, że utracił blask swych skrzydełek. Tak senior, litujesz się nade mną; widzę to po panu, wnet jednak gniewać się będziesz i znienawidzisz mnie.

— Dlaczego? Nie uczyniłaś mi przecież nic złego?

— O, wyrządziłam panu bardzo, bardzo wielką krzywdę i właśnie dlatego przyprowadziłam pana do siebie, by wyznać i powiedzieć wszystko. Czy chce mnie pan wysłuchać?

— Mów!

— Początek jest panu znany. Księżę zobaczył pannę Walser i sprowadził ją do swego pałacu. Przestrzegałeś ją pan, lecz nie usłuchała przestrogi, myślała bowiem, że pana nie kocha.

— Skąd o tym wiesz?

— Sama mi powiedziała. Stawiano jej tu różne pułapki, lecz opierała się wszystkim. Pozostał tylko jeden środek, napój miłosny, który mąci umysły, rozpala krew, a który...

— Dosyć! — rzekł Sternau. — Czy oszalałaś? Nie dano jej przecież tego napoju!

— Owszem, dano.

Sternau zbladł jak trup i porwał się z krzesła.

— I wypić go? — zapytał.

— Wypiła.

Tu zakrył twarz rękami i padł w tył na krzesło.

— O mój Boże! I potem... potem przyszedł księżę?

— Tak. Kazał sporządzić drugi klucz dla siebie.

Oczy nauczyciela pokryły się mgłą i tylko z największym mozolem udało mu się zachować jako taki spokój.

— Kto zgotował ten trunek? — zapytał potem.

— Ja.

— Ty? — powtórzył — A prawda jesteś przecież zielarką.

— Nie wiedziałam dla kogo jest on przeznaczony, nie znałam jeszcze seniority Walser.

— To cię nie usprawiedliwia! — rzekł ostrym głosem. — Kto zamówił u ciebie ten napój?

— Księżę zamówił go u Korteja, a Kortejo u mnie. Wie pan, że Kortejo jest moim kochankiem; nie mogłam mu odmówić. On mi przecież przysięgał, że mam zostać jego żoną!

— I ty uwierzyłaś mu?

— Tak. Miłość chętnie zawierza. A ja byłam już jego żoną, bo pod sercem noszę jego dziecko, tak, jak seniora Walser nosi dziecko księcia.

Słowa te podziały na Sternaua, jak dotknięcie ostrzy elektrycznych, jak cios, który wszystko powala na ziemię. Zachwiał się i wyciągnął ręce przed siebie, jakby szukając oparcia.

— Jego dziecko! Jego dziecko? — zabrzmiało pozbawionym barwy głosem — Czy mówisz prawdę?

— Tak, — odpowiedziała.

Chciała mówić dalej, on jednak dał znak, by milczała. Siedział przed nią, nie mówiąc ani słowa. Oko jego patrzyło, skronie nabrzmiały, twarz pokryła śmiertelna bladość. Staczał ciężką, bardzo ciężką walkę, z której tylko z trudnością wyszedł zwycięzcą.

— Ona nie jest temu winna? — zapytał potem.

— Zupełnie nie.

— Czy to prawda?

— Przysięgam, że tak.

— Czy mogłabyś dowieść tego?

— Mogę.

— Więc proszę...

— Gdy już minęły skutki trunku, pchnęła sobie nóż w serce.

— Ach, to był ten krwotok, o którym mi opowiadałaś?

— Tak.

— A potem?

— Potem leżała w łóżku przez wiele tygodni. Rana nie była śmiertelna, pogarszała ją jednak stan jej duszy. Dziś jeszcze pragnie śmierci, bo wie o swym stanie i... kocha pana.

Porwał się z krzesła.

— Mnie kocha? Mnie?

— Tak. Całą siłą swego serca.

— To nieprawda.

— Święta prawda. Nie znała i nie rozumiała sama siebie; dopiero na łożu boleści poznała, że sercem i duszą należy do pana.

— O mój Boże! Dlaczego nie poznała tego wcześniej?

— Tak. Teraz już za późno! — narzekała Cyganka

— Za późno? O nie, czas jeszcze! Nie znasz prawdziwej miłości. Powiedz mi, czy ona wie, że rozmawiałaś dziś ze mną?

— Nie, nie, nic jej nie powiedziałam jeszcze.

— Więc nie wie również, że ja teraz jestem w pałacu?

— Nie wie.

— Czy wolno mi pójść do niej?

— Chciałbyś pan ją odwiedzić?

— Tak, chętnie.

— Niespodzianka ta nie zaszkodzi jej, jeśli nie użyjesz gniewnych słów, senior.

— Nie powiem ani jednego złego słowa.

— Więc chodź pan. Zaprowadzę cię.

Powstała i towarzyszyła mu na pustym korytarzu. Wreszcie wskazała na drzwi tuż przed nimi.

— To tu — rzekła — Proszę wejść.

Otworzył i zamknął za sobą drzwi. Pokój był pusty, lecz w sąsiednim zabrzmiał chorowity, cichy głos:

— Czy to ty, Zarbo?

— Nie, — odpowiedział i zbliżył się.

Był tak wzruszony, że usta jego nie mogły wymówić ani jednego słowa. Siedziała przy oknie, piękna jak zawsze, piękniejsza nawet niż wtedy, gdy pracowali razem, lecz uroda jej zmieniła się, przybrała wyraz cierpienia, który rozczulić musiał każdego. W oczach jej wilgotniały jeszcze łzy niedawno przelane. Cała jej postać wyrażała zmęczenie i obojętność na wszystko. Nie spojrzała nawet na wchodzącego, choć na pewno musiała słyszeć zbliżające się kroków.

— Panno Walser!

Nareszcie ciche wołanie dotarło do niej. Drgnęła i obróciła twarz w jego stronę. Głęboki strach uwydatnił się na jej twarzy i całej postaci.

— O mój Boże! — załkała. — To pan jesteś, panie Sternau.

Ukryła twarz w dłoniach i odwróciła się. Widział łzy przeciekające między chudymi palcami i odzyskał równowagę. Przystąpił i odsunął ręce z jej twarzy.

— Przebacz mi pani tę niespodziankę, — rzekł drżącym głosem. — Chciałem już dawno odwiedzić panią, lecz nie wpuszczono mnie.

— Idź pan, idź pan już — prosiła.

— Każesz mi iść? — zapytał. — Czy nienawidzisz mnie pani tak bardzo.

— Nienawidzę? — zapytała. — O nie. Pan jesteś tak dobry, tak dumny i czysty. Nie zasługuję, byś przebywał w mym pobliżu.

Głębokie wzruszenie owładnęło nim, klęknął przed guwernantką, złożył głowę na jej rękach i długo płakał, bardzo długo. Gdy podniósł znowu twarz w jej stronę, w oczach ujrzał promień nieskończonej miłości.

— Czy gniewasz się pani, że cię odwiedziłem? — zapytał.

— Nie, o nie. Lecz jesteś pan tutaj już ostatni raz.

— Dlaczego?

— Bo muszę panu powiedzieć, że miałeś rację we wszystkim co mi mówiłeś i przed czym mnie przestrzegałeś.

— Tak, lecz miałem rację i w tym, że miłość nigdy nie może się skończyć.

— Skończy się jednak.

— Nigdy, czuję to bardzo mocno.

Powstał znowu i objął ramieniem jej kibić. Przyciągnął do siebie i przycisnął swe wargi do jej ust. Nie opierała się, owszem czuł, że odwzajemnia lekko jego pocałunek. Chciała mu pokazać, że serce jej zwróciło się ku niemu. Wysunęła się jednak z jego ramion i rzekła:

— To było nasze pożegnanie, pożegnanie na zawsze. Żegnaj przyjacielu!

Przyciągnął ją znowu do siebie i przycisnął do piersi.

— Nie, to nie było pożegnanie! — rzekł — To początek naszego szczęścia.

— To niemożliwe! — zawołała odpychając go od siebie.

— Dlaczego niemożliwe? Czy nienawidzisz mnie jeszcze pani?

— Czy nienawidzę? O nie, nie!

— Lecz nie kochasz mnie pani także? O, powiedz pani cokolwiek!

Tu twarz jej zajaśniała i odrzekła cicho:

— O ja kocham, tak, ja kocham pana! Kochałam już wtedy, gdy pana zobaczyłam po raz pierwszy, lecz poznałam to za późno, za późno niestety. O Boże!

— Nie jeszcze nie jest za późno — rzekł. — Masz pani dość czasu jeszcze, by stać się szczęśliwą.

— Ja nie, — szeptała — bo stałam się niegodną tego szczęścia!

— Mylisz się pani — zapewniał, przyciskając serdecznie drżącą kobietę. — Mylisz się naprawdę.

— Nie myślę się, — odpowiedziała — lecz pan jeszcze wszystkiego nie wiesz.

— Wiem już wszystko.

— Wszystko? — zapytała, a gorący rumieniec wstydu oblał jej policzki.

— Tak.

— Któż to panu powiedział?

— Zarba.

— O Boże!

Odwróciła się od niego, zalewając się nowym potokiem łez, lecz on objął ją znowu i spędził pocałunkami łzy z jej rzęs.

— Czy mogę coś powiedzieć? — zapytał.

— Mów pan, — odpowiedziała — choć będzie to mój wyrok śmierci.

— Nie. Ułaskawiłbym panią, nawet gdybyś była winna, lecz w tym wypadku ty nie ponosisz żadnej winy. Jedyne zarzut, który można przeciw pani wykorzystać, polega na tym, że nie zaufałaś mi. Gdy się to jednak już raz stało, nie zmniejszy ono mej miłości. Powiedz pani, czy chcesz stać się mą małżonką, mą ukochaną żoną i towarzyszyć mi do ojczyzny?

— O chętnie, chętnie, gdyby to się stać mogło. Lecz to niemożliwe, niemożliwe, bo pan nie wiesz jeszcze wszystkiego.

— Wiem wszystko. Na dowód tego, przyrzekam pani święcie, że to biedne, niewinne dziecko, uważać będę za moje własne.

Nie odpowiedziała nic. Dało się słyszeć Głębokie westchnienie, potem zaś leżała bez przytomności w jego ramionach. Wstyd, który ją przejął i który gorączkowym rumieńcem palił jej policzki, sprawił, że zemdląła. Przycisnął ją gwałtownie do piersi i całował jej usta.

Otworzyła wreszcie oczy i objęła teraz dobrowolnie jego szyję swym miękkim ramieniem.

— Czy to prawda, to możliwe? — zapytała drżącym głosem.

— Tak. Kocham cię jeszcze mocniej, niż przedtem.

— I nie będziesz się nigdy mścił za to, co się stało bez mojej winy?

— Nigdy.

— I nie będziesz nigdy nienawidził mego... mego dziecka z przyczyny ojca jego?

— Nie. Będę jego ojcem, będę zawsze tak postępował, jak gdybyś nigdy nie weszła do tego nieszczęsnego domu. Czy pod tymi warunkami zostaniesz moją na wieki?

— O, tak.

Krótkie to słowo zawierało w sobie cały nadmiar szczęścia, jaki nagle zamieszkał w jej sercu.

— Czy teraz opuścisz ze mną ten dom? — zapytał.

— Natychmiast.

— I pozwolisz, bym załatwił tę sprawę z księciem?

Podczas tej rozmowy, odbyła się równocześnie druga, niewieczniona jednak tak pomyślnym wynikiem.

Gdy Sternau poszedł do panny Walser, Zarba spostrzegła powrót ochmistrza i bezzwłocznie udała się do niego. Przywykł, że odwiedzała go dopiero wtedy, gdy chora guwernantka zasnęła, zapytał więc:

— Tak wczesnie dzisiaj? Czy Walser już śpi?

— Nie, lecz nie potrzebuje mnie już.

— Więc chodź!

Zaprowadzi ją z obojętną miną do sypialni i rzekł:

— Spocznij sobie, ja tymczasem będę jeszcze pracował.

Zatrzymała go.

— Zaczekaj jeszcze. Muszę się z tobą rozmówić!

— O czym?

— Usłyszysz to zaraz. Chodź, usiądź koło mnie!

Przycisnęła go do siebie z udaną pieśczołą. Spostrzegła, że próbował nieznacznie odsunąć się od niej, lecz udawała, że nie widzi tego.

— Dotyczy to mianowicie guwernantki — rzekła.

— Cóż ona nas teraz obchodzi? — warknął.

— Bardzo wiele.

— Dlaczego?

— Bo już odzyskała dostatecznie siły i zdrowie, nie potrzebuje więcej mej pieczy.

— Hm, to rzeczywiście prawda — odrzekł z miną znudzoną.

— Czy rozpocznie teraz znowu naukę?

— Nie wiem. Muszę wprzód usłyszeć, co pod tym względem postanowi książe.

— A ja?

— Rzecz ma się tak, jak wspomniałaś na początku, stałaś się zbyt uczynna.

— Więc wypowiedzą mi miejsce?

— Prawdopodobnie.

— Czy nie można tego zmienić? Wiesz przecież, że dla nas jest wygodniej, gdy stale przebywam w pałacu.

— Nie tak łatwo znajdzie się powód, do dalszej twej obecności.

— Więc sądzisz, że powrócimy do naszych dawnych zwyczajów?

— Do jakich?

— Że wskakiwać będę przez okno.
— Zobaczymy jak to będzie. To włożenie przez okno, jest dla nas obojga bardzo niebezpieczne.

— Pierwej było jeszcze niebezpieczniejsze!

— Ba! Człowiek jest czasem nadto nieprzezorny. Gdy opuścisz pałac będę cię odwiedzał:

— Gdzie?

— W obozie, u twych krewnych.

— Sądzisz, że mam powrócić do nich?

— Naturalnie.

— I pójść z nimi, gdy opuszczą miasto?

— Jak ci się spodoba.

— Nie spodoba mi się!

— Dlaczego?

— Jestem twoją żoną.

— A! — rzekł, słysząc stanowczy głos, którym powiedziała te słowa. — Żartujesz mała!

— Czy nie powiedziałaś mi, że mam zostać twą żoną?

— Tak w istocie było.

— A więc kiedy to się stanie?

— Gdy się polepszą stosunki. Może za rok, powiedziałem ci to już nieraz.

— Mylisz się, gdy sądzisz, że według twoich pomysłów, według waszych chrześcijańskich poglądów nie jestem twą prawdziwą żoną, bo nie jesteśmy zaślubieni. Według zwyczajów cygańskich jesteś mym mężem, bo będziesz ojcem... mego dziecka. Cofnął się.

— Do diabła. Czy tak rzeczy stoją? — krzyknął.

— Tak — rzekła spokojnie. — Widzisz więc, że nie mogę cię opuścić.

— Nie? Hm! — zaśmiał się krótko i szydęrczo.

Już mu się sprzykrzyła Cyganka, więc myślał, że nadeszła właśnie pora, by się jej pozbyć. Dlatego zapytał tonem ironicznym:

— Nie żartujesz?

— Z czym?

— A to dziecko?

— Dziecko jest faktem!

— Ależ ty się na tym nie znasz! A może...! Wy Cyganie, macie w takich sprawach pewne doświadczenie. Warzycie trunki miłosne. Czy nie ma jakiegoś trunku, który by cię pozbawił dziecka?

— Jest jeden, — odrzekła zimno, — ale go nie potrzebuję. Twoje dziecko będzie żyć!

— Moje... moje dziecko? Czy myślisz naprawdę, że ci uwierzę? Iluż ojców będzie miało to dziecko?

Na jej twarzy nie można było dojrzeć złości, oko tylko spoczęło na nim z wyrazem politowania.

— Czy chcesz się może wyrzec mnie i dziecka?

— Nie mam żadnego dziecka i żadnego nie oczekuję?

— Czy to twoje ostatnie słowo?

— Tak.

— Do tego nakłoniła cię widocznie twoja Klarysa.

Zdumiał się, ale prędko opamiętał się i odparł:

— Co wiesz o niej?

— Wszystko.

— Oho! A więc powiem ci, że ta dziewczyna jest moją miłością. Noś sobie twoje dziecko, dokąd ci się podoba!

Zaśmiała się, ale w tym śmiechu szczyrzyła zębki, jak tygrysica.

- Nie znasz mnie — rzekła.
- Nie? O, nigdy nie omyliłem się co do twojej osoby.
- Więc za kogo mnie uważasz?
- Za bardzo miłutką zabaweczkę, odprawię cię i zapłacę.
- Cingarita zabawką, którą się odrzuca i opłaca?

Było coś w jej ruchu, jakby się miała rzucić na niego niby *boa constrictor*, by go owinąć splotami i zmiażdżyć. Twarz jej jednak zachowała wyjątkowy spokój. Właśnie w tym panowaniu nad sobą, była zawarta cała siła dziewczyny.

On jednak tego nie spostrzegł i rzekł:

— Cingarita? Tym nie zwabisz ani psa spod pieca. Jesteś Cyganką, a Cyganki są rozpustnicami i żebraczkami. Zabieraj się!

— Żal mi ciebie! Cingarita jest przyszłą królową swego rodu. Ma potęgę, o której ty nie masz nawet pojęcia. Pochodzimy z dalekich Indii, z których wywędrowaliśmy, aby błędzić po całym świecie. Zdaje się, że nasz naród już podupadł, ale on jeszcze w przyszłości odżyje. Cingarita nie jesteś w stanie opłacić. Gardzi twym groszami, gdyż posiada skarby, jakich nigdy nie widziałeś i nie zobaczysz nigdy...

— Tym lepiej! A więc zachowam wynagrodzenia, jakie chciałem złożyć, za tę zabawkę.

— A mojej zemsty się nie boisz?

— Twojej zemsty? — zapytał lekceważąco. — Uważasz mnie za dziecko?

Teraz rzuciła na niego jedno jedyne spojrzenie.

— O tak, jesteś dzieckiem — rzekła, — nierozsądnym, nieostrożnym dzieckiem. A z dzieckiem Cingarita nie walczy. Będę czekać, dopóki nie staniesz się mężczyzną, a wtedy dopiero zobaczymy, kto silniejszy i potężniejszy, ty czy ja.

— Ślicznie, — zaśmiał się — to będzie rzeczywiście ciekawe! Jak długo zostaniesz jeszcze tutaj, w pałacu?

— Jutro rano opuszczę go.

— To możemy się już dzisiaj pożegnać.

— Tak, jeżeli się kiedyś przypadkowo nie zobaczymy.

— A więc bywaj zdrowa! Wyciągnęła doń uprzejmie rękę i rzekła:

— Bywaj zdrow, mój miły! Ciesz się tą chwilą, w której otrzymasz swego syna!

— A, ty już nawet wiesz, że to będzie syn!

— Spodziewam się i tak samo sądzę, że dziecko księcia będzie chłopcem.

— Księcia? — zapytał.

— Tak. Guwernantka znajduje się w podobnym stanie.

— Naprawdę, a to ciekawe! — zawołał.

— O, później będzie o wiele ciekawiej! Przrzekam ci. Bądź mi zdrow!

— Bywaj zdrowa! Odeszła.

Pozbył się znowu jednego kłopotu, gdyż wcale nie myślał obawiać się jakiegś tam zemsty.

Uważał ją za dziecko, które nie może być niebezpieczne, a jej gadanie o potędze i bogactwach, które miała posiadać, były pustymi fantazjami, bez treści i podstawy. Powrócił więc znowu do swojej roboty, a kiedy pióro posuwało się po papierze, nie przeczuwał, że zapisał dziś w duszy Cyganki zemstę takim pismem, co się nie zetrze nigdy.

Rano spał mocno, kiedy służący zbudził go i zawezwał do księcia.

Gdy wszedł do komnaty, zastał księcia bladego i załamane. Obok niego siedziała Zarba w postawie księżniczki, a przed obojgiem stał Sternau.

Musiała tu odegrać się bardzo burzliwa scena, w której książę został pokonany. Można to było poznać po tych trzech osobach.

— Widzimy się jeszcze raz, mimo naszego wczorajszego pożegnania senior Kortejo! — rzekła Cyganka. — Będiesz pan tak łaskaw, podpisać ten papier, który tu leży na stole.

— Co to?

— Jego oświecołość powie panu.

Popatrzył na księcia pytającym wzrokiem, a ten rzekł do niego:

— Jest to potwierdzenie tego, że dziecko, którego oczekuje seniora Walser, jest moim. Masz jako świadek podpisać to moje zeznanie.

— Ależ jakim sposobem...

— Cicho! — przerwał mu książę — O czym tu była mowa, nie obchodzi ciebie wcale. Podpisz!

Kortejo uczynił co mu kazano.

Sternau schował papier do kieszeni i odszedł. Zarba za nim. W drzwiach obróciła się jeszcze raz i rzekła do ochmistrza:

— Oto pierwszy dowód, czy Cingarita ma władzę, czy nie. *Adieu!*

* * *

Guwernantka powróciła ze Sternauem do ojczyzny. Pierwszym jej dzieckiem był syn, późniejszy doktor Karol Sternau. Nie miał pojęcia, że był książęcym synem. Jego opiekun kazał go kształcić we wszelkich rycerskich sztukach i wyrabiać siłę... a wszystko to wzbudzało później ogólny podziw. Zarba powróciła do swoich.

I jej dziecko było synkiem. Otrzymał imię Tombi i jest tym samym tajemniczym Cyganem, który później zjawił się jako leśniczy w Kreuznach.

On także nie miał pojęcia, kto był jego ojcem...